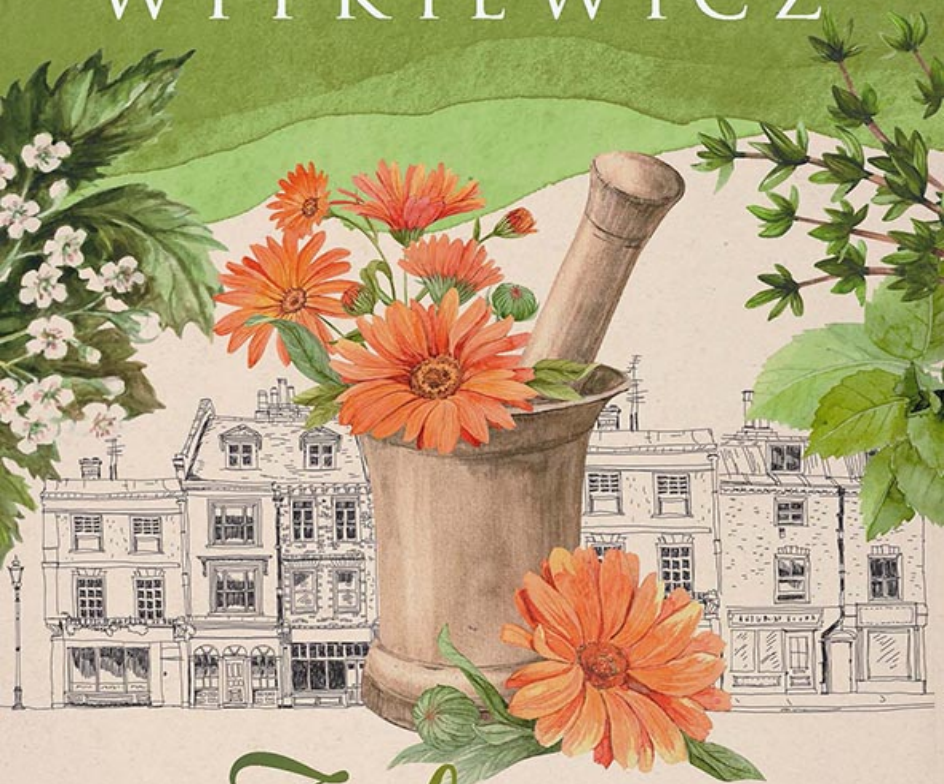


MAGDALENA
WITKIEWICZ



*Zielarnia
pod starym dębem*





MAGDALENA WITKIEWICZ

*Zielarnia
pod starym dębem*



Projekt okładki
Anna Slotorsz

Redakcja
Anna Seweryn

Ilustracje na okładce

© ASolo, VSVeta, SvetaKhlivna, Vega_7 | shutterstock.com

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociek
Korekta
Anna Jeziorska
Anna Seweryn
Anna Żochowska

Wydanie I, Gdańsk 2023
tekst © Magdalena Witkiewicz, 2023

© Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-67402-62-0

Wydawnictwo FLOW
biuro@wydawnictwoflow.pl
tel. 538 281 367

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

1. Renata

2. Maria

3. Halina

4. Maria

5. Wiktor

6. Maria

7. Gabryśia

8. Maria

9. Renata

10. Maria

11. Tomek

12. Renata

13. Ksawery

14. Jadwiga

15. Renata

16. Balbina

17. Malwina

18. Dominika

19. Halina

20. Renata

Epilog

Podziękowania

Od wydawcy

*Katarzynie Gierusz,
Dziękuję za wsparcie 31. Finału WOŚP 2023.
Jesteś wspaniała!*

1. Renata

Brahmi (Bacopa monnieri) – zioło znane w sanskrycie jako „brahmī” jest synonimem inteligencji i wiedzy. Brahmi w ajurwedzie uznawane jest za „cudowny eliksir życia” o kojących właściwościach. Wspomaga prawidłowe funkcje poznawcze oraz pamięć i koncentrację, dlatego od dawna było rekomendowane do medytacji.

Początki jego stosowania opisano już w około VI wieku n.e. w tekstach Medhya Rasayana – jako ziele uspokajające, potrzebne do polepszenia pracy umysłowej, a także do walki z bezsennością, problemami gastrycznymi, a nawet padaczką czy trądem. Mówi się, że starożytni uczeni stosowali je, aby ułatwić sobie zapamiętywanie długich pieśni i pism.

Obecnie klasyfikowane jest jako adaptogen, wspierający układ nerwowy w sytuacjach stresowych lub niekorzystnych warunkach środowiskowych. Zadaniem adaptogenów jest wspomaganie organizmu od środka w taki sposób, aby mógł on samodzielnie poradzić sobie z chorobą.

– Niedobrze się dzieje – westchnęła Malwina, patrząc w niebo. – Niby mamy wiosnę, a jej zupełnie nie ma.

– Wiosna dopiero za trzy tygodnie, ale faktycznie mogłoby już być trochę cieplej – stwierdziła Balbina.

– Tęsknię, Balbinko, do słońca. – Popatrzyła na przyjaciółkę, która stała tuż obok niej i owijała się szczelniej szalikiem.

Mówiąc to, potrząsała bujnymi rudymi lokami, które zdawały się zupełnie nie pasować do jej porysowanej zmarszczkami twarzy. W końcu swoje lata już miała. Nie przyznawała się głośno ile dokładnie, ale zapewne bliżej jej było do osiemdziesiątki niż siedemdziesiątki.

Halina ze zrozumieniem pokiwała głową i westchnęła teatralnie.

– Ja wiem dlaczego... – powiedziała szeptem, ale na tyle głośno, że pół miasteczka mogłoby ją usłyszeć. – Wiem, dlaczego czarne chmury zawisły nad miasteczkiem... – Urwała i wskazała dość uroczy szaroniebieski obłoczek, który akurat szybko przemykał nad dachem apteki.

Pan Jan nagle przestał grać i zaczął udawać, że przegląda nuty, które leżały tuż obok niego na chodniku, przyciśnięte z jednej strony kamieniem, by ich nie porwał silny wiatr, a w rzeczywistości przysłuchiwał się temu, co ciekawego ma do powiedzenia Halinka. Jemu też było zimno, tęsknił za ciepłem. Chociaż... zimą był zwykle zaziębiony, a wiosną miał alergię. No ale z dwojga złego wybierał uczulenie.

Pani Jadwiga, właścicielka jedyne (zatem najlepszego) baru mlecznego w okolicy, czasem szumnie zwanego restauracją, wyglądająca akurat przez okno, zamarła, udając, że podlewa kolorowe kwiatki, które dopiero co zasadziła, próbując w ten sposób zaklinać rzeczywistość i przywołać wreszcie wiosnę.

Wchodzący akurat do apteki Ksawery, aż przystanął zaciekawiony.

– Bo? – odważyła się zapytać Balbina, a wszyscy odetchnęli z ulgą, że ktoś w końcu ponaglił Halinę.

– Nie wiecie? – zdziwiła się. – Naprawdę nie wiecie, dlaczego tak się u nas ostatnio dzieje? – Chwilę milczała, zostawiając całe towarzystwo w niepewności. – Przez Renatę – powiedziała na tyle głośno, że nawet wspomniana Renata mogłaby to usłyszeć, o ile by, oczywiście, chciała. Pewnie dotarłby do niej ten mało konspiracyjny szept, gdyby nie była zajęta czymś zdecydowanie innym i – cóż tu ukrywać – gdyby nie miała kompletnie gdzieś tego, co i kto o niej opowiadał.

– A kim jest Renata? – wyrwało się Janowi.

Zaraz po tym przestraszył się swojej ignorancji w tematach zapewne dla miasteczka ważnych i próbował udawać, że wcale tego nie powiedział, ale było już za późno.

– Ja też nie wiem – odważył się odezwać zwykle cichy i niewychylający się aptekarz.

Na szczęście nikt nie zauważył, że – mówiąc delikatnie – mijał się z prawdą i że z Renatą zadzierzgnął bliższą znajomość, wprawdzie tylko przez płot i w zasadzie jednostronną, ale zawsze...

– Ty to właściwie pierwszy powinienes wiedzieć! Bo ciebie, Ksawery, to dotyczy najbardziej – fuknęła na niego Halina. – A nic się nie interesujesz! Analiza konkurencji! Mamy w bibliotece taką grubą książkę, *Marketing* Kotlera. To dosłownie biblia! – Rozejrzała się wokół, czy aby czasem porównanie grubej księgi z zakresu zarządzania do księgi boskiej nikogo nie zgorszyło, jednak nic takiego nie miało miejsca, więc ochoczko kontynuowała: – Powinienes sobie tę biblię poczytać!

Aptekarz skulił się pod naporem jej surowego wzroku i ostrych słów. Był od kobiety prawie dwa razy młodszy i odkąd pamiętał, zawsze na niego fukała. Od dziecka... Gdy miał lat naście, myślał, że kiedyś przestanie, jednak teraz, gdy dobiegał czterdziestki, nic w tej kwestii się nie zmieniło. Nigdy też wcześniej nie musiał analizować konkurencji, bo po prostu w miasteczku takowej nie było. Być może gdyby wpadł na przedziwny pomysł przejrzenia grubej książki o marketingu, odkryłby, iż jest w najbliższej okolicy monopolistą, jednak nigdy do niej nie miał okazji zajrzeć, więc takiej wiedzy nie posiadał. Bo, prawdę mówiąc, do tej pory nie była mu do niczego potrzebna.

– W ogóle nie wiecie, co się dzieje. – Halina z dezaprobatą pokręciła głową. – Jakby nie obchodził was los naszego miasteczka!

Balbina i Malwina spojrzały na siebie porozumiewawczo. Bardzo obchodził je los Małej Przytulnej, można by powiedzieć, że obchodził je najdłużej, wszak razem z Halinką, Anatolem i Janem byli najstarszymi

mieszkańcami i żyli tu od urodzenia, jednak, o dziwo, zupełnie nie zdawały sobie sprawy, o czym mówiła Halinka. Jan udawał, że czyści harmonijkę, nie chcąc za bardzo zwracać na siebie uwagi. Mógłby ktoś pomyśleć, że bał się gniewu staruszki, wszak była najgroźniejszą z trzech przyjaciółek pracujących w bibliotece. I najbardziej surową. O tym wiedzieli wszyscy w miasteczku. W każdym razie sprawiała takie wrażenie. Miała wprawdzie z Janem wspólną, dość burzliwą przeszłość, jednak trudno powiedzieć, by ta przeszłość ich łączyła. Na początku raczej ich dzieliła i zdecydowanie nie chcieli do niej wracać. Kiedyś Jan poznał już, czym jest gniew Haliny, i był przekonany, iż zrobi wszystko, by ponownie nie poczuć tego na własnej skórze. Tym bardziej że ostatnio niedomagał i nie były mu potrzebne dodatkowe nerwy. Przestał czyścić instrument i głośno w tę samą chusteczkę wytarł nos. Halinka spojrzała na niego z dezaprobatą, więc momentalnie przestał.

Jadwiga nie wytrzymała tej niepewności... Urwała brzydki listek bratka i cicho zamknęła okno. Po chwili założyła lekki wiosenny płaszczyk, zdecydowanie zbyt cienki jak na początek marca, ale w ten sposób również chciała przywołać do miasteczka trochę cieplejszych promieni słonecznych, i wyszła przed dom, do reszty towarzystwa.

Zaraz, zupełnie nie wiadomo skąd, znowu pojawił się aptekarz. Wszyscy spragnieni byli historii, którą Halina do tej pory nie była skłonna się podzielić. Mieszkańcy Małej Przytulnej otoczyli kobietę i, już zupełnie nie kryjąc swojego zainteresowania, wpatrywali się w nią w oczekiwaniu na opowieść.

W czasie, gdy jedni z najbardziej wpływowych mieszkańców Małej Przytulnej stali w samym centrum miasteczka, otaczając Halinę, ciekawi historii o Renacie, niczego nieświadoma główna bohaterka potencjalnej opowieści wynurzała się właśnie z lodowatego strumyka. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że gdzieś tam jeszcze

leżał śnieg, a woda w rwącym potoku miała temperaturę nie wyższą niż kilka stopni Celsjusza.

Renata wychodziła z rzeki naga, niczym nimfa błotna. Oczywiście we wszystkich legendach i mitach wszelakie nimfy to dwudziestoletnie dziewice o nieskazitelnych figurach, bladych twarzach i gęstych włosach opadających luźno na ramiona... Tym razem było nieco inaczej...

Renata dobiegała pięćdziesiątki (choć wolała myśleć, iż jest tuż po czterdziestce), miała dwadzieścia kilogramów nadwagi, do której już się nawet przyzwyczała, a jej skóra, może i na co dzień blada, teraz była czerwona od kąpieli w lodowatej wodzie. Dość gęste kruczoczarne włosy, poprzytykane siwymi pasmami, spięła w niedbały kok na czubku głowy (ta fryzura od zawsze zwana była przez nią bajzelkokiem). Otuliła się kremowym szlafrokiem, wiszącym na konarze starego dębu.

Nie lubiła zimnych kąpieli, ale ku swojemu zaskoczeniu kochała ten stan tuż po. Kiedy miała wrażenie, że wszystkie zmysły się jej wyostrzają, a mózg zaczyna pracować na pełnych obrotach, jak nigdy przedtem. Ciało wtedy zdawało się gorące, a krew płynęła szybciej. Prosto z rzeki bosą przeszła szybko do domu. Wytarła stopy w rozłożony na ganku ręcznik, na którym wylegiwała się spora kotka, i weszła przez otwarte tarasowe drzwi do środka.

Tak, już powoli uczyła się nazywać to miejsce domem. Mieszkała tu od niedawna, dwa tygodnie temu minęły trzy miesiące. Wprowadziła się kilka dni przed Wigilią. Bardzo się starała, by zapomnieć tamtego dnia, że to są najbardziej rodzinne święta i powinna być wtedy z bliskimi.

Tego roku nie wyszło. Przyjechała do miejsca, w którym była ostatni raz wiele lat temu, tak dawno, że w ogóle tego nie pamiętała. Próbowала wmówić sobie, że jest szczęśliwa, a tak naprawdę wszystko w niej płakało. Od tego czasu wiele się zmieniło, chyba potrzebna jej była ta izolacja od ludzi i od świata. Jednak nie było to łatwe.

Izolacja wprawdzie miała się niebawem skończyć, bo Halinka rozpoczęciem swojej krucjaty skutecznie zachęciła wszystkich

mieszkańców Małej Przytulnej do zawarcia znajomości z nowo przybyłą, jednak tego dnia, gdy Renata wychodziła z rzeczki, jeszcze tego nie wiedziała.

- Może chociaż święta spędzimy razem? - zapytał Łukasz, gdy pakowała walizkę.

- Po co? - zdziwiła się Renata. - Będziemy przedłużać agonię naszego związku? Zresztą nie wiem, czy zauważyłeś, że to małżeństwo już nie istnieje... Skończyło się wraz z podpisaniem papierów.

- Rena...

- Wiem, zabrzmiało melodramatycznie. - Uśmiechnęła się. - Chyba tak miało zabrzmieć. Zawsze to trochę przykro, gdy coś się kończy, kawałek życia...

- Tak, ale też nie mam żadnych planów na Wigilię. Nie mam też nic do jedzenia. Może jeszcze gdzieś się uda załatwić jakiś catering?

- Łukasz, nie chcesz ze mną spędzać świąt. Taki jest fakt. Po prostu jest ci mnie żal, że wyjeżdżam gdzieś daleko, i na dodatek sama nie bardzo wiem, dokąd jadę, co tam zastanę i kogo spotkam.

- Co zastaniesz? Ja ci powiem - stwierdził jej od niedawna już były mąż. - Starą rozpadającą się chałupę wśród chwastów. Przynajmniej takie mam jej wyobrażenie.

- Zobaczymy. Tego nie wie żadne z nas - westchnęła. - Pamiętam ten dom jak przez mgłę, ale chętnie się przekonam, jak teraz wygląda, trochę tam ogarnę, może coś wyremontuję, a potem sprzedam w cholerę i kupię sobie mały apartament na szczycie wieżowca.

- Myślisz, że wystarczy ci na taki apartament?

- Ze sprzedaży domu? Nie. Ale przypominam ci, że sprzedaliśmy firmę.

- Tak, pamiętam. Nie masz wrażenia, że nie mamy już nic? - zapytał spokojnie i cicho.

Renata nie odpowiedziała. Może kiedyś odrzekłaby uroczo, że mają siebie, teraz stracili nawet to. Została sama. Zupełnie sama. I chyba po raz pierwszy w życiu nie miała się gdzie podziąć, dlatego musiała jechać do tego zrujnowanego domu na końcu świata.

„Spokój, wyciszenie” – to były chyba jedyne mądre słowa terapeutki, u której była tylko raz. Więcej nie poszła. W czym mogłaby jej niby pomóc terapeutka? Nie reanimuje jej małżeństwa, nie zwróci rozumu córce, która spotyka się ze zdecydowanie nieodpowiednim facetem, i nie wykończy konkurencji, zanim ta wykończy ich. Łukasz nalegał, by poszli na terapię. Dla niej to była strata czasu. Teraz tego czasu miała zbyt wiele.

Nie sądziła, że będzie się wyciszać, była pewna, że od razu po przyjeździe do Małej Przytulnej zabierze się do roboty, by szybciej zacząć, szybciej skończyć i jeszcze szybciej stamtąd wyjechać.

Mała Przytulna... Cóż to za nazwa? Ona wolałaby Ogromną Szklaną. Albo Olbrzymią Przestrzenną. Mała Przytulna kojarzyła jej się z błotem, zapachem ziemi i wiecznie zamiatanym z drewnianej podłogi piaskiem. A może to nie było tam? Może to nie tam jej matka całe wakacje spędziła na doprowadzaniu wnętrza do sterylnych, laboratoryjnych warunków? Tego nie pamiętała. Ale gdy zamyka oczy, w jej głowie przesuwają się niczym w kalejdoskopie właśnie takie obrazy.

Jak Łukasz spędził te święta? Nie wiedziała. To już jej przecież nie powinno interesować. Rozstali się, ten rozdział był zamknięty.

Rozmyślając o tym wszystkim, Renata odpoczywała w ogromnym fotelu, przykryta kolorową patchworkową kapą i w ciepłych skarpetkach. Chwilę posiedziała i ogrzała się, po czym wstała i wstawiła wodę na herbatę. Otworzyła kuchenną szafkę. W równych rzędach stały tam słoiczki wypełnione różnymi babcinymi mieszankami ziół. Nigdy wcześniej nie pijała herbaty, w domu oraz w biurze miała ekspresy do kawy, bez których nie wyobrażała sobie życia.

Wyjęła jeden ze słoiczków z karteczką przyklejoną gumką recepturką. Widniał na niej starannie wykaligrafowany napis: „Na dobry humor”. Odkąd tu przyjechała, lubiła zaczynać z nią dzień. Przeczytała gdzieś w Internecie o detoksie od kawy i postanowiła spróbować. I się udało. Chyba mama ją też kiedyś taką herbatą częstowała. Dawno, dawno temu.

Założyła okulary i przeczytała skład: bazylia, mięta, melisa, dziurawiec, trochę pokrzywy, ostropestu i lawendy. Składniki podobne do tych w herbacie, którą produkowali na wielką skalę w ich firmie. W ich byłej firmie. Zapominała o tym, a pozostało im tylko trzydzieści procent. Po rozwodzie, który udało im się uzyskać na pierwszej rozprawie, każde z nich zatrzymało sobie piętnaście. Wystarczy, by żyć. Taka wcześniejsza emerytura.

Trzymając słoiczek z ziołami, uśmiechnęła się do siebie. Pamiętała jedną z prezentacji, w której przekonywano ją do tej herbaty. Twierdzono, że już dawno dziurawiec był uznawany za najlepszy antydepresant. W tej mieszance, którą sprzedawali, nie było lawendy. Renata jej nie lubiła, ten zapach kojarzył jej się wyłącznie z kulkami na mole. Nie spodziewała się też nigdy, że kiedykolwiek będzie co rano pijała herbatę zamiast filiżanki czarnej mocnej kawy.

Kiedy czekała, aż woda w czajniku się zagotuje, rozglądała się wokół. Ku swojemu zaskoczeniu zaczynała się tu czuć jak w domu. Nigdy nie lubiła takich wnętrz, ich mieszkanie wypełnione było szkłem i metalem, a tutaj było bardzo rustykalnie. Zupełnie nie w jej stylu, ale, o dziwo, tutaj jej to nie przeszkadzało, a nawet chyba to polubiła.

Szafki kuchenne, wykonane z litego sosnowego drewna, były pomalowane na biało, a do półeczek przyklepiono szydełkowe bawełniane koronki. Zapewne jeszcze robione przez babcię Marysię. Renata nigdy nie interesowała się robótkami ręcznymi, owszem, podziwiała te misterne dzieła sztuki, ale nie wpadłaby na pomysł, by samej coś takiego stworzyć. Talentu po babci zdecydowanie nie

odziedziczyła. Nie miałyby tyle cierpliwości, by dłubać całymi dniami i tkąć misterne pajęczyny.

Większość szafki, przed którą teraz stała, wypełniona była przyprawami i różnymi ziołowymi mieszankami. Wszystkie miały wykonane tym samym starannym pismem etykiety. Przy dużym kuchennym stole pod ścianą stała ława przykryta kolorowymi patchworkowymi poduszkami. Tuż nad nią na białej ścianie wisiały obrazy.

Pamiętała swoje zaskoczenie, gdy po raz pierwszy weszła do kuchni i na tej ścianie, pomiędzy malowanymi akwarelami i wyszytymi krzyżykami obrazkami, w drewnianych ramkach zobaczyła swoje zdjęcie i dwa artykuły z gazety. Nawet nie wiedziała, że jej mama udzielała wywiadu do jakiegoś kolorowego czasopisma. Nigdy wcześniej chyba go nie widziała i z przyjemnością wtedy przeczytała. Mama mówiła o swoich osiągnięciach naukowych, ale również o córce. Szkoda, że Renata już nie mogła zapytać, dlaczego losy tak się potoczyły, że zerwała kontakt ze swoją matką, a jej babcią.

Wtedy również poczuła lekkie ukłucie w sercu. Nie powiązała tego jednak z powiedzeniem, że historia lubi się powtarzać. I że powinniśmy znać przeszłość po to, by wyciągać wnioski, bo wówczas możemy zawalczyć o lepszą przyszłość. Przecież z nią i z Zosią była zupełnie inna sytuacja...

Obok wisiał w ramce kolejny artykuł, tym razem o jej firmie i o tym, jak łączy życie matki i żony z prowadzeniem biznesu. Tekst zilustrowano ich rodzinną fotografią. Pamiętała, że po tej sesji zdjęciowej poszli wszyscy na uroczysty obiad. Zosia była wówczas taka mała i taka urocza... W restauracji chciała koniecznie siedzieć na kolanach mamy, a ona nie mogła doczekać się chwili, kiedy jej córka będzie na tyle duża, że przestanie w pełni absorbować rodziców. Renata wtedy marzyła, by mieć czas wolny, tylko dla siebie! Jednak kiedy nadszedł ten moment, niekiedy żałowała, że zdarzyło się to tak szybko...

Pod spodem, w kolejnej ramce, wisiało jej zdjęcie. Miała je ustawione jako profilowe na Facebooku. Wyglądało jak kopia z domowej drukarki.

Mieszkała w tym domu od trzech miesięcy, a zdarzało jej się przechodzić obok tych obrazków i lekko gładzić palcem zarówno mamę, jak i swoją córkę w wydaniu kilkuletnim. Za jedną i za drugą tęskniła. Chociaż do tęsknoty za córką nie przyznawała się nawet sama przed sobą.

U góry, prawie pod sufitem, były wbite niewielkie gwoździe. Pamiętała jak przez mgłę, że babcia wieszała na nich pęki ziół. Gwoździki musiały tkwić tam od zawsze, tylko rdza pokazywała, ile czasu minęło od dni, kiedy wisiały tam zielone pachnące bukiety. Kiedy Renata była małą dziewczynką, umiała odróżnić rumianek, pokrzywę i miętę. Zbierała je razem z babcią w tym gąszczu ziół rosnących w całym ogrodzie. Przypomniała to sobie niedawno. Każdego dnia odgrzebywała z zakamarków wspomnień więcej i więcej.

Zastanawiała się, czy w tym roku również ogród będzie miał tyle darów. Pewnie jej już tu nie będzie. Taki przecież był plan – zobaczyć, jak tu wygląda, wyremontować wszystko i sprzedać. Pewnie latem ktoś inny będzie obserwował, jak wokół domu zaczną piąć się rośliny, ktoś inny będzie mógł je ususzyć i owinięte wstążeczkami powiesić na zardzewiałych gwoździach.

Renata poczuła lekki ucisk w sercu. Czyżby zrobiło jej się przykro? Ależ skąd! Jej nigdy nie było przykro. Zwykle osiągała to, co chciała. Zwykle...

Nie udało jej się tylko z córką i jej adoratorem. Jeszcze jej się nie udało, bo wierzyła, że wszystko jest kwestią czasu.

Zamyśliła się na chwilę i poczuła złość. Lubiła nad wszystkim mieć kontrolę, do tej pory wychodziło jej to znakomicie. Uczucie, gdy nie trzymała ręki na pulsie, w szczególności w kwestii życiowych wyborów córki, wywoływało w niej ogromną frustrację.

Pamiętała, gdy Zosia jej o nim po raz pierwszy opowiedziała. Sprawiała wrażenie bardzo zakochanej, więc Renata się ucieszyła, że córka kogoś sobie wreszcie znalazła. Kogoś – wydawałoby się – idealnego. Dużo o nim mówiła. Że jest pracowity, że ma całkiem spore mieszkanie, samochód, jest wykształcony, chyba nawet robił czy zrobił doktorat. Obsypywał ją kwiatami, prezentami, zabierał na jakieś wycieczki. Był menedżerem wyższego szczebla albo jakimś dyrektorem. Renata była bardzo zadowolona, że wreszcie jej dziecko znalazło ogarniętego i najwyraźniej bardzo zaradnego chłopaka. Po tych wszystkich nieudacznikach życiowych, których Zosia przyprowadzała do rodzinnego domu, po prostu jej się to należało.

Renata widziała już oczyma wyobraźni ślub swojej jedynej córki i wnuki, z którymi będzie mogła wychodzić na spacer. Nawet zaplanowała sobie, że gdy się tylko pojawią na świecie, raz w tygodniu będzie się nimi zajmować. Zdawała sobie sprawę, że wybiega za bardzo w przyszłość, jednak przyszła babcia czuła, że realizacja tych marzeń to już tylko kwestią czasu. Zwłaszcza że jej córka przebąkiwała coś o wspólnym zamieszkaniu. Renata uważała się za bardzo nowoczesną i naprawdę nie miała nic przeciwko temu, by młodzi zamieszkali ze sobą przed ślubem, dotarli się i zobaczyli, czy to naprawdę jest związek na całe życie.

Całe życie? Z goryczą pomyślała o swoim małżeństwie...

– A kiedy go poznamy? – zapytała któregoś dnia, patrząc wymownie to na córkę, to na męża.

Łukasz spuścił wzrok. Wtedy jej to nie zaniepokoiło, ale potem przypomniała sobie tę sytuację i wszystkie klocki zaczęły do siebie pasować. Na pewne działania było już jednak za późno...

– Może się umówimy na obiad? – nieśmiało zaproponowała Zosia.

– Cudownie. – Renata była wniebowzięta. – Zaproś go do nas w niedzielę.

– A może spotkamy się w restauracji? Tak zasugerował Piotr.

Renata uśmiechnęła się z aprobatą. To musiało być coś poważnego, wcześniej chłopcy wpadali bez zapowiedzi, robili mnóstwo zamieszania i bałaganu, odgrzewając sobie pizzę czy robiąc pierogi. Nawet czasem niektórzy jeździli gdzieś z nimi na rodzinne weekendy, ale Renata traktowała ich obecność z przymrużeniem oka. Szczególnie że nie zagrzewali długo miejsca u boku ich córki.

– Teraz to chyba coś poważnego... – powiedziała do męża wieczorem, puszczając oczko. – Chyba będziemy mieli syna.

Była o tym przekonana. Z tym nowym chłopakiem córki było nieco inaczej niż z poprzednimi. Zosia jakby kryła go przed światem, a właściwie – jak się później okazało – nie tyle przed światem, co przed matką. O to też się z Łukaszem pokłócili. Zosia zawsze była córeczką tatusia, mieli wspólne sekrety.

Tak czy inaczej, słowo się rzekło i zaplanowali zapoznawcze spotkanie w restauracji. Renata denerwowała się przed tym wyjściem, jak nigdy przedtem. Łukasz sprawiał wrażenie, jakby wcale nie chciał tam iść. Zupełnie go nie rozumiała.

– Nie jesteś ciekaw, kto tak bardzo zawrócił w głowie naszemu dziecku? Z tego, co opowiada Zosia, to musi być ideał – mówiła, malując usta przed lustrem. – Wreszcie! Ma dwadzieścia pięć lat, więc daleko jej do staropanieństwa, jeszcze ma czas, chociaż ja w jej wieku byłam już mamą. – Uśmiechnęła się do męża.

Do restauracji weszli spóźnieni. Córka siedziała przy stoliku z jakimś starszym mężczyzną. Nie mówiła, że Piotr również będzie z rodzicami. Pewnie chcą im o czymś powiedzieć! Może zaręczyny?

– Dzień dobry. – Szybko podeszła do stolika, a tuż za nią podążał Łukasz. – Przepraszam za spóźnienie, ale wiadomo, jak to jest z wyjściem z domu. – Uśmiechnęła się serdecznie. – Ale czuję się rozgrzeszona, bo nie jesteśmy jeszcze w komplecie.

– Na kogoś czekamy? – zapytał mężczyzna.

– No... Na Piotra? – Zerknęła skonsternowana to na Zosię, to na męża.

- We własnej osobie. - Roześmiał się. - Zapraszam, siadajmy do stołu.

Renata niemalże zawsze umiała zachować zimną krew. Spędziła wiele lat w biznesie, wydawałoby się, że potrafi się odnaleźć w każdej sytuacji. Znana była z tego, że z jej twarzy nie można było odczytać żadnych emocji. Tym razem jednak zamiast miny pokerzysty wymalowaną miała całą gamę doznań, które kompletnie wytrąciły ją z równowagi.

Rozmowa ewidentnie się nie kleiła. Zosia zaczęła coś opowiadać, Piotr ze śmiechem coś wtrącał, a Łukasz nieudolnie próbował podtrzymywać konwersację. Renata tylko czasem wymownie spoglądała na córkę, ale ta z premedytacją unikała jej wzroku.

Nie udało im się porozmawiać tego dnia. Mimo iż Renata dwa razy wychodziła do toalety, rzucając Zosi wymowne spojrzenia, by poszła razem z nią. Jej córka kompletnie zignorowała jednak te sygnały. Pod koniec wieczoru zrozpaczona Renata doszła do wniosku, że zamiast gromadki uroczych wnucząt powitała w rodzinie kolejnego dziadka...

- Odbiło jej! - krzyknęła wzburzona, gdy wrócili do domu. - Kompletnie jej odbiło! - Zdejmowała ze złością kolczyki. - Przecież on jest starszy od ciebie!

- Siedem lat młodszy - powiedział spokojnie Łukasz.

- To ile on ma lat? I skąd ty to w ogóle wiesz?

- Czterdzieści osiem odjąć siedem... Proste.

- Ty mnie matematyki nie ucz! - Zaczęła w gniewie machać rękami.

- Skąd ona go wytrzasnęła?!

- Był jej wykładowcą na uczelni.

- Wykładowcą? To trzeba gdzieś zgłosić!

- Renia, daj spokój, to są dorośli ludzie.

- Dorośli ludzie? A skąd ty w ogóle tyle o nim wiesz? Znasz go?

– Tak... Zosia mi go kiedyś przedstawiła.

– Chyba żartujesz! – Była oburzona. – Jak zawsze macie przede mną jakieś tajemnice!

– Po prostu wiedziała, jak zareagujesz – westchnął Łukasz.

– No trudno, by nie wiedziała! A jak miałabym niby zareagować? Przytulić i powiedzieć: „Witaj, synu”?

– Renia, uspokój się trochę. To decyzja naszej córki, powinniśmy ją uszanować... – Łukasz próbował tonować nastrój żony.

– Jestem cholerną oazą spokoju! Tylko po prostu nie jestem w stanie zrozumieć naszej córki i jej geriatrycznych upodobań! Jak ma słabość do starszych panów, niech się najmie jako opiekunka w domu seniora!

– Renata, on ma czterdzieści lat!

– Czterdzieści jeden. No właśnie, co najmniej o piętnaście za dużo.

– Renia... Ona jest dorosła i naprawdę może sama wybrać, z kim się spotyka. Ty, jak mówiłaś, w jej wieku byłaś już matką, a Zosię wciąż traktujesz jak małą dziewczynkę.

– Niby jest dorosła, a zachowuje się jak gówniara! Dlaczego zaimponował jej starszy facet? Na kasę poleciała? Przecież my też ją mamy. Możemy jej dać! Nigdy jej niczego w naszym domu nie brakowało. Ja się nie zgadzam! Rozumiesz?!

– Renata... Nie będę z tobą rozmawiał, kiedy jesteś w takim stanie. Najpierw się uspokój, a później wrócimy do tematu.

Wtedy po raz pierwszy w ich wspólnym życiu poszedł spać do swojego gabinetu. Zawsze się zastanawiała, po co wstawił tam sofę, wcale jednak nie była zadowolona, że w końcu się na coś przydała. Była na nich wszystkich tak bardzo obrażona, że nawet nie zaprotestowała. Pewnie gdyby wtedy coś zrobiła, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Ale co miała zrobić? Przytulić do piersi faceta, który mógłby być jej mężem? Przecież gdy on przeżywał swoje pierwsze miłości, Zosia jeszcze sikała w pieluchy! Ile było między nimi lat różnicy? Szesnaście?

Do tej pory, gdy o tym myślała, była wzburzona. Wielokrotnie dała to odczuć Zosi, a córka wielokrotnie próbowała wyciągnąć do niej rękę na zgodę.

– I co? Przestałaś się już bawić w dom starców? – pytała ją, gdy ta dzwoniła.

– Kupiłaś już Piotrowi balkonik? – zagadywała innym razem.

Zosia odwiedzała ich coraz rzadziej. Z matką już prawie nie rozmawiała. Dlatego też Renata każdą nadarzącą się okazję wykorzystywała na to, by wytłumaczyć córce, jaką głupotę robi, wiążąc się z tym mężczyzną. A tych chwil było z każdym dniem coraz mniej.

A potem Zosia w ogóle przestała przychodzić. I nawet przestała dzwonić. Ile to już czasu minęło? Rok? Może nawet nieco dłużej. Pamiętała, że Zosia ostatni raz zadzwoniła do niej z życzeniami urodzinowymi. Rozmowa przez chwilę była przyjemna, na neutralne tematy, nawet córka się trochę rozgadała, mówiąc coś o pracy. I potem, gdy kończyła...

– Jeszcze raz wszystkiego najlepszego, mamus.

– Ja mam, dziecko, tylko jedno życzenie. Żebyś ty go pogoniła.

Zosia rozłączyła się bez słowa. Renata nie chciała tak tego zostawić, jeszcze raz musiała wytłumaczyć córce, dlaczego to jest dla niej lepsze rozwiązanie, ale dziewczyna już nie odebrała.

Nie było dnia, by Renata nie myślała o tym wszystkim. Owszem, brakowało jej córki, ale nie wyobrażała sobie tego, że Zosia zwiąże się z tym mężczyzną na zawsze. Nie uważała się za osobę, która zwraca uwagę na to, co ludzie powiedzą, ale jak miała przekazać koleżankom, że jej jedynaczka ma faceta, który wygląda starzej niż jej mąż? Nie umiała się z tym pogodzić. Zresztą do czego to doszło, by młoda dziewczyna, u progu dorosłego życia, wiązała się z takim staruchem.

Renata nasypała susz do imbryka i zalała wodą, która jakiś czas temu przestała się gotować. Wciągnęła głęboko zapach ziół. Skrzywiła

się, czując lawendę. Nigdy się do niej nie przyzwyczai, ale cóż, ze względu na zbawienne działanie naparu mogła się poświęcić. Dobry humor był w cenie. Brakowało jej go. Chociaż ostatnio zdawało się być lepiej.

Poczekwała chwilę i nalała wonny wywar do wielkiego kubka. Usiadła w fotelu przed kominkiem, w którym napaliła tuż przed wyjściem nad rzekę. Wiedziała, że będzie zimno i że będzie miała potrzebę ogrzać się po lodowatej kąpieli.

Kiedy kotka zobaczyła, że jej najlepsza przyjaciółka wreszcie się usadowiła wygodnie z herbatą w dłoniach, natychmiast do niej przyszła i zgrabnie wskoczyła jej na kolana. To był ich poranny rytuał, odkąd tutaj we dwójkę zamieszkały. Renata wstawiała, piła wodę, potem krótko rozciągała się na macie (życie po czterdziestce wymagało poświęceń), by zaraz wejść do zimnej rzeki. Kotka się tylko temu przypatrywała. Dopiero gdy Renata siadała na chwilę w fotelu z książką i herbatą, wskakiwała jej na kolana, jakby chciała ją ogrzać swoim ciepłem.

Długo walczyła z Łukaszem o kota. To było gorsze niż podział firmy czy majątku. Oboje wiedzieli, że Brahmi wołała Renatę, ale też oboje kochali kotkę jednakowo i każde chciało z nią zostać.

– Będzie mi jej brakowało – powiedział Łukasz, gdy wyjeżdżały.

Renata z przyzwyczajenia chciała zapytać, czy jej też będzie mu brakowało, ale w porę ugryzła się w język. Przecież to wszystko już minęło. Dwadzieścia pięć wspólnych lat było tylko wspomnieniem, uchwyconym gdzieś na zdjęciach. Już nawet dziecko ich nie łączyło, bo zdawało się, że jest tylko Łukasza, wspólna pozostała tylko kotka.

– Możesz ją odwiedzić – rzuciła krótko. – No to pa.

– No to pa.

Dwadzieścia pięć lat wspólnego życia zostało zamknięte jednym „no to pa”. Przykre...

2. Maria

Krwawnik pospolity (Achillea millefolium L.) jest rośliną leczniczą, znaną od wieków. Podobno wojowniczy Achilles używał krwawnika do przyspieszania gojenia się ran, stąd jego botaniczna łacińska nazwa – Achillea.

Krwawnik, na co wskazuje jego polska nazwa, był używany do tamowania krwawienia. Przydawał się w czasach wojennych, rozgniecione ziele przykładano do rany, naparem obmywano skaleczenia.

Szczególnie istotne są jego właściwości antybakteryjne, przeciwzapalne i przeciwkrwotoczne. Ale działa również rozkurczowo, odtruwa organizm i usprawnia procesy trawienne.

Kochanie...

Nie mam pojęcia, czy kiedyś przeczytasz to wszystko, co do Ciebie piszę. Nie wiem jeszcze, jak to zrobić, by te słowa trafiły w Twoje ręce. Wierzę jednak, że z pomocą losu, magii czy opatrności kiedyś tak właśnie się stanie. Może papier pożółknie, może atrament będzie bledszy, ale słowa wciąż będą możliwe do odczytania.

Nie będę tutaj zapisywać gotowych receptur, chociaż one tak głęboko są we mnie zakorzenione, że pewnie zdarzy mi się coś o nich napomknąć. Zielone zeszyty z przepisami, spisane kiedyś przez mamę, babcię i prababcię, znajdziesz w kuchennych szafkach i w bibliotece na piętrze. Jest tego naprawdę dużo. Korzystaj do woli.

Ja tutaj, w tym liście, chciałabym Ci opowiedzieć pewną historię. Wyjaśnić wszystko, a najbardziej to, dlaczego tak się stało, że nie możemy

razem siedzieć, pić herbaty rumiankowej, uśmiechać się do siebie i ludzi i po prostu ze sobą być.

Uśmiech często zniknął przez te lata... Nie było łatwo. I wielokrotnie się zastanawiałam, czy było warto. Teraz jestem już pewna, że nie było. Ale – jak to się mówi – mądry Polak po szkodzie. Coś w tym jest, prawda?

Każda matka i każda babka chce chronić swoje dzieci i wnuki przed złym światem i przed złymi ludźmi. Albo przed tymi, którzy się nie wydają dla dziecka odpowiedni. Ze mną też tak było. Chciałam otworzyć nad Józefiną, moją córką, a Twoją matką, parasol ochronny. Dokładnie tak samo, jak zrobiła to nade mną moja mama, a nad mamą babka. Tak nas wszystkie wychowano. Choć może upór i przywiązanie do tradycji nie były w wielu sytuacjach najlepszymi doradcami...

Nie wiem, od czego zacząć... Pewnie najlepiej od początku. To nie będzie tylko historia o tym, jakie błędy popełniłam, ale też o tym, jakie są Twoje korzenie. Bo od nich się wszystko zaczyna. Jak w ogrodzie... Temat ogrodu w tym liście będzie bardzo ważny, przecież tak naprawdę właśnie w ziemi wszystko ma swój początek i wszystko ma swój koniec. Tu kiełkuje nasionko i tu po śmierci zostajemy pochowani.

Nie miałaś okazji mnie poznać. Nie miałaś też okazji poznać mojej opowieści. Kiedy piszę do Ciebie te słowa, wiem już, gdzie jesteś i kim jesteś. Widziałam Twoje zdjęcie w gazecie. Wyglądasz jak moja babcia. Dokładnie tak samo. Ona też miała taki błysk w oku i kruczoczarne długie włosy. Piękna jesteś. Jak wszystkie kobiety w naszej rodzinie.

Jeszcze nie podjęłam decyzji, czy Ci ten list wyślę, czy będę chciała, by dotarł do Ciebie po mojej śmierci. Może lepiej byłoby się spotkać? I wyjaśnić sobie jeszcze raz wszystko, spędzić kilka chwil razem...? Czuję, że mój czas się kończy. A zawsze wydawało mi się, że mam go tak dużo. Że jeszcze mogę coś zmienić. Jednak najpierw chcę sobie poukładać w głowie wszystko, co chcę Ci przekazać. Może po to, byś nie popełniła moich błędów? Bo po co uczyć się na swoich, jak można na cudzych?

Ale od początku... Jak już pisałam, od korzeni...

Nie wierzę w czary. Mimo iż wielu ludzi nazywało mnie czarownicą. Podobnie jak moją matkę i babkę. Może i Ciebie tak będą nazywać?

Wierzę w naturę. I wierzę w intuicję. Jedni ją mają, inni wcale. Jedni potrafią z niej korzystać, inni zakopują ją głęboko, jakby się wstydzili tego, co czasem ona im szepcze. W naszej rodzinie intuicja była najważniejsza. To ona nam podpowiadała, jak czerpać najwięcej z dobrodziejstw łąki, lasu czy rzeki. Ona pomagała nam tworzyć odpowiednie specyfiki, by odnosiły taki skutek, jaki chcieliśmy osiągnąć.

Piszę „chciałyśmy”, bo odkąd pamiętam, były w naszej rodzinie tylko kobiety. Może to taka trauma pokoleniowa? Nie chciałyśmy się pokazywać z mężczyznami, bo... Byli nam niepotrzebni? Nie wiem... Myślę jednak, że przerwałaś ten łańcuch, przecież masz męża. Widziałam w tej gazecie. Pięknie na Ciebie patrzy, z taką miłością, przywiązaniem i oddaniem. Nie popsuj tego.

Wiem, co o mnie, a wcześniej o mojej matce i babci ludzie we wsi mówili. Ach, powinnam powiedzieć „w miasteczku”. Przecież Mała Przytulna zdobyła prawa miejskie, ale ja wciąż nie umiem się do tego przyzwyczaić. Mamy rynek i główną ulicę, dla mnie jednak zawsze pozostanie piękną wsią, którą w całym swoim życiu opuściłam zaledwie kilka razy. Bo po co miałabym stąd wyjeżdżać? Tu miałam wszystko, czego potrzebowałam.

Wiesz, że swego czasu była tu nawet szkoła? Nie trzeba było jeździć do miasteczka obok. Wszystko chłonęłam jak gąbka. Kiedy nauczyłam się czytać i pisać, uznałam, że cała wiedza tego świata stoi przede mną otworem. I miałam rację.

Dużo czytałam. W okolicy się śmiano, że tę bibliotekę to stworzono tutaj specjalnie dla mnie. Gdybym nie była zielarką, pewnie tam bym pracowała. Mojej mamie bardzo zależało, bym spisała to wszystko, czego ona się nauczyła od swojej mamy i babci, a ta od swojej i tak kilka pokoleń wstecz. Pozostały, oczywiście, niewyraźne notatki, ale mama się bała, że za kilka lat już nikt nie będzie ich mógł odtworzyć. Pragnęła też, bym całą naszą wiedzę przekazała kolejnym pokoleniom.

Ten list do Ciebie to właśnie ta wiedza. Moja babcia Zuzanna nazywała to życiowym poradnikiem. W tych czasach pewnie nazwałabyś to instrukcją obsługi. Czytasz instrukcje obsługi? Kiedyś Anatol, jeden z sąsiadów, kupił mi pralkę. Opowiedział mi, jak ją używać, więc instrukcja nie była mi potrzebna, więc ją wyrzuciłam. Mam nadzieję, że z moim listem do Ciebie będzie inaczej. Że go przeczytasz i dzięki temu zrozumiesz...

Jak już pisałam, w naszej rodzinie były wyłącznie kobiety. Może byłśmy silne, podświadomie wybierałyśmy słabszych mężczyzn i oni, zdominowani przez nas, szybko odchodzili z tego świata? Albo wybierałyśmy takich, z którymi potem nie chciałyśmy mieć kontaktu? Nie wiem, dlaczego tak było. Dawniej krążyły nawet plotki, że pomagałyśmy im odejść, ale żadna z nas tego nie zrobiła. W naszej rodzinie nie było zbrodniarzy.

Czy umiałybyśmy? Oczywiście! Zioła czynią cuda. Potrafią uleczyć ciało i duszę, ale też potrafią pomóc odejść. Miałyśmy tego świadomość. I dlatego tak ważne było to, aby nasza wiedza niczym cenny skarb nie trafiła w niepowołane ręce, tylko przekazywana była w rodzinie.

Zawsze mówiłyśmy, że największym naszym majątkiem był ogród i to wszystko, co tu wzrastało przez tyle lat. Najcenniejsze były mądrość przekazywana z pokolenia na pokolenie i żyzna gleba.

„Skarb jest w ogrodzie” – mówiła zawsze babcia. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, by myśleć, że skarbem są zakopane gdzieś diamenty czy złoto. Było to niedorzeczne. Żyliśmy skromnie, ale niczego nam nie brakowało. Babcia często powtarzała, że szczęściem jest robić to, co się kocha. I dodawała, śmiejąc się, że gdyby była bardzo bogata, nadal by robiła dokładnie to samo. Nic by się w jej życiu nie zmieniło.

W moim pewnie też nie. Byłam szczęśliwa. I głęboko przekonana, że to, co najcenniejsze, zostało mi dane na zawsze. Ogród, dom, rodzina...

W najgorszych koszmarach nie śniłam, że tak się potoczą nasze losy i pewnie już nigdy Was nie zobaczę. Bo to była chwila. Dwa słowa za dużo. Jedno zdanie. I przekonanie, że to błahostka.

Na własną prośbę życie zabrało mi to, co miałam najcenniejszego.

Zabrało mi Was.

A w zasadzie oddałam Was bez walki. I teraz bardzo tego żałuję.

Odłożyłam pióro. Trudno mi się pisało. Mogłabym mieć mocniejsze okulary, ale chyba już mi się nie opłaca ich kupować. Bo ile tego życia mi zostało? Tomek namówił mnie, bym to wszystko spisała, obiecał, że kiedyś to dotrze do Renaty. Może po mojej śmierci? Nie wiem, czy powinnam się z nią spotkać. Zresztą jak?

– A czemu pani po prostu nie zadzwoni? – zapytał któregoś dnia. – Albo napisze.

– Ale, dziecko, ja nie mam do nich numeru telefonu! Adresu też nie mam. Jedyne, co o nich wiem, to tyle, co w gazetach wyczytałam.

– W gazetach?

– Pokażę ci.

Wstałam z trudnością. Plecy coraz bardziej mi dokuczały, ale jeszcze byłam całkiem sprawna. Podreptałam do szafki, w której trzymałam wszystkie skarby. Nie bałam się jej otwierać przy Tomku, był moim najlepszym przyjacielem, mimo iż dzieliły nas dwa albo nawet trzy pokolenia. Otworzyłam pudełko po czekoladkach i wyjęłam dwa wycinki z gazet, które leżały między kartonikami, by się nie pogniotyły.

– Kto to? – zapytał.

– To Józefina. Moja córka. I Renata. Jej córka.

– Jest lekarzem? – zainteresował się Tomek, wskazując na jej fartuch.

– Nie, chemikiem.

– Doktor habilitowany Józefina Górską – przeczytał. – Musi pani być z niej bardzo dumna.

– Byłam – przyznałam.

– Fajnie ma. Mówiła jej pani kiedyś o tym?

– Nie miałyśmy kontaktu... Opowiadałam ci przecież. – Pokręciłam głową. – Teraz jest już za późno, by cokolwiek powiedzieć... Józia nie

żyje – wyszeptalam.

Tomek nic nie odpowiedział, ale za to wyciągnął telefon z kieszeni. Też miałam komórkę, ale – jak to określił miły pan, który mi ją jakiś czas temu sprzedawał – bez wodotrysków. Mogłam tylko dzwonić i odbierać połączenia. Ale i tak robiłam to z rzadka.

– A jak się nazywa jej córka?

– Renatka Górską. Panięskie miała Górską, jak Józefina... Teraz nie wiem, może wyszła za męża?

– Mam Żbik-Górską, Górecką, Machel-Górską...

– Naprawdę nie wiem... – westchnęłam.

Tomek stuknął i przesunął palcem po ekranie.

– To któraś z nich? – Pokazał mi po chwili telefon.

Na ekranie zobaczyłam Renatę. Z pewnością to była ona, była bardzo podobna do mojej babci, zresztą do mnie chyba też, i miała taki sam uśmiech, jak dziewczynka z fotografii w artykule.

– To ona. – Wskazałam na jedno zdjęcie.

Tomek je zaraz powiększył na cały ekran.

– Wygląda jak pani. – Uśmiechnął się.

– Skąd to masz? – zapytałam. Nie mogłam wtedy oderwać wzroku od wnuczki.

– Na Facebooku było.

Spojrzałam na Tomka, nic nie rozumiejąc. Na jakim Facebooku?

– Pokażę pani. – Usiadł przy mnie, a ja założyłam okulary, by wszystko lepiej zobaczyć. – To takie miejsce w Internecie, gdzie ludzie wrzucają swoje zdjęcia, piszą, co robili tego dnia, chwala się dziećmi... – Zamyślił się. – Albo się nimi nie chwala, bo całym ich życiem jest bar w niewielkiej miejscowości i wrzucają co najwyżej zdjęcia pierogów albo pieczeni – burknął, najwyraźniej rozgoryczony.

Na ekranie zobaczyłam fotografię Jadwigi, właścicielki baru, a zarazem matki Tomka, która trzymała dymiący gar zupy. Tomek przesunął palcem po telefonie i ukazywały mi się różne zdjęcia potraw.

- Moja mama pokazuje zwykle ogród i dania, które robi.

- Nie chwali się tobą?

- Nie... Zresztą nawet bym nie chciał. - Wzruszył ramionami. - Ona uważa, że nie ma czym się chwalić.

- A ty czym się chwalisz?

- Ja? Niczym. - Pokręcił głową i pokazał ekran jeszcze raz. - Nawet nie mam zdjęcia profilowego. Nie lubię Facebooka, wolę Instagram albo TikToka.

Nie zrozumiałam zbyt wiele z tego, co powiedział, ale uznałam, że na wyjaśnienia przyjdzie czas.

- Pokaż mi jeszcze raz Renatę - poprosiłam.

Tomek wyświetlił jej zdjęcie na ekranie. Powiększył je tak, bym mogła ją sobie obejrzeć.

- Czy... Czy ja mogłabym jakoś to zdjęcie mieć? W swoim telefonie? Albo na kartce?

Tomek wziął do ręki mój aparat.

- Nie bardzo. Pani ma taki telefon, że się nie da. Ale mogę je pani wydrukować. - Uśmiechnęła się. - Będzie je pani mogła włożyć do ramki i powiesić na ścianie.

Wolałam nie pokazywać wtedy swoich łez, więc szybko wstałam i odwróciłam się w stronę okna. Nie chciałam, by Tomek zauważył moje wzruszenie.

- Jak pani chce, mogę do niej napisać. Powiedzieć, że pani ją szuka albo coś...

- Nie, nie... Nie pisz jeszcze. Chyba nie jestem na to gotowa.

Tomek popatrzył wtedy na mnie i nic nie powiedział, ale chyba wyczuł to, co mnie męczyło. Bo co miałabym jej napisać? Podziękować za przelew, który zrobiła mi jej matka tuż przed śmiercią? Wtedy myślałam, że to pomyłka, nawet napisałam na adres instytutu, by jej ten list przekazali, ale wrócił z adnotacją, że ona już tam nie pracuje:

„Z przykrością informujemy, że Józefina Górską zmarła trzy tygodnie temu”.

Pamiętam do dziś tę małą białą kartkę, którą włożono do koperty wraz z moim nieotwartym listem i mi go odesłano. Najgorszy sposób, by się dowiedzieć o śmierci własnego dziecka. Na wszystko było już za późno, zmarnowałam tyle lat... A wnuczka? Zapewne mnie nie pamiętała. Ostatni raz widzieliśmy się, gdy Renia miała trzy, cztery, może pięć lat. Teraz była już dorosłą, ba, nawet dojrzałą kobietą. Kiedy Józefina przestała mnie odwiedzać, kontakt właściwie się urwał. Początkowo przysyłała jeszcze kartki na święta, a potem... a potem, wiele lat później, przyszedł już tylko ten przelew. Nie zauważyłabym go nawet, ale zadzwonił do mnie ktoś z banku, proponując lokatę na nowe środki. Jakie nowe środki? Przecież dostawałam tylko emeryturę. Konto założyłam jedynie dlatego, że ksiądz Wiktor mnie do tego namówił, mówiąc, że będzie bezpieczniej, gdy pieniądze będę trzymała w banku, a nie w tapczanie. Dawałam mu tę plastikową kartę i raz na jakiś czas wyciągał mi z bankomatu pieniądze, a jak trzeba było coś kupić w sklepie w miasteczku, sama jej używałam. I nigdy mi tak naprawdę niczego nie brakowało.

Po tym telefonie z propozycją założenia lokaty otworzyłam zaklejone koperty, które przychodziły z banku pocztą, i przejrzałam wszystkie wyciągi. Oczywiście pomógł mi Wiktor, bo nie lubiłam tej papierologii. Miałam tyle pieniędzy, że mogłam sobie spokojnie żyć aż do śmierci. A nawet więcej niż mogła potrzebować jedna osoba, zwłaszcza że do szczęścia wystarczyło mi niewiele – musiałam sobie kupić jedzenie, a zimą ogrzać dom. Ubrań miałam aż nadto. Trochę pieniędzy dawałam Tomkowi za pomoc. Brał moją kartę i wypłacał sobie z bankomatu w miasteczku.

Dobrze sobie radził w moim ogrodzie. Przecież właśnie tam go zobaczyłam po raz pierwszy...

- A czego ty tu szukasz, chłopcze? - Któregoś ranka zobaczyłam chudego i wysokiego nastolatka, który szwendał się po moim ogrodzie.

Chłopiec poczerwieniał i chciał uciec, ale mu nie pozwoliłam. Nie miał śmiałości, by ominąć starszą panią, która stała mu na drodze do furtki. Oczywiście, gdyby zaczął biec, w życiu bym go nie dogoniła. Zakładałam, że tak właśnie zrobi. Wyrostek miał może czternaście lat albo trochę więcej. Dawno nie miałam do czynienia z dziećmi, więc trudno mi było to określić. Zresztą dzieciaki teraz zupełnie inaczej wyglądały.

Stał przede mną i milczał. Najwyraźniej chował coś za plecami. Znałam go, ale dość dawno nie widziałam. Z całą pewnością jednak był to syn Jadwigi, tej, która prowadziła bar. Jak on się nazywał? Tomek!

- Tomek? A czego ty tu szukasz? - Nie miałam pojęcia, co mógłby robić w moim ogrodzie.

Chłopak stał ze spuszczoną głową i nic nie mówił.

- Co ty tam masz?

Nieśmiało wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał bukiet z ziół.

- Przyszedłeś po te zioła? - Zdziwiłam się jeszcze bardziej.

- Chłopaki mówili, że jak urwę z pani ogrodu konopie, to mi zapłacą - przyznał uczciwie.

- Który to taki mądry?

- Nieważne. - Tomek machnął ręką. - To nie był dobry pomysł.

- Ile mieli ci zapłacić?

- Trzy dychy - zdradził z ociąganiem.

- Całkiem nieźle. - Popatrzyłam na niego z uznaniem. - Trzy dychy za te zioła to dobry interes.

- Nie zadzwoni pani na policję? - zapytał nieśmiało.

- Na razie nie. Ale powiesz mi, na co ci były potrzebne te pieniądze.

Chłopak milczał przez chwilę. Ja również. Wiedział, że musi odezwać się pierwszy.

- Jest taka książka... Słyszałem o niej w radiu. Nie ma jej jeszcze w naszej bibliotece, a chciałbym ją przeczytać. O mózgu.

- I żeby zdobyć książkę, narażasz się na kłopoty? - Byłam nad wyraz zdumiona. Zawsze miałam dobrze rozwiniętą intuicję i tym razem mi podpowiadała, że ten dzieciak nie znalazł się u mnie przypadkowo.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Chodź. Wypijemy herbatę - zaproponowałam.

Tomek był tak przestraszony, że wtedy zrobiłby wszystko, o co bym go poprosiła. Skruszony wszedł do domu, chociaż pewnie zupełnie nie miał na to ochoty.

- A może wolisz lemoniadę? - zapytałam.

Pokiwał głową. W ręku nadal trzymał zielone liście.

Postawiłam przed nim szklankę i usiadłam naprzeciw niego.

- Pokaż, co urwałeś.

Tomek niepewnie położył bukiet na stole.

- To nie są konopie. To krzew koralowy, bardzo podobny do konopi. Mogłeś się pomylić. Rozetrzyj w palcach liść i powąchaj.

Tomek zrobił to, o co go poprosiłam, po czym się skrzywił.

- Śmierdzi. Jak spalona guma.

- Tak, albo siki kota. - Roześmiałam się. - Umyj ręce, bo może cię podrażnić. W ogóle jest trujący. Nie wiem, skąd się wziął u nas w ogrodzie, ale jak rośnie, to niech tak będzie.

Chłopak wydawał się już bardziej odprężony. Posłusznie poszedł umyć ręce.

- Krzew koralowy ma piękne czerwone kwiaty. Słabo kwitnie, bo u nas bywają mroźne zimy, a on zimna nie lubi. Ale, jak widzisz, dał radę. - Wzięłam do rąk kolejną gałązkę. - A to kleome ciernista, też lubi ciepło, ale rośnie tu od zawsze. Ta nie szkodzi, a pomaga. Podobno Indianie leczyli nią ukąszenia węży i robili z niej okłady na rany. Działa też na zapalenie pęcherza i na suchy kaszel.

Tomek patrzył na mnie oczarowany. Wyglądał, jakby zupełnie już zapomniał o okolicznościach, w jakich się znalazł w moim domu. I sprawiał wrażenie, jakby go interesowało to, co mówię.

– A to ketmia. – Wskazałam na kolejną gałązkę. – Czasem robię z niej sałatkę. Mogę cię poczęstować. Liście to znakomite lekarstwo na biegunkę. Korzeń natomiast pomaga na problemy z drogami moczowymi. Dla mnie skarb. Czytałam, że ma działanie przeciwwzapalne, a nawet przeciwnowotworowe. A to z kolei... – Pokazałam kolejną. – ...konopia siewna. Możesz ją uprawiać do woli. Konopie zawierają kwasy z grupy omega i sporo witamin. Nimi się nie odurzysz, jak tymi indyjskimi.

– Przepraszam... – wydukał Tomek. – Skąd pani to wszystko wie?

– Od mamy i babci. I trochę z książek, które czytałam, albo z gazet.

– Ja się tylko od mojej mamy nauczyłem lepić pierogi. – Zamyślił się.

– Też cenna umiejętność. – Roześmiałam się. – Czy wiesz, że ja nie umiem robić pierogów? A to ciasto nie takie i się rozkleja, a to farsz za mało słony...

– Czy... Czy ja w ramach przeprosin mogę dla pani kiedyś przygotować pierogi? – Spojrzał mi prosto w oczy.

Patrzyłam na niego zaskoczona. Nie byłam przyzwyczajona, że ktoś cokolwiek dla mnie chciał robić. Wszystkim zajmowałam się sama. Byłam typem odludka, w zasadzie nie miałam przyjaciół. Przychodzili do mnie tylko wtedy, gdy potrzebowali pomocy, a odkąd była apteka w miasteczku, pojawiali się rzadko. Owszem, kupowali mieszanki ziół na różne dolegliwości, ale coraz bardziej wierzyli w estetyczne kartoniki z wydrukowanymi napisami, informujące, że tam znajduje się lekarstwo na wszystko, i w związku z tym klientów miałam coraz mniej. Żyłam z emerytury, a potem jeszcze przyszły te pieniądze od Józki. I dlatego to, że ten chłopak chciał dla mnie coś zrobić, bardzo mnie wzruszyło.

Następnego dnia Tomek przyszedł z siatką pełną zakupów. Zaskoczył mnie. Byłam pewna, że już go nie zobaczę, a nawet gdy przypadkowo spotkam gdzieś na ulicy, będzie udawał, że mnie nie zna. Bo kto chciałby się przyznawać do znajomości z jakąś starą babą, którą chciał wcześniej okraść.

- Lubi pani ruskie?

- Pewnie. - Uśmiechnęłam się.

Na początku Tomek był bardzo milczący, jakby nieśmiały, a potem się rozgadał. Miałam wrażenie, że dawno nikt mu nie pozwalał opowiadać o tym, co go interesowało. Tym bardziej że interesowały go zupełnie inne sprawy niż jego mamę.

- Mama chciałyby, żebyśmy został kucharzem. Marzy o tym, bym wraz z nią prowadził bar. I został tutaj, w Małej Przytulnej. Nie była zadowolona, że poszedłem do liceum - westchnął. - Wolałaby, żebym poszedł do szkoły gastronomicznej. Na szczęście nie było takiej nigdzie w pobliżu. - Wyraźnie się ucieszył.

- A ty o czym marzysz? - zapytałam.

- O czym ja marzę? - Zdziwił się, jakby go ktoś o to zapytał pierwszy raz w życiu.

Pokiwałam głową.

- Ja nie wiem, czy w ogóle powinienem marzyć... - Tomek spojrzał na mnie uważnie. - Chyba jestem w tym kiepski. No bo marzyłem, żeby kupić sobie tę książkę, i do czego mnie te marzenia doprowadziły?

- No tak, bardzo źle to wyszło. Musisz teraz starej babie pierogi lepić. - Roześmiałam się.

Tomek się zawstydzził.

- Przepraszam! Ja zupełnie nie to miałem na myśli! - próbował się tłumaczyć, choć przecież doskonale zdawałam sobie sprawę, o co mu chodziło. Sytuacja wydawała mi się bardzo zabawna. - Po prostu moje marzenia skłoniły mnie do tego, że chciałem ukraść z pani ogródka marihuanę.

- Która wcale nią nie była.

- Właśnie... Więc okazałem się głupi podwójnie. - Zaczął wałkować ciasto jeszcze bardziej energicznie.

- Jaka to książka? - zapytałam.

- Która?

- No ta, która cię sprowadziła na złą drogę.

- A... Taka o mózgu. Mówili o niej w radiu i bardzo mnie to zainteresowało.

- Napisz mi na kartce tytuł. Może uda się wpłynąć na bibliotekarki, żeby ją zamówiły.

Chłopakowi rozświeciły się oczy.

- Naprawdę? - Wytarł brudne od mąki ręce w spodnie i chciał sięgnąć po długopis.

- Spokojnie, zaraz mi napiszesz. Obiecałeś mi wcześniej pierogi.

Uśmiechnął się. Po raz pierwszy na jego twarzy zobaczyłam nadzieję.

- A teraz powiedz mi, jakie masz marzenia.

Przez chwilę nie odpowiadał. Już myślałam, że nie usłyszał mojego pytania, ale nagle wyszeptał:

- Nie chcę prowadzić baru z mamą. Ja tego po prostu nie lubię. Nie widzę siebie lepiącego pierogi zawodowo. Rozumie pani?

- To już połowa sukcesu - stwierdziłam. - Wiemy, czego nie chcesz. Teraz tylko trzeba, byś odkrył, czego pragniesz.

- Tego jeszcze nie wiem. - Zamyślił się.

Wtedy uzmysłowiłam sobie, że ja doskonale zdawałam sobie sprawę, o czym marzę... Marzyłam o tym, by w jakiś sposób pomóc temu chłopakowi znaleźć swoje miejsce w życiu. A na początek postanowiłam, że zafunduję bibliotece książkę o mózgu. I jeszcze kilka innych. A tak się bałam, co zrobię z tymi pieniędzmi od Józefiny. Ona też kochała książki. Na pewno pochwaliłaby moją decyzję.

3. Halina

Dziurawiec zwyczajny (Hypericum perforatum) wykorzystuje się do produkcji antydepresantów. Jak się okazuje, reguluje on poziom hormonów, które są odpowiedzialne za dobry nastrój. Wnosi równowagę wewnętrzną, dodaje pogody ducha oraz ułatwia kontakt z własnym ja, uczy radości i odświeża spojrzenie na rzeczywistość.

Stosuje się go również przy problemach z koncentracją, zmęczeniem oraz trawieniem. Dziurawiec wykazuje też działanie ochronne, oczyszczające, lecznicze i wspomagające. Ma chronić przed zwątpieniem i rozpaczą, pomóc odnaleźć siły potrzebne do przetrwania trudnych chwil.

Według jednej z legend dziurawiec wyrósł z ziemi, na którą spadła ścięta głowa Jana Chrzciciela. Kolejna głosi, że kwiat pojawił się pod krzyżem Chrystusa, dokładnie w miejscu, w którym spłynęła krew z przebitego boku. Jeszcze inna mówi, że sam diabeł poprzekłuwał liście dziurawca, bowiem pozazdrościł aniołom, leśnym duszkom, zwierzętom i ludziom niezwyklej mocy leczniczej tego zioła.

– No to opowiadaj, Halinko. – Jadwiga zaprosiła wszystkich do swojego baru i właśnie usiedli przy kilku połączonych kwadratowych stolikach. Gospodyni przyniosła aromatyczną kawę. Janek pokręcił głową. – Na koszt firmy. – Uspokoila go.

Grajek się uśmiechnął i delikatnie ujął filizankę. Był wprawdzie przekonany, że po tym napoju natychmiast złapie go zgaga, ale nie

śmiało odmówić. Aptekarz był na miejscu i mógł go poratować, chociaż wielokrotnie dał mu już do zrozumienia, że staruszek bierze zbyt dużo leków.

Halinka siedziała w centralnym miejscu, u szczytu połączonych stołów, niczym królowa. Na samym skraju, na najwygodniejszym fotelu, który to podsunął jej Ksawery. Na głowie wciąż miała beret, nie zamierzała go zdejmować, podobnie jak jej dwie przyjaciółki, Balbina i Malwina. Każda miała szydełkowe nakrycie głowy o identycznym fasonie, jednak w zupełnie innym kolorze.

– Bo ona jest czarownicą – powiedziała nagle. – Ta nowa, Renata, jest czarownicą! – powtórzyła jeszcze głośniejszym głosem, na wypadek gdyby ktoś jednak dziwnym trafem nie dosłyszał.

Aptekarz Ksawery się zakrztusił. Malwina i Balbina znieruchomiały w tej samej pozycji. Dokładnie mówiąc, zastygły z kawałkiem serniczka na widelczyku mniej więcej dwadzieścia centymetrów od ich ust. Serniczek już nie był na koszt firmy, jak zastrzegła kilka minut wcześniej Jadwiga.

– W takie bajanie to ja nie wierzę. – Janek machnął ręką i zaczął się zbierać, ale Halinka skarciła go wzrokiem. Pamiętał ten wzrok sprzed jakichś czterdziestu czy pięćdziesięciu lat, w związku z tym natychmiast usiadł z powrotem.

– Mam swoje powody, by tak sądzić. Nie wiem, od czego zacząć... – westchnęła Halinka.

– Od początku – zażądała Malwina, patrząc na zegarek. – Muszę za pół godziny wyjść.

– Jak kocha, to poczeka – wymuskięło się Jankowi.

– Kocha i poczeka – burknęła z wyższością Malwina. – Ale mogłabyś się, Halinko, pospieszyć.

Jan kaszlnął. Zapewne łapało go przeziębienie.

– O właśnie! – Halina wskazała go swoim kościstym palcem, zakończonym paznokciem pomalowanym na różowo. – Kaszlesz!

- Zakrztusiłem się. - Pokręcił głową, chociaż widząc ten oskarżycielski gest, sam już nie był pewien.

- Dopiero co byłeś chory!

- Chory to ja byłem w sylwestra. Zmogło mnie na dwa tygodnie. Cały karnawał musiałem syropy łykać.

- Na trzy tygodnie - poprawił go aptekarz. - Dokładnie pamiętam. I nic ci nie pomagało. Wtedy, o dziwo, naprawdę byłeś chory.

- Ja zawsze jestem naprawdę chory. - Jan się naburmuszył. - W ogóle jestem wątlęgo zdrowia.

Aptekarz wznosił oczy ku niebu. Jan był znany ze swojego uwielbienia do chorób wszelakich i Ksawery podejrzewał, że gdyby jakiś kataklizm zmiotł jego aptekę z powierzchni ziemi, w domu Jana znalazłby się zapas leków na wszystkie dolegliwości świata, które to grajek po kolei u siebie diagnozował.

- A wtedy byłem nawet bardzo chory! - Rozejrzał się wokół, szukając oznak współczucia. - Prawie że odszedłem z tego świata!

- No widzisz! - krzyknęła staruszka. - Nie jest to zastanawiające?

Malwina wzruszyła ramionami, nic nie rozumiejąc.

- Dopiero na pogrzebie żony piekarza byłem w stanie coś zaśpiewać. - Jan się zamyślił. - A to był już luty.

- Mamy kolejny dowód. - Halina z wyższością wydeła wargi. Miała minę, jakby wiedziała dużo więcej od wszystkich, którzy zebrali się w małym barze mlecznym pani Jadzi. - Dawno nikt u nas nie umarł! A tu choroby, pogrzeby i inne takie! To jest ewidentny dowód!

- Ale na co dowód? - ośmieliła się w końcu zapytać milcząca dotąd Balbina.

Wszyscy z zainteresowaniem spojrzeli na Halinę.

- No doprawdy, zachowujecie się, jakbyście się z choinki urwali! Na to, że ta Renata jest czarownicą! I odkąd ona się tu pojawiła, na nasze miasteczko spadają same plagi egipskie.

- Żaby, komary, muchy... - zaczął wyliczać aptekarz. - Szarańcza...

- Łapiesz mnie za słówka! - Zdenerwowała się. - Jak mówię, że czarownica, to czarownica!

Aptekarz podrapał się po głowie. Do tej pory wydawało mu się, że jest raczej inteligentnym mężczyzną i nawet dość mocno stąpającym po ziemi, wierzącym w naukę, konwencjonalną medycynę, pigułki i zastrzyki, ale nie w czary! Przez chwilę zastanawiał się również, jakie recepty ostatnio realizował pani Halince i czy to jej aby nie zaszkodziło. Chyba nie było nic od psychiatri... Może trzeba pomóc kobiecie i zawieźć ją do specjalisty? Tyle że najbliższy lekarz był w mieście obok. Może ksiądz by coś pomógł? Ale księdza też przecież nie mieli... Jakby to powiedzieć? Profesję zmienił. Ale może na bardziej przydatną w tym zakresie? Zdecydowanie ktoś powinien z nią porozmawiać. Tak, Wiktor będzie najodpowiedniejszą osobą.

Malwina i Balbina siedziały naprzeciwko przyjaciółki i wpatrywały się w nią z takim samym, pełnym powątpiewania wyrazem twarzy.

- Weź ty się ogarnij, kobieto - nie wytrzymała w końcu Balbina.

- Ogarnij się? Ja jestem najbardziej ogarnięta z was wszystkich - zdołała tylko powiedzieć Halina, bo zaraz wyczuła na sobie wzrok przyjaciółki. - Ogarnięta i przewidująca.

- Czarownica? - Janek zarechotał. - Chcesz ją spalić na stosie czy egzorcyzmy robić? Pamiętaj, że w miasteczku księdza już nie mamy.

- Mamy - zaprotestowała Malwina.

- No mamy, ale w cywilu - sprostowała Balbina.

- Ano racja. Cały czas nie mogę się pogodzić z tym, że nasz ksiądz już nie jest księdzem. Kiedy nie był potrzebny, był sługą Kościoła, a gdy jest teraz niezbędny, to raptem ma żonę i dzieci - westchnęła.

- Malwino!

- No co, źle mówię? Przydałby się przecież. Na siły nieczyste, czyli w kwestii tej, jak to powiedziałaś, czarownicy, i w zupełnie innych sprawach. Na przykład...

- Na przykład?

- Na przykład, czysto hipotetycznie, gdyby ktoś chciał wziąć ślub - powiedziała Malwina, po czym zrobiła się czerwona jak burak.

- Zachowujesz się, jakbyś miała osiemnaście lat, nie osiemdziesiąt. - Halina z dezaprobatą pokręciła głową.

- Nie mam jeszcze osiemdziesięciu! - burknęła obrażona na dobre Malwinka. - Na mnie czas - dodała wyniośle. - Wychodzę.

- A czarownica? - Halina zdumiała się brakiem zainteresowania przyjaciółki w sprawie tak fundamentalnej dla lokalnej społeczności.

- Myślę, że niejedną wiedźmę mamy w miasteczku - westchnęła, spojrzawszy wymownie, po czym wstała, poprawiła beret tkwiący dość solidnie na bujnych rudych włosach, narzuciła na siebie płaszcz, wyciągając zza kołnierza gęste loki, i wyszła z baru.

- Ale... - Jadwiga próbowała ją zatrzymać, wpatrując się w pusty talerzyk.

- Zapłacę za jej serniczek - uspokoiła ją Balbina.

Jadwiga odetchnęła z ulgą i opuściła rękę, którą chciała zatrzymać wychodzącą staruszkę.

- Na mnie też już czas - stwierdził Ksawery. - Dwa kawałki miałem. Sernik i jabłecznik.

- Czternaście złotych. - Nie trzeba było długo czekać na odpowiedź.

Aptekarz wręczył Jadwidze banknot dwudziestozłotowy i machnął ręką.

- Reszty nie trzeba - powiedział i wyszedł.

Pozostali siedzieli przez chwilę w milczeniu. Nawet pani Halinka na chwilę straciła całą swoją życiową energię. Miała żal do przyjaciół, że sobie poszli, nie poznawszy do końca historii.

- No dobra, to czy ktoś chce słuchać dalej? - zapytała w końcu. - Bo ja gadam, a wszyscy mnie lekceważą.

Jedyną osobą, którą interesowała historia Renaty, była chyba tylko Jadwiga. Nie wiadomo, czy ze względu na to, że im dłużej całe towarzystwo będzie siedziało przy stoliku, tym większe

prawdopodobieństwo zjedzenia większej ilości serniczków, czy z powodów wielce osobistych. Miała kilka spraw, które z przyjemnością powierzyłaby czarodziejskim mocom. Nie bardzo wierzyła w swoje możliwości, zupełnie nie akceptowała tego, że los jest w jej rękach. Odkąd ksiądz Wiktor się zakochał i ożenił, zaczęła się nawet zastanawiać, czy wszystko jest w rękach Boga. Bo przecież Bóg nie powinien pozwolić na taką grzeszną miłość. Dlatego była pewna, że przydałyby się jej jakieś nadprzyrodzone siły, które pomogłyby jej spełnić marzenia, najlepiej bez żadnego wysiłku. Zwłaszcza gdyby te siły mogły zawitać w miasteczku.

Tak, Jadwiga była bardzo zainteresowana czarownicą. Im dłużej myślała o ostatnich wydarzeniach w Małej Przytulnej, tym bardziej przyznawała rację Halinie. Od świąt, czyli od czasu, gdy Renata wprowadziła się do domu pod starym dębem, ciasto drożdżowe nie rosło jej tak wysoko jak zawsze, mleko kwaśniało dużo szybciej, ziemniaki już chyba przesoliła trzy razy, a twaróg psuł się w takim tempie, że można było z niego jedynie produkować olbrzymie ilości topionego sera z kminkiem. Na szczęście i piekarz, i Anatol lubili go tak bardzo, że sprzedawała go trzy razy drożej.

Niemniej jednak źle się działo... Źle się działo w miasteczku, ale również nie najlepiej na jej własnym niewielkim podwórku. Jej syn Tomasz zniknął na całe dni, podejrzewała, że wpadł w jakieś złe towarzystwo. Kilka razy nie wrócił do domu na noc, a jak już pojawiał się przed północą, to z tą babą. Wiedziała, że tak będzie, odkąd zdecydował się na liceum ogólnokształcące w miasteczku obok. I co on z tego będzie miał? Żadnego zawodu. Też pomysł – wykształcenie ogólne. Coś mówił, że na studia pójdzie. Jakie studia? Na tyłku w Małej Przytulnej miał siedzieć i bar z nią prowadzić, a nie obijać się przez kolejne lata. Miała już dość utrzymywania dzieciaka. Pomógłby jej, odciążył ją, a nie trwonil czas pod pretekstem nauki. Zresztą ona za bardzo nie wierzyła w edukację, bo komu by się chciało siedzieć z nosem w książkach z własnej woli, tym bardziej że w podstawówce,

w czwartej klasie, powtarzał rok. Zapewne więc nie był orłem, a snuł jakieś nierealne mrzonki o studiach!

Próbowała z nim rozmawiać. Prosiła, by się wziął w garść i jej pomógł przy domu i w barze, a on tylko milczał, zgarniał plecak i w długą. No i te noce poza domem... Do szkoły też chodził w kratkę. Kiedyś spotkała nauczycielkę syna, która pytała, czy Tomek jest chory, bo nie widziała go w klasie, zatem wagarował. A takie to kiedyś było dobre dziecko...

Jadwiga już sama nie wiedziała, czy bardziej była zła, czy się o niego bała. Tomek twierdził, że ma osiemnaście lat i może robić to, na co ma ochotę, ale przecież dla niej był wciąż małym synkiem. Niepokoiła się, że przez te wagary pewnie znowu straci rok, a dla niej to byłby kolejny rok bez drugich rąk do pracy. Mógłby rzucić tę szkołę, przecież po osiemnastce to już nie ma obowiązku szkolnego, a on się upierał, że maturę musi zrobić. Na co mu ta matura? I tak z niego naukowca nie będzie. Ona matury nie ma i żyje. I sobie całkiem dobrze radzi – prowadzi restaurację, do garnka ma co włożyć i na grzbiet też.

A może Tomek robił jakieś szemrane interesy? Już dawno mu pieniędzy nie dawała, a on nie prosił o nie. Wcześniej czasem ogródek skopał Marysi, ale teraz to Jadwiga kompletnie nie wiedziała, czym się zajmował jej syn. Tak, z pewnością szemrane interesy. A na to zdrowy rozsądek nie pomoże. Może jakieś zioła by dały radę i spowodowałyby, że jej syn osiadzie w Małej Przytulnej, a nie będzie się łajdaczył gdzieś poza miastem? Chociaż może lepiej, że robił to poza miastem, nie tutaj? Bo by dodatkowo ludzie gadali. No, nie udał jej się ten syn. Nie udał... Za co ją tak los pokarał? Tego nie wiedziała.

Wzburzona Malwina tylko resztkami dobrego wychowania powstrzymała się przed trzaśnięciem drzwiami. Uważała się za kulturalną, dobrze wychowaną, przyzwoitą (aczkolwiek ostatnimi czasy, ku swojemu zadowoleniu, nieco mniej) osobę i nie chciała ulegać

emocjom albo impulsom, jednak przez jej głowę przelatywały tak rysztołkowe wyrażenia, że sama była przerażona. Nie zdawała sobie sprawy, że w ogóle takie zna.

– Nie będę słuchać o żadnych czarownicach. Nie wierzę w nie – burknęła, gdy dotarła do parku, gdzie na ławeczce siedział jej narzeczony.

Anatol, odkąd zauważył szybko drepnącą w jego stronę Malwinę, wiedział, że coś się wydarzyło. Jeszcze nie widział takiego zdenerwowania u swojej ukochanej. Intuicyjnie jednak zdawał sobie sprawę, że rozzłoszczonej kobiecie nie należy przeszkadzać mówić, ale dać się jej wygadać, a potem mocno ją przytulić.

– Nie będziesz słuchać o czarownicach? – zdołał zapytać. – O jakich czarownicach? Coś mnie ominęło?

– Konkretnie o jednej! O Renacie! – zawołała Malwina. – Tej, która się wprowadziła nad rzekę.

– Renacie? – Podrapał się po głowie. Mimo iż bardzo się starał dotrzeć do najgłębszych zakamarków swojego umysłu, nie kojarzył nikogo o tym imieniu. Uznał jednak, że wypada posłuchać, co ma ukochana kobieta do powiedzenia albo przynajmniej wyrazić zainteresowanie w stopniu umiarkowanym. – A jaki ma związek Renata z czarownicami? – Wciąż nie nadążał za tokiem myślenia Malwinki, aczkolwiek bardzo się starał.

Poirytowana machnęła ręką.

– Ty nic nie rozumiesz... – westchnęła.

Tu Anatol chciał jej przyznać rację, aczkolwiek się bał. Domyślał się, że nie o to chodziło.

– Ja tu widzę drugie dno. – Usiadła na rozłożonym wcześniej przez Anatola na ławce kocu.

– Tak? – zapytał nieśmiało jej narzeczony. – Jakie?

– To chyba sięga jeszcze czasów, kiedy byliśmy młodzi. Pamiętasz tę historię z mężem Halinki? Alfredem?

- No znikł. Pamiętam, straszna tragedia. Poszedł na grzyby i nie wrócił.

Malwina machnęła ręką.

- Nie mówię tu teraz o lesie i grzybach. Tak, to była tragedia, ale ona dla Halinki zaczęła się wcześniej. Bo to było małżeństwo aranżowane. - Zamilkła na chwilę, jakby chciała sobie wszystko poukładać w głowie. - Ojciec Alfreda był lekarzem, ojciec Haliny sędzią, mieszkali tuż obok siebie i już od lat było wiadomo, że Halinka i Alfred zostaną małżeństwem.

- I tak się stało - stwierdził Anatol, ciesząc się w duchu, że w końcu coś w tej opowieści było jasne.

- Tak, pobrali się - zgodziła się Malwina, potrząsając rudymi włosami. - Ale tylko na chwilę...

- Znam różne aranżowane małżeństwa, które są szczęśliwe - próbował jej przerwać. - Niektóre nawet bardziej niż te z wielkiej miłości.

- Anatol, to zupełnie nie o to chodzi! - Zdenerwowała się. - Nie chodzi o żadne aranżowane małżeństwa!

- Nie chodzi? Ale przecież ty sama... Malwinko, ja znowu nic nie rozumiem... - jęknął.

- Bo ciągle mi przerywasz i nie mogę złapać wątku.

- Dobrze, już milczę, tylko mi wyjaśnij, jaki ma z tym związek jakaś czarownica. A potem mi powiedz, co to za Renata, bo nie kojarzę.

Malwina teatralnie osunęła się na oparcie ławki. Zapewne wszystko miało wskazywać na to, że opadła bez sił. Roman, rudy kot, który jak zawsze pojawił się znikąd, wskoczył na jej kolana, jakby chciał ją wesprzeć w opowieści i w tym, by nie czuła tak dotkliwie wiosennego chłodu.

- Chodź do domu. Wszystko ci wyjaśnię na spokojnie, ale może nie dzisiaj - powiedziała po chwili do Anatola i wstała z ławki, ku niezadowoleniu kocura.

- Zobaczcie, odkąd się wprowadziła ta Renata, źle się dzieje w naszym miasteczku – kontynuowała swój wywód Halina kilka dni później, jedząc kolejne ciastko.

- Dwadzieścia jeden złotych – zamruczała Jadwiga, zapisując kwotę w notesiku.

- Nie będę się wdawać w szczegóły. Było, minęło, wiele wody w strumyku upłynęło...

- Ja bym chciała ze szczegółami – zaprotestowała właścicielka baru.

- Pamiętajcie, że w tym domku nad strumykiem, tuż przy starym dębnie, mieszkała Marysia – jak w transie mówiła dalej Halina.

- Tak, pamiętam ją – powiedział Jan. – Nie widywałem jej często, prowadziła życie odludka, ale gdy byliśmy młodzi, przyjaźniła się z Alfredem. Mimo iż była od niego kilka lat starsza...

- No i właśnie o to chodzi – stwierdziła Halina.

- Kiedyś znałyśmy się lepiej, ale potem kontakt się urwał – westchnęła Balbina. – Jakby zdziczała trochę. Czasem wpadała do biblioteki, wypożyczała medyczne książki. Nawet ostatnio jakieś sama dla nas kupiła.

- A skąd miała pieniądze? – zapytała jak zawsze czujna w kwestiach finansowych Jadwiga.

- Widzicie?! – Halina zatriumfowała. – Skąd niby starsza pani ma mieć pieniądze na rozkurz? Nam się jakoś nie przelewa. – Rozejrzała się wokół. – Ktoś ją musiał... sponsorować! Ciekawe za co!

- A można tak źle o zmarłych mówić? – zatroskała się Malwina. – Przecież dopiero co byliśmy na jej pogrzebie...

- Ty lubisz pogrzeby – stwierdziła Balbina. – Możesz wtedy śpiewać te swoje rzewne piosenki.

- Na pogrzebie Marysi to raczej Janek zaszalał. – Ksawery zarechotał.

– Gabrysia mnie poprosiła, a ja mam do niej słabość. – Zawstydył się. – Ale nie ukrywam, też lubię pogrzeby. A wracając do Marysi, czy ktoś się nią zajmował przed śmiercią? – zapytał z troską.

– Mój syn chodził do niej kopać ogródek – powiedziała Jadwiga.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że ci syna zbałamuciła? – oburzyła się Halina.

– No teraz już przesadziłaś! – Właścicielka baru aż poczerwieniła ze zdenerwowania. – Zarabiał na jakieś głupoty u niej. Pomagał w ogrodzie i chyba jej zakupy robił.

– Na głupoty... – powtórzyła Halina, patrząc wymownie na matkę „uwiedzionego młodzieńca”.

– Ja... ja czasem realizowałem jej recepty – powiedział Ksawery, nie patrząc na nikogo.

– A kto po nie przychodził?

– A tacy jedni... Młodzież w sensie... – Unikał wzroku Jadwigi, bo dziwnym trafem nie zorientował się wcześniej, że najczęściej w leki zaopatrywał Marysię Tomek. – Albo Bogusia, ta, która z dziećmi jeździ do szkoły.

– Świnie jesteśmy – skwitowała Balbina. – Sama była i sama umarła. Jak palec.

– A ona nie miała żadnej rodziny? – zdziwił się Jan. – Coś mi się wydawało, że miała córkę...

– To była nasza koleżanka. Lubiliśmy ją bardzo, a przynajmniej na tyle, na ile ona dawała się lubić. Potem sama się skryła za tymi swoimi ziołami. Mam jeszcze od niej kilka herbatek. Pomagały.

– O czym wy w ogóle mówicie? Ja próbuję wam powiedzieć, że to był zły człowiek, a wy wzbudzacie we mnie poczucie winy, że jej nie odwiedzałam! A to, że ty, Balbinko, mówisz mi z takim spokojem, że przychodziła do biblioteki i ja nic o tym nie wiedziałam, odbieram jako zupełny brak lojalności wobec mnie!

- No nie mówiłyśmy ci, bo wiedziałyśmy, że będziesz się denerwowała.

- A jak się teraz denerwuję! Tysiąc razy bardziej!

- Była typem samotnika, dlatego nie spotykaliśmy się z nią - dyplomatycznie rozszedł sprawę Jan. - Chyba już nawet jako dzieci uważaliśmy, że jest dziwna.

- W tej rodzinie wszystkie kobiety były, oględnie mówiąc, oryginalne. - Balbina zamysliła się na chwilę, oddając się wspominkom. - Pamiętacie? Największe wrażenie robiła na nas jej babcia, Zuzanna.

- Tak... - zgodziła się Halina. - I właśnie o nią mi chodzi. Marysia mieszkała z nią przecież całe życie. W ogóle mężczyzn w tym domu nigdy nie było. Ja w każdym razie takich nie pamiętam.

- Wszyscy umierali młodo - zgodziła się Jadwiga. - Ginęli w nieszczęśliwych wypadkach albo chorowali.

- No właśnie, nie zaskakuje cię to? - Wnikliwie spojrzała na koleżankę.

- Takie czasy były. - Pokręciła głową, ścierając okruszki ze stołu. - Nie było w okolicy doktora, nie było aptekarza. Wszystko leczono ziołami.

- Do tego właśnie zmierzam! - ucieszyła się Halinka, mając nadzieję, że wreszcie wszyscy zaczynają rozumieć. - Ziołami! Zio-ła-mi! - powtórzyła dobitnie.

- No i...? - Jana wyraźnie znudziła już sytuacja.

W ogóle go nie interesowała ta cała historia, chciał iść się przewietrzyć, bo miał wrażenie, że nie może złapać tchu i serce mu bije za wolno. Albo zbyt szybko. Albo raz za szybko, a raz za wolno. Niechybnie miał arytmie albo migotanie przedsionków. Zresztą od pół godziny powinien już stać przy parku i grać na harmonijce. Był tak piękny dzień, że mógł nawet grać Wiosna, ach, to ty. Jako że nikt chwilowo nie umarł, z żalem musiał porzucić rzewne melodie na rzecz tych weselszych.

– Babcia Marysi była zielarką – powiedziała tymczasem Balbina. – Pamiętam, że chodziłam do niej z mamą, gdy cokolwiek złego się u nas działo. Komuś ręka spuchła albo kogoś zbyt często bolała głowa...

– Czarownicą była, nie zielarką! – krzyknęła Halina. – Czarownicą! Potrafiła tych wszystkich mężczyzn zabić siłą umysłu, a naszego Alfreda nawet zgubiła w lesie!

Na słowa „naszego Alfreda” Jan się zarumienił.

– Chyba nie winisz tej kobiety za to, że Alfred zaginał...? – zapytał cicho.

– Sam wiesz najlepiej, że za to akurat jej nie winię. Ale za co innego już tak!

– Halinko, przecież to bzdura! – Zwykle nad wyraz opanowany Jan zdenerwował się natychmiast. – Na to, jaki był Alfred, nie wpłynęły żadne czary.

– Bzdura, nie bzdura, ja tam swoje wiem. Widziałam, co babcia Marysi wyrabiała z tym zielskiem. Mogła zrobić wszystko, co chciała. Prosiłam ją nawet, by... do pewnych rzeczy użyła czarów, a że nie miała na to ochoty, to już inna sprawa.

– Natury człowieka nie zmienisz. Alfred się taki urodził i wolał mężczyzn.

– Zwyczaj śmiertelnik nie może wpływać na takie kwestie, ale taki, który zna się na magii...

– I naprawdę chciałabyś, żeby Alfred za wszelką cenę się zmienił? By był takim mężem na niby?

Halina jakby tego nie usłyszała, ale po chwili powiedziała cicho:

– I tak był mężem na niby...

– Halinko... – Jan popatrzył na nią z ogromnym współczuciem.

– Nieważne. Zostawmy już te wspominki i wróćmy do zasadniczego tematu... – Otrząsnęła się. – Mówię wam, to się dziedziczy. Nie wiem, czy Marysia była czarownicą, ale jej babka z pewnością. Najpierw babka, a teraz wnuczka. Myślałam, że po pogrzebie zielarki będzie

spokój w miasteczku, będziemy wolni od złych mocy, a tu cichaczem, ni stąd, ni zowąd się ta nowa wprowadziła. Kąpie się co dzień na golasa w strumyku i śpiewa dziwne pieśni! Żeby zimą włązić do lodowatej wody, to doprawdy trzeba być czarownicą! Nikt o zdrowych zmysłach tego nie zniesie!

Kiedy Halinka wspomniała o tym, że nowa lokatorka Małej Przytulnej urządza sobie nago kąpiele pod chmurką, wszyscy natychmiast się zainteresowali tematem. A najbardziej Ksawery, którego od posesji Renaty odgradzał jedynie drewniany płot, wprawdzie wysoki, ale dość zdezelowany. Postanowił, że któregoś dnia sprawdzi osobiście, czy staruszka mówiła prawdę. Przecież trzeba trzymać rękę na pulsie.

- A skąd ty to niby wiesz? - zainteresowała się Jadwiga. - Skąd znasz jej codzienne rytuały?

- To już moja tajemnica - burknęła Halina.

Nie chciała, by inni się zorientowali, iż w zasadzie każdy dzień zaczynała od spaceru w okolicę domu przy starym dębie. Nie powiedziała też nikomu, że tam, rozchylając winny bluszcz, przez dziurę w płocie podglądała poranne harce Renaty. I im częściej się jej przyglądała, tym bardziej była zniesmaczona, ale też zadziwiona, ile radości tej kobiecie sprawiało moczenie się w lodowatej wodzie. Stanowczo musiała mieć nierówno pod sufitem.

- Halinko, ja mam wrażenie, że ty po prostu masz jeszcze żal do babci Marysi o tamtą sytuację... - zaczęła Balbina, która doskonale знаła historię nieudanego małżeństwa przyjaciółki. - Ale ona naprawdę wtedy nie mogła ci pomóc.

- Nie mogła... - westchnął Jan.

- Czy ja się wreszcie dowiem, o co chodzi? - zapytała Jadwiga, ale wszyscy nagle zamilkli. - Kiedy nie wiadomo, o co chodzi, zawsze chodzi o pieniądze - skwitowała.

- Wcale nie - powiedzieli równocześnie Balbina i Jan.

- Kiedy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o miłość, Jadwigo - stwierdziła Balbina.

- Niespełnioną - dodał Jan, patrząc wymownie na Halinę.

Absolutnie nie miał na myśli Haliny, jako obiektu miłości, ale jej męża, którego kochał nad życie i który zaginął dawno temu w lesie.

- No i co z tą Marysią? - zapytał Anatol, raczej z grzeczności niż z ciekawości, gdy zmarznięci usiedli z Malwiną do stołu, by zjeść obiad.

- To jeszcze raz... - westchnęła. - Halina kochała się w Alfredzie na zabój. A on... hm...

- Alfred kochał się w Janku - dokończył Anatol.

- I ty tak spokojnie o tym mówisz? - zdziwiła się Malwina. - Skąd wiesz?

- Przecież wszyscy o tym wiedzą. Miłość nie wybiera, Malwinko. - Wzruszył ramionami.

- To ja się od tygodnia zastanawiam, jak ci to wszystko opowiedzieć, a ty o wszystkim już wiesz? I niepotrzebnie cały czas się tym stresuję!

- Wiem o Alfredzie i Janku, ale nie wiem, jaki związek ma z tym Renata.

- Bardziej jej babcia, Marysia, i praprababcia. Bo gdy Alfred powiedział Halinie o swoich... hm... upodobaniach...

- O swojej orientacji - poprawił jak zawsze rzeczowy Anatol.

- Tak, o orientacji - zgodziła się Malwina. - Bo to było tak... Halinka poszła do pani Zuzanny, tej zielarki, poprosić o jakąś miksturę, dzięki której będzie można skierować uczucia Alfreda w zupełnie inną stronę. W jej stronę. I kiedy Alfred jej się oświadczył, była pewna, że się udało. Chyba nawet do tej pory wierzy, że te zioła działały...

- To niemożliwe - zaprzeczył Anatol.

- Wiem przecież, ale spróbuj to przetłumaczyć Halinie.

- Słyszałem, że rodzice Alfreda postawili mu ultimatum, chyba zagrozili mu wydziedziczeniem czy coś... W każdym razie podobno zmusili go do tego ślubu. Jan mi o tym opowiadał...

- Być może tak było. Ale Alfred przyjaźnił się z Marysią i mówił jej o wszystkim. O swoich uczuciach również. Podobno to właśnie ona namówiła go, by mimo tego całego ślubu wyznał prawdę Halince. Nie kochał jej miłością romantyczną, zresztą wydaje mi się, że o tym wiedziała, ale szanował ją i po prostu lubił. Nie chciał jej oszukiwać.

- No dobrze, ale nadal nie wiem, dlaczego Halina obwinia Marysię - zdziwił się Anatol.

- Tamtego dnia, kiedy Halinka się dowiedziała, że... jej narzeczony... kocha inaczej, wcześniej widziała go, jak popijali z Marysią jakąś herbatkę, którą ta przyniosła od Zuzanny.

- I Halinka myśli, że to wina tej herbatki? - Anatol starał się nadażyć, chociaż nie było lekko. - Że to ziółka sprawiły, że Alfred nie był nią zainteresowany?

- Dokładnie tak. Ona łączy jego wyznanie z tą herbatką. Myśli, że w grę wchodziły tu jakieś tajemne moce.

- Malwinko, a nie wydaje ci się to po prostu głupie? - odważył się zapytać Anatol. - Mamy dwudziesty pierwszy wiek, a ty o czarach...? Jak w jakimś durnym serialu.

- Ja już sama nie wiem, kochanie - westchnęła. - Może i to jest głupie, ale pewne jest to, że zarówno Marysia, jak i jej babcia robiły cuda z tymi ziołami. I sama jestem świadkiem, że te jej napary i okłady naprawdę na wiele dolegliwości pomagały.

- Renata też takie cuda robi?

- Tego nie wiemy, ale wydaje mi się, że ona chyba się na tym nie zna. Mam nawet wyrzuty sumienia, że nie poszliśmy jej przywitać, gdy się wprowadziła. Ale właściwie zrobiła to tak jakoś po cichutku, że nawet nikt o tym nie wiedział. Potem pojawiała się tu i ówdzie, więc dopiero wszyscy się zorientowali, że została tu na stałe. Ale na zakupy chyba jeździ do miasta albo wszystko przysyłają jej pocztą.

- Jeszcze przecież można iść ją przywitać.

- No teraz to już trochę głupio. Mieszka tu od jakichś trzech miesięcy, więc musztarda po obiedzie. Pomyślałaby, że my wścibskie albo co... Niemniej jednak, wracając do historii, Halinka w dalszym ciągu ma ogromny żal do tej rodziny. Wiesz, zawsze łatwiej kogoś obwinić za swój los, niż po prostu przyjąć go takim, jakim jest - westchnęła Malwina. - Może łatwiej się żyje, gdy znajdzie się winnego?

- Masz rację, Malwinko. Ale nie myślmymy już o tym. Chodź, położymy się na pół godzinki po obiadku. - Ziewnął przeciągle.

- Będę się zbierać.

- A dokąd?

- Do domu przecież.

- Zostań jeszcze chwilę. Może nawet na noc?

- Znowu? - Uśmiechnęła się wstydliwie.

- A może na zawsze? - zapytał Anatol. - Wynajmijmy komuś to twoje mieszkanie i zamieszkajmy u mnie we dwoje. Tak długo musiałem żyć bez ciebie, że naprawdę nie chcę się z tobą rozstawać, choćby tylko na czas, kiedy śpimy. Chcę cię mieć przy sobie, czuć cię, gdy się obudzę w środku nocy. Żebyś mi już nigdy nie znikła.

- Boisz się, że czar pryśnie?

- Nie pryśnie. Nigdy. - Przytulił ją mocno. - Prawda?

Staruszka pokiwała głową.

4. Maria

Witania ospała (Withania somnifera), czyli indyjski żeń-szeń – tak inaczej nazywana jest ashwagandha, indyjskie zioło o wszechstronnym działaniu, uznawane za jedno z najpotężniejszych w medycynie ajurwedyjskiej, jeszcze w czasach antycznych. W sanskrycie (języku używanym w starożytnych Indiach) ashwagandha określana była jako „woń rumaka”, co miało świadczyć o efektach jej działania – dodawaniu wigoru i siły. Obecnie można się również spotkać z mianem „zimowa wiśnia”.

Ashwagandha ma właściwości antyoksydacyjne, w jej składzie znaleźć można m.in. przeciwbakteryjne i przeciwnowotworowe witanolidy. Suplementacja ashwagandhą polecana jest w okresach stresu i zmęczenia. Wspomaga ona bowiem funkcjonowanie mózgu, reguluje nastrój i system odpornościowy, jest stosowana przy chorobach autoimmunologicznych.

Tęsknię za Tobą coraz częściej, Tomek kilka razy mnie już pytał, czy może do Ciebie napisać. Józefiny już nie ma, zostałaś mi tylko Ty... Jeszcze chwilę poczekam.

Zawsze w naszej rodzinie było tak, że to matki przekazywały swoje życiowe mądrości córkom, a te z kolei swoim córkom... Ja Józefinie przekazałam wszystko, co mogłam. Z niektórych rzeczy skorzystała, z innych nie. Nie wiem, co Ci opowiedziała, ale myślę sobie, że spróbuję Ci opisać to wszystko, co chciałabym, byś wiedziała. Tylko czy mi życia wystarczy? Piszę coraz wolniej. Coraz wolniej myślę. Nawet się zastanawiałam, czy nie

poprosić Tomka, by nagrał moje słowa i myśli na ten swój telefon. Proponował mi to kiedyś, ale nie chciałam. Przecież aby poukładać sobie wszystko w głowie, musiałabym i tak wcześniej wszystko zapisać.

Coraz częściej myślę, że mogłam tym moim życiem pokierować inaczej. A ja przecież zawsze uważałam, że jestem z tych nieomylnych. Nigdy nie oglądałam się za siebie, parlałam do przodu. Chyba nawet nie wyciągałam wniosków z popełnionych błędów, bo zwykle w ogóle ich nie dostrzegałam... Teraz myślę, że jednak się zdarzały. Może zmadrzałam przez te wszystkie lata? Niestety, na pewne lekcje jest już za późno, bo nikt z nas nie może cofnąć czasu.

Chciałam, by moja córka była szczęśliwa, ale niewiarygodnym wydawało mi się, że może być szczęśliwa w inny sposób, niż ja tego oczekiwałam. Rozumiesz to? Pragnęłam, by podążyła wytyczoną przeze mnie drogą. Nie brałam w ogóle pod uwagę, że ona może mieć swoją receptę na szczęście. To tak, jak jedni wolą zapach róży, a inni konwalii. Czasem tak są zapatrzeni w te swoje przyzwyczajenia, że nawet nie chcą próbować niczego innego. Ja na przykład byłam pewna, że aromat konwalii jest dla mnie najlepszy, a potem do miasteczka wprowadziła się Laura, dobrała mi perfumy i okazało się, że najlepiej się czuję z zapachami mandarynki i szatwii, zmieszanymi z hiacyntem i irysem. Dodała też trochę fiołka, dzikiej róży oraz kwiatu brzoskwini. I gdzie tu moja konwalia? Gdyby nie Laura, nie znalazłabym innej drogi i nie wiedziałabym, że mogę być szczęśliwsza, niż jestem.

Tak samo jest z życiem. Nigdy nie próbowałam niczego innego. Nigdy nie byłam nikim innym niż zielarką z Małej Przytulnej. Podobnie jak moja mama, babcia i prababcia. Dlatego byłyśmy takie zaskoczone, że Józefina wybrała inną drogę. W głowie nam się to nie mieściło! Jestem ciekawa, jaką Ty wybrałaś drogę. Mama pewnie nie pokazała Ci tej, którą od lat podążały kobiety w naszej rodzinie. Trochę szkoda...

Pragnę Ci opowiedzieć o tym, co kocham, byś miała wybór. Mam nadzieję, że będzie ku temu okazja. Byś poznała ten dom i okolice, wstała o poranku i zamoczyła nogi w strumyku, poczuła, jak pachnie ogród

w pełnym słońcu, a jak wtedy, gdy rośliny są zmoczone ranną rosą czy wiosennym deszczem. Byś zastanowiła się, która ścieżka jest najlepsza dla Ciebie. Jeżeli wybierzesz miasto, proszę Cię tylko, byś pamiętała o tym, że można inaczej. I nie prowadziła swojej córki tylko jednym, znanym Tobie szlakiem.

Nie odzywałam się do Twojej matki tyle lat. Ciebie w ogóle nie znam. Dlaczego nie próbowałam Was odszukać? Nie mam pojęcia. Czasem człowiek postępuje wbrew sobie. Na złość światu?

Mam wrażenie, że zmarnotrawiłam mnóstwo czasu. Zmarnowałam życie na niepotrzebne dąsy i samotność.

Ostatnio uzmysłowiłam sobie dobitnie, że trzeba żyć w zgodzie ze sobą. W zasadzie robiłam tak zawsze. Szkoda tylko, że wymagałam od innych, by żyli w zgodzie ze mną. Zaskakujące, prawda? Nigdy nie myślałam o sobie, że jestem egoistką. Byłam pewna, że życie mnie tak ciężko doświadcza. Przecież zostałam opuszczona! I to przez własne dziecko! Córka wyjechała na studia, byłam przekonana, że wróci, ale ona wybrała wielkomiejskie życie zamiast tego, które tak dobrze znała i dotąd kochała. Potem związała się z mężczyzną, którego zupełnie nie akceptowałam... Jednak gdy w grę wchodzi miłość, trudno oczekiwać, że dziecko będzie słuchać matki. Teraz, mądrzejsza o dobre kilkadziesiąt lat, już o tym wiem. Ale jest za późno...

Dzisiaj się zastanawiam wyłącznie nad jednym... Dlaczego kazałam jej wybierać? To było... okrutne! Przecież oboje mogliśmy iść zgodnie obok niej – i ja, i jej mężczyzna... Jakbym zapomniała, że w pewnym momencie życia matka schodzi nieco na drugi plan, bo nasze dzieci dorastają, zaczynają w wielu kwestiach bardziej ufać rówieśnikom, a później zakładają swoje rodziny. I tylko od matki zależy, czy w tej nowej rodzinie córka przyszykuje dla niej jakieś miejsce.

Ja nie byłam na tyle silna, by być obok niej. Zatrulałam Twojej mamie życie. Każdym słowem dolewałam kroplę trucizny, która uśmiercała nasze relacje. Zupełnie jej się nie dziwię, że mnie unikała, bo zamiast pomagać, żeby wciąż rozkwitała, przeze mnie była nieszczęśliwa. Unikała mnie, bo sprawiałam, że czuła się źle, z każdym dniem coraz gorzej.

Cały czas mi się wydawało, że ze mną jest wszystko w porządku. To inni powinni mnie przeproszać, bo przecież zawsze mam rację! Albo inaczej – zawsze ma rację starszy... Byłam o tym święcie przekonana! Nie dopuszczałam do siebie myśli, że można się w życiu pięknie spierać. Można się mocno pokłócić, ostro dyskutować, mieć odmienne zdanie na dany temat, a nadal potem można ze sobą rozmawiać i się kochać. Czy nie na tym właśnie powinna polegać miłość czy prawdziwa przyjaźń? Na tym, by rozmawiać i niezależnie od rezultatu wymiany myśli nadal się szanować?

Oczywiście, jeżeli chodzi o własne dziecko, to jest bardzo trudne. Cały czas się wydaje, że wiesz lepiej, że bardziej znasz świat, w który je wypuszczasz, ale zapominasz o tym, że ten świat się zmienia. Ja zupełnie nie przewidziałam tego, że młodość łatwiej przystosowuje się do tego, że rzeczywistość, do której byliśmy przyzwyczajeni, już tak naprawdę nie istnieje.

Kiedy Tomek pokazał mi w swoim telefonie Twoje zdjęcie, oniemiałam. Chciałam oglądać więcej i więcej, ale mogliśmy zobaczyć tylko tę jedną fotografię. Dla mnie było to i tak wiele, ale – jak to się mówi – apetyt rośnie w miarę jedzenia... Bardzo się cieszę, że dożyłam czasów, gdy mogę oglądać kawałek Twojego świata, zupełnie nie znając Ciebie. Chciałabym już Cię spotkać, ale najpierw muszę sobie wszystko poukładać w głowie (wiem, że często to powtarzam, ale to chyba tak naprawdę jest najtrudniejsze). Czekałam tyle lat na to spotkanie, to mogę poczekać jeszcze chwilę, prawda?

Nasze drogi się rozeszły, bo chciałam postępować dokładnie tak, jak postępowały moje matka i babka, i chyba nawet prababka. Jak? Tak, że ta młodsza zawsze słuchała starszej. Dla nas mądrość życiowa była najważniejszą wartością. Ale to były inne czasy... Skąd miałyśmy zdobywać wiedzę, jak nie od starszych? Nie było telewizji, Internetu, nie miałyśmy dostępu do tylu książek... I chyba gdzieś się pogubiłam w tym starszeństwie i w tym, że nie dopuszczałam do siebie myśli, iż może być inaczej.

Bałam się zmian, nie akceptowałam ich i dlatego tak trudno było mi zrozumieć moją córkę. Ona pierwsza się zbuntowała i nie chciała żyć tak, jak żyłyśmy my do tej pory. Ja nawet nie wiedziałam, że mogłabym inaczej.

Na przykład że kiedykolwiek mogłabym stąd wyjechać. Nie umiałabym zostawić tego domu, wypieszczonej ręką pokoleń ziemi, drzew i kwiatów, które rosły tu od zawsze. Legenda rodzinna głosiła, że dawno, dawno temu ktoś przyjechał z daleka i przywiózł walizkę z nasionami. Te nasiona się u nas przyjęły i dawały plony po dziś dzień. Może to była prawda? Pewnie tak, bo skąd by się u nas wzięły żeń-szeń czy konopie. Naprawdę wokół domu pod starym dębem mamy prawdziwe cuda natury – niektóre rośliny, kierując się intuicją, przesadziłam do szklarni i dopiero tam odżyły, inne zostawiłam w ogrodzie. Ich nazwy często poznawałam przypadkowo, oglądając jakieś gazety czy pożyczając książki botaniczne z biblioteki, ale doskonale wiedziałam, jak i na co je stosować. Zobaczysz zeszyty, które przechodziły z rąk do rąk. Starannie wykaligrafowane opisy i piękne rysunki – to jest wiedza, która teraz jest najcenniejsza. Babcia miała rację... To skarb, którego Twoja mama zupełnie nie doceniała.

I chyba z tego powodu było mi najbardziej przykro. Bo ja, moja mama i babcia oddałybyśmy życie za te ziola, za to miejsce, za wiedzę, którą wszystkie zapisywałyśmy w tych zeszytach. Nasza rodzina przetrwała w tym domu dwie wojny i nikt nigdy z własnej woli stąd nie wyjeżdżał. Dlatego nie potrafiłam zrozumieć, że moja córka marzy tylko o wyfrunięciu z gniazda. Na początku szczyliłam się tym, że jako pierwsza w naszej rodzinie poszła na studia. Moja mama nie umiała tego zaakceptować. Pytała mnie wciąż, po co Józia ma się uczyć gdzieś daleko, skoro cała wiedza jest zamknięta w naszych głowach i sercach. Pamiętam, że dziwiłam się jej, bo ja pękałam z dumy. Oczywiście zastanawiałam się, co moja córka będzie robiła, gdy wróci. Najpierw poszła na farmację, a po dwóch latach dokończyła jeszcze chemię.

Cieszyłam się i jak paw chodziłam po ulicach naszego miasteczka. Wtedy myślałam, że jestem taka nowoczesna. Zaakceptowałam, że świat się zmienia, i uznałam, że wiedza, którą zdobędzie Józefina, przyda się do tego, by nasza zielarnia wzrastała i by w naszej szklarni rosły coraz to nowsze gatunki. Ale ona nie chciała tutaj wracać. Jej dom był już w zupełnie innym miejscu. Nie umiałam tego zaakceptować i to był początek końca.

- Wszystko zaliczone – pochwaliła się Józefina, gdy przyjechała któregoś dnia na weekend.

Przywiozła ze sobą kolegę. Chyba zbyt obcesowo nazywałyśmy go z moją mamą „kolegą”, bo czuło się między nimi jakieś dziwne napięcie, ale przecież Józefina nie powiedziała nam tak naprawdę, kim on dla niej jest. Nie uprzedziła nas też, że w ogóle przyjadą razem, więc byłyśmy bardzo zaskoczone.

Na początku było nawet miło. Nasza rodzina jest przecież bardzo gościnna. Siedzieliśmy razem przy stole, zaparzyłam herbatę, zrobiłam lemoniadę z miętą i stewią. Taką jak lubiła moja córka.

- To bardzo dobrze, że masz już z głowy. - Ucieszyłam się. - Wiedziałam, że wszystko zdasz śpiewająco. Gratulacje, córeczko. Cudownie, że tak dobrze ci idzie. To było pewne, że dasz radę.

- Jeszcze tylko magisterka i koniec – stwierdziła, zajądając szarlotkę, którą moja mama upiekła z owoców z naszej jabłonki.

Józefina była najwyraźniej jedną z najlepszych studentek na roku. Pokazywała nam jakieś dyplomy, pochwały. Do tej pory nikt w rodzinie nawet matury nie miał, a w zasadzie żadna kobieta, bo mój mąż był wykształcony, prowadził aptekę. Przez te kilka wspólnych lat, kiedy żył... Powinnam być zadowolona, że córka idzie w ślady ojca, prawda? Jednak zupełnie tego nie brałam pod uwagę, jakbym zapomniała o jego istnieniu. To pokazywało, że do mężczyzn miałam stosunek zdecydowanie lekceważący. Ale cóż się dziwić, skoro tych mężczyzn w naszym domu właściwie nigdy nie było, przeważnie byłyśmy same i wypracowałyśmy sposób radzenia sobie z różnymi sytuacjami wyłącznie w kobiecym gronie. Po prostu... Mój tata zginął na wojnie, dziadek na wieść o tym również podupadł na zdrowiu i wkrótce potem także zmarł. Mój mąż też odszedł bardzo szybko, niedługo po naszym ślubie. Zawsze powtarzałyśmy, że w kobietach siła, że mamy kobiecą moc, jednak nie miałyśmy wyboru, zmusiły nas do tego okoliczności.

– Cieszę się, że wreszcie wrócisz do domu. – Poklepałam córkę po dłoni. Nie nawykłam do czułości. Nikt w rodzinie specjalnie nie obnosił się z miłością. Tak zostałam wychowana. Do roślin mówiło się pieszczotliwie, do ludzi nieco mniej. – Bardzo nam ciebie tutaj brakuje.

Józefina pobladła. Wyglądała, jakby chciała mi o czymś powiedzieć, ale nie wiedziała, jak zacząć.

– No właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać, mamó. Ja...

– Wszystko jest przygotowane na twój przyjazd. W pokoju nic się nie zmieniło – przerwałam jej. – Czeka na ciebie.

Chciałam dodać, że jakby wzięła ślub, to przecież można wyremontować całą górę i oddać młodym. Tak było od pokoleń. Starsi mieszkali na dole, a młodszy na piętrze. Nie miałam jednak śmiałości tego mówić, bo wciąż nie wiedziałam, w jakim charakterze przywiozła swojego „kolegę”. Wołałam jej o tym powiedzieć wtedy, gdy będziemy same.

– Mamó, ja nie wrócę do Małej Przytulnej – powiedziała Józefina, patrząc mi prosto w oczy.

– Jak to? – zapytałam zdziwiona.

Moja mama robiła coś przy kuchence i z jej rąk wypadła patelnia. Narobiła ogromnego hałasu.

– Jak to nie wrócisz? – zapytała w ślad za mną. Wytarła rękę w ścierekę i usiadła z nami przy stole, wpatrując się we wnuczkę.

– Dostałam propozycję pracy na uniwersytecie. Zaraz po studiach. Będę uczyła studentów i zrobię doktorat.

– No ale co z nami? – wydukała mama. – My przecież mieszkamy tutaj.

– U was się chyba nic nie zmienia, prawda? – powiedziała spokojnie moja córka.

Nie mogliśmy wtedy w ogóle zrozumieć, co ona do nas mówi. Dla nas oczywistym było to, że te jej studia są jakąś fanaberią, trzeba tę fanaberię przetrwać, a później wszystko wróci do normy. Jaki doktorat?

Praca na uczelni? Już za długo byliśmy same. I tutaj nie o to chodziło, że potrzebowałyśmy pomocy. Nie, dawałyśmy sobie radę doskonale. Ale to nie tak miało być! My po prostu obie założyłyśmy, że Józefina wróci do domu, będzie z nami mieszkać, tak jak było zawsze. A ona miała zupełnie inne plany i te plany kompletnie nie zostały przez nas zaakceptowane.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytałam.

– Po prostu... Będę mieszkała w Warszawie i pracowała na uczelni. Na początku wynajmę jakieś mieszkanko, potem się coś pomyśli...

Nie mieściło mi się w głowie, że moja córka wybiera mieszkanie w blokowisku zamiast domu z cudownym ogrodem. Nie zapytałam jej wtedy, dlaczego podjęła taką decyzję. Zupełnie mnie to nie interesowało. Od razu założyłam, że to jest jakiś wyjątkowo idiotyczny pomysł, który należy zdusić w zarodku.

Tamtego wieczoru bardzo się pokłóciłyśmy. Odniosłam wrażenie, że ta przekonana do swoich racji młoda kobieta nie była moją córką. Gdzie się podziała dziewczynka, która słuchała mnie we wszystkim? Przecież do tej pory podążała za mną, ścieżką, którą ja dobrze znałam, którą wydeptały moja mama, babcia i inne kobiety wiele pokoleń wstecz.

To nie była jedyna kłótnia z moim grzecznym i posłusznym do tej pory dzieckiem. Relacje z nią przypominały stary, prujący się sweter, z którego luźno zwisały nitki. Wystarczyło którąś z nich pociągnąć, a okazywało się, że bezpowrotnie straci się jakąś część. Pewnie gdybym w porę zareagowała, mogłabym wszystko odbudować, ale nie zrobiłam tego. Nauczona przez matkę i babcie uległości wobec starszyny, byłam przekonana, że to Józefina powinna pierwsza wyciągnąć do mnie rękę na zgodę i się ukorzyć. Oczywiście, robiła to. Wiele razy. Była jednak konsekwentna w swoich wyborach. Zarówno zawodowych, jak i prywatnych. A że wybory te zupełnie nie zgadzały się z drogą, którą ja dla niej wytyczyłam, coraz bardziej oddalałyśmy się od siebie.

Może właśnie dlatego tak bardzo chciałam bliżej poznać Tomka, który mnie odwiedził zupełnie nieoczekiwanie, chcąc ukraść liście

konopi? Bo zobaczyłam w nim Józefinę sprzed lat? Dopiero gdy się zaprzyjaźniliśmy, poczułam targające nim emocje, poznałam myśli drugiej strony. Zobaczyłam, jak to jest mieć marzenia, o których nawet nie można powiedzieć najbliższym, i jak trudno jest do nich dążyć w pojedynkę.

I naprawdę chciałam mu pomóc zrealizować wszystkie jego plany. Nawet te, których jeszcze sam nie poznał. Jakbym chciała nadrobić to, czego nie zrobiłam wiele lat temu w relacjach z moim własnym dzieckiem.

Na początku nie wiedziałam nawet, czy mój nowy znajomy jeszcze kiedykolwiek mnie odwiedzi. Przecież byłam starą, zapewne nudną w jego mniemaniu kobietą. Czułam jednak całą sobą, że to nie jest jednorazowa znajomość. I tak się faktycznie stało.

Najpierw przychodził chyba tylko dlatego, że miał wyrzuty sumienia. Obawiał się, że zadzwonię w końcu na policję i opowiem o tym, że próbował wejść do mojego ogrodu.

– Nie bój się, chłopaku – powiedziałam któregoś dnia. – Ja mam na ciebie haka, a ty na mnie.

– Ja na panią? – zdziwił się.

– Uprawa konopi jest przecież nielegalna. – Uśmiechnęłam się zadziornie.

– Ale pani nie uprawia konopi. Przecież w ogrodzie rośnie krzew koralowy i ketmia.

– Zapamiętałeś? – zapytałam zaskoczona.

– Pewnie. To niesamowite, że to, co rośnie koło naszego domu, może nam pomagać albo szkodzić. To jakby czary! Czytałem potem o tym w takiej jednej książce...

– Chodź ze mną. Pokażę ci, co jeszcze mam.

Wyszliśmy z domu. Nie pamiętam, czy to był początek lata czy późna wiosna, w każdym razie w ogrodzie było już bardzo zielono.

Opowiadałam mu o każdej roślinie, obok której przechodziliśmy, i objaśniałam mu działanie ziół, które zbieraliśmy w piękny zielony bukiet.

– I one pomagają na wszystko? – dziwił się Tomek.

– Pomagają na wiele rzeczy. Ja osobiście myślę, że w tych czasach za szybko zażywamy lekarstwa. Zobacz, w telewizji same reklamy medykamentów. Moglibyśmy się bardziej posiłkować naturą. Oczywiście, czasem trzeba się wspomóc konwencjonalną medycyną, ale zwykle wystarczy to. – Pokazałam mu sosnę, na której pniu widoczna była żywica.

– A na co to? Zawsze się wkurzam, gdy się do tego przyklejam. Trudno później sprać z ubrań.

– Na żywicę mówi się „lzy drzewa”. I właściwie działa ona korzystnie na... wszystko. – Roześmiałam się i wyjęłam z kieszeni fartucha słoiczek oraz nożyk. – Tu mam jedną sosnę, rośnie u nas od lat, ale żywicę możesz znaleźć w zasadzie w każdym lesie. Musisz poszukać zranionych drzew, połamanych gałęzi, tam będzie jej najwięcej. Masz. – Wręczyłam mu słoik i nóż. – Gdy żywica jest świeża, faktycznie bardziej się lepi.

Tomek cierpliwie zeskrobywał żywicę z pnia sosny. Robił to delikatnie, jakby nie chciał uszkodzić drzewa.

– I co się z tym później robi?

– Będzie maść. Uprawiasz jakiś sport?

– Biegam czasem. Gram w koszykówkę...

– Świetnie, będziesz miał na zakwasy, a ja na reumatyzm. Kiedyś robiłam z gęsim smalcem, a teraz używam oleju kokosowego i wosku pszczelego. Czasem zbieram też igły sosny, miele je i dodaję.

– Czy ja mogę to wszystko nagrać? – zapytał nagle, wyjmując telefon.

– Nagrać? – zdziwiłam się.

– No tak, żeby potem zapisać.

– Mam notatniki, w nich jest wszystko.

Tomkowi zaświeciły się oczy.

– Będę mógł je kiedyś przeczytać?

– Interesujesz się botaniką? – zapytałam z nadzieją.

– Nie wiem, czym się interesuję. Myślę, że wszystkim po trochu. Chyba szukam jeszcze swojej drogi, ale fascynuje mnie to, że wiele chorób można wyleczyć. Można też poprawić samopoczucie człowieka, jeśli się wie, jak to zrobić.

Pamiętam jego wzrok wpatrzony w jakieś miejsce na mojej ścianie. Oczywiście nie było tam nic interesującego, bo Tomek próbował chyba wpatrywać się w przyszłość i zobaczyć, co ta przyszłość dla niego szykuje. Nie miał wtedy jeszcze świadomości, że trochę możemy pomóc naszemu losowi przez swoje działanie. Jesteśmy w stanie sami wytyczyć sobie ścieżkę, która nas poprowadzi do celu. Oczywiście, najpierw ten cel trzeba jednak znaleźć. Popróbować wielu rzeczy, by trafić na tę jedną, która nas pochłonie bez reszty.

Patrzyłam wtedy na tego chłopaka, który był już w takim wieku, że nikt nie mógł go nazywać dzieckiem, ale też nie był jeszcze dorosłym. To taki dziwny etap w życiu młodego człowieka, kiedy może wiele, ale jednak nie wszystko. Przypominał zamknięty zawiązek kwiatka. Ci, którzy nie znają się na kwiatach, nie mieli pojęcia, w co się ten pąk rozwinie. Ci, którzy wiedzieli więcej, mogli to przewidzieć. Ja znałam się na roślinach i trochę na ludziach. Miałam bardzo dobre przeczucia co do Tomka. Tylko z nim było tak samo, jak z tym jeszcze nie do końca wykształconym kwiatem – trzeba było mu zapewnić odpowiednie warunki, by rozkwitł. Jego matka chyba nie była tym zainteresowana, wypadło więc na mnie.

– Nie pomógłbyś mi czasem w ogródku? – zapytałam znienacka. – Stara już jestem i coraz częściej sił mi brakuje. Umówilibyśmy się na stawkę godzinową.

– Ale ja nie mógłbym brać od pani pieniędzy... – zachnął się.

– Będziesz miał fundusze na książki. O mózgu i o... roślinach?

Tomek przez chwilę się wahał.

- Dobrze... Tylko ja muszę się też uczyć... Jestem w liceum... Mama tylko czeka, aż noga mi się powinie i wrócę tutaj... Niedługo kończę osiemnaście lat i już nie będę musiał chodzić do szkoły. Korzystam, póki mama wie, że muszę...

- Pewnie, nauka jest najważniejsza. A jak przewietrzysz się w ogrodzie, trochę zmęczysz, to wszystko zdecydowanie lepiej będzie ci wchodziło do głowy. A gdy będziesz miał zakwasy po intensywnym kopaniu ogrodu, to...

- Będę miał maść z żywicy! - Roześmiał się.

- Właśnie tak.

- Dobrze - zgodził się po chwili. - Z przyjemnością będę pani pomagał.

- Dwa razy w tygodniu?

- Tak.

Byliśmy umówieni. Na koniec podarowałam mu jeszcze herbatkę, którą zmieszałam specjalnie dla niego. Na lepszą koncentrację. Trochę melisy, nasiono kozieradki, korzeń witani ospałej i jeszcze kilka innych składników, by mu się lepiej myślało. Wziął słoiczek do ręki i popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

- A co tam jest w środku?

- Napiszę ci. Poczytaj.

- *liść melisy lekarskiej*

- *nasiono kozieradki*

- *korzeń witani ospałej*

- *liść miłorzębu japońskiego*

- *korzeń różenia górskiego*

- *korzeń eleuterokoka kolczastego*

Kiedy przychodził do mnie, czułam się, jakby odwiedzała mnie młodość. Opowiadał mi o sprawach, o których nie miałam bladego

pojęcia. Moja znajomość współczesnego życia ograniczała się do kilku programów telewizyjnych. Telewizor miałam duży i chyba całkiem nowoczesny. Kiedyś aptekarz kupował sobie nowy i mi podarował ten. Lubiłam czasem dowiedzieć się, co słychać na świecie, więc włączałam go w czasie wiadomości. Pewnego razu Tomek przyniósł ze sobą komputer. Dowiedziałam się, czym jest Internet, jak można się za jego pomocą komunikować ze światem. Oglądaliśmy filmy, graliśmy w gry planszowe, a przy okazji rozmawialiśmy. Opowiadałam mu o ziołach, o tym, jak to, co jemy, wpływa na nasze zdrowie i samopoczucie, a on skrzętnie wszystko notował. Robił zdjęcia zapiskom mojej mamy i babci, katalogował wszystkie rośliny w naszym ogrodzie. Czasem też mnie nagrywał. Pytał o różne rzeczy, trzymając swój telefon przed moimi ustami.

- Mam nieładny głos - mówiłam.

- Wręcz przeciwnie. - Nie zgadzał się ze mną. - Ciekawie pani opowiada. Bardzo dużo się z tego uczę.

Kiedyś zwierzył mi się, że chciałby zostać lekarzem.

- Już chyba wiem, o czym marzę. Tylko to niemożliwe...

- Tak? - Spojrzałam na niego zaciekawiona.

- Chciałbym leczyć ludzi. A w zasadzie mówić im, co mają robić, by nie zachorować.

- Proszę bardzo, mój ogród i zielone zeszyty stoją przed tobą otworem. Możesz korzystać do woli. - Uśmiechnęłam się.

- Ale ja chciałbym iść jeszcze dalej... Gdybym został lekarzem, to w powiązaniu z tymi wszystkimi ziołami chyba mogłoby to przynieść jeszcze więcej dobrego... Tylko to chyba jest nierealne...

- Nierealne? - Wtedy się zdenerwowałam. Zupełnie zapomniałam, że jakiś czas temu nie chciałam pomóc mojej córce spełniać marzeń.

- No bo jak? Nikt w naszej rodzinie nie poszedł na studia. Poza tym skąd wezmę na to pieniądze? Trzeba mieć wsparcie rodziny, a moja mama cały czas opowiada, jak to będzie cudownie, gdy wraz z nią będę prowadzić bar. Nie mogę już tego słuchać. I nie chcę!

- Pierogi robisz niezłe...

- Pierogi to ja mogę robić dla odprężenia, po godzinach.

- Tomek, spokojnie, coś wymyślimy. Na razie skup się na nauce. I rób wszystko, by dojść do tego, co chcesz osiągnąć. A czasem życie się tak układa, że rozwiązanie przychodzi samo.

- Obiecuje pani?

- Oczywiście. - Uśmiechnęłam się wtedy. I naprawdę byłam przekonana, że los przyniesie jakieś rozwiązanie, by ten chłopak mógł spełnić swoje marzenia.

Jego historia zdawała mi się znajoma. Brak akceptacji ze strony bliskich, brak tradycji rodzinnych związanych z wykształceniem... Tak jak u nas. I te relacje z matką...

Tomek pracował u mnie w ogrodzie, robił mi czasem zakupy, pomagał mi w obejściu, ale przede wszystkim się uczył. Nie miałam takiej wiedzy, jak w jego książkach z biologii czy z chemii, ale niekiedy go nawet przepytywałam. Lubiałam przeglądać jego podręczniki. Byłam zaskoczona, jak dużo wymaga się od tych młodych ludzi. Tam wszystko było nazwane skomplikowanym językiem, ja mogłam tylko opowiadać mu o świecie roślin, który znałam od strony praktycznej. Nie potrafiłam wymienić wszystkich nazw i nie wiedziałam, jak fachowo wytłumaczyć wszelakie przemiany w moim ogrodzie. O tym opowiadał mi Tomek, kiedy pracowaliśmy razem. I naprawdę to nasze wspólne działanie przynosiło ogromne rezultaty. Mój młody przyjaciel dostawał doskonałe oceny, ale najważniejsze było to, że coraz bardziej wierzył w siebie i w to, że jest w stanie osiągnąć wymarzony cel. Cel, którym były studia medyczne, a później leczenie ludzi. A raczej sprawianie, by chorowali dużo mniej.

- Czytałem ostatnio w Internecie, że są takie miejsca na świecie, gdzie lekarze mają pod opieką całą wioskę. Muszą dbać o to, by jej mieszkańcy byli zdrowi. I im mniej ludzie chorują, tym większe ci lekarze dostają wynagrodzenie.

- Rozsądnie - zgodziłam się.

- A u nas zarabiają na chorych ludziach. Bez sensu, prawda?

- No faktycznie lepiej by było, gdyby koncentrowali się na tym, żeby zapobiegać różnym chorobom - przyznałam.

- Tak. I myślę, że trzeba wzmocnić działania profilaktyczne. Albo stosować medycynę mniej inwazyjną, na przykład ziołolecznictwo. I najdziwniejsze jest to, że ludzie zupełnie nie dbają o swoje zdrowie. Często nie mają na to czasu, ciężko pracują, a potem nawet nie mogą tych zarobionych pieniędzy wydać na przyjemności, tylko muszą na to, by w ogóle móc dalej żyć - rozmyślał na głos. - Pani Marysiu, czy pani bierze jakieś leki?

- Ale że tabletki?

- Tak.

- To nie, a właściwie z rzadka. Ale robię sobie taką herbatkę na nadciśnienie. Kiedyś jakiś lekarz powiedział, że powinnam na to uważać, to uważam. Po swojemu, oczywiście. Daję tam głóg, zarówno kwiaty, jak i owoce. On obniża ciśnienie. Dorzucam serdecznik pospolity, który jest także na uspokojenie. W pewnym wieku na nerwy trzeba uważać. A czosnek jak cudownie działa na nadciśnienie i cholesterol! - opowiadałam. - Poza tym, gdy będziesz starszy, poczęstuję cię moimi nalewkami. To dopiero są cudowne eliksiry! Z głogu, z hibiskusa, a nawet z jemioli. Codziennie po troszeczkę, dla zdrowotności...

- A ile pani ma lat?

- No wiesz co, młody człowieku! Nikt ci nie mówił, że kobiety się o wiek nie pyta?! - Udałam oburzenie. - Skończyłam liczyć po osiemdziesiątce, a to było dobrych kilka lat temu. No, może kilkanaście.

- Niemożliwe.

- Mam w kajeciku receptury na herbatki i nalewki, które moja babcia opatrywała notatkami „na starość”. I potem, gdy zaczęłam podczytywać trochę o leczniczym działaniu ziół, okazało się, że jest tam wszystko, co może pomóc. Na krążenie, nadciśnienie, a nawet na stawy.

- Te zeszyty to prawdziwy skarb, pani Mario.

- Tak. Moja mama i babcia ciągle mi to powtarzały. Że to, co mamy tutaj, to nasz najcenniejszy rodzinny skarb.

Pamiętam, że wtedy zobaczyłam zachwyt w oczach Tomka. Patrzył na ogród i na moje zapiski, a w spojrzeniu miał dokładnie to samo, co miały wszystkie kobiety z naszej rodziny, od pokoleń.

Nie byłam nigdy skora do wzruszeń, ale w tamtej chwili byłam bliska łez. Szybko zmieniłam temat i zabrałam się do pracy, bo bardzo nie lubiłam się nad sobą roztkliwiać.

5. Wiktor

Marzymięta grzebieniasta (Elsholtzia ciliata) jako roślina lecznicza ma dość szerokie zastosowanie. Jest środkiem bakteriostatycznym, antyseptycznym, przeciwzapalnym, przeciwbólowym – zwłaszcza przy bólu brzucha i głowy oraz przy udarze słonecznym. Jest skuteczna przy przeziębieniu, kaszlu, gorączce, wymiotach i bieguncie, ale też wykazuje działanie moczopędne, antyalergiczne i wpływa pobudzająco na procesy trawienne. Może być stosowana jako naturalny lek przeciwwarymiczny, często również zaleca się ją jako środek antydepresyjny.

Marzymięta grzebieniasta jest przede wszystkim bardzo popularną rośliną miododajną, jej zapach jest niezwykle nęcący dla pszczół.

Halina nie była zadowolona z przebiegu rozmów z najbliższymi przyjaciółmi. Wszystko sobie zaplanowała, a poszło zdecydowanie nie po jej myśli. Naprawdę o niczym innym nie marzyła, jak o tym, by wypędzić intruza, czyli złą Renatę, z ich miasteczka. Tak było do tej pory spokojnie! I nawet przyzwyczaiła się do tego, że domek Marysi stał pusty. Co szkodziło, żeby jeszcze przez chwilę nikt tam nie mieszkał?

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później spadkobiercy by się upomnieli o ten dom i ziemię, ale mogli jeszcze trochę poczekać, a nie rzucać się jak padlinożercy na ten kawałek świata. Miała tylko nadzieję, że jeżeli mocno uprzykrzą Renacie życie, natychmiast się wyniesie i sprzeda ten dom jakiejś normalnej rodzinie, która będzie prowadziła tam spokojny i niezawadzający nikomu żywot.

Halina nie lubiła zmian. Kochała małomiasteczkową stagnację, gdy pozornie nic się nie działo, dlatego też denerwowało ją, że wprowadziła się tam ta czarna lafirynda i uprawiała jakieś dzikie harce na golasa. Staruszka musiała z kimś obgadać ten temat. Zawsze najlepiej rozmawiało jej się z księdzem i, prawdę mówiąc, odkąd Wiktor przestał być duchownym, nic się nie zmieniło. Tylko sukienek nie nosił i zamiast do kościoła trzeba było chodzić do niego do ceglanego domku, ale wciąż to był ten sam pomocny i dobry człowiek, który potrafił rozwiązać niemalże każdą trudną sytuację.

- Niech będzie pochwalony – powiedziała z przyzwyczajenia Halinka, gdy tylko przekroczyła próg jego domu.

- Na wieki wieków – odpowiedział Wiktor, gdyż zupełnie nie widział powodów, dla których nagle miałyby przestać chwalić Pana. – Halinko, co panią do mnie sprowadza?

- Chciałabym porozmawiać.

- Po to jestem. – Uśmiechnął się. – Zapraszam. – Wskazał ręką pokój, w którym zwykle urzędował.

- Ale dyplomów się dorobił – stwierdziła Halinka, wskazując na ścianę. – Nie wisały tu wcześniej. Szkoła psychoterapii? Byleby to mu nie zaszkodziło zanedto.

Od czasu, gdy Wiktor ostro zaprotestował, by mówić do niego „proszę księdza” czy „jego świątobliwość”, zwracała się do niego w formie bezosobowej: „niech usiądzie”, „niech opowie”, „niech poradzi”. Przyzwyczaił się do tego i nawet przestało mu to przeszkadzać. W mentalności tych ludzi nadal funkcjonował jako „ksiądz Wiktor”. Zdziwił się, że Halina w ogóle zauważyła jego dyplomy. Długo nie wieszał ich na ścianach, bo i po co. Ludzie do niego przychodzili tak czy inaczej. Ale gdy zrobił doktorat i coraz poważniej zaczął myśleć o pracy naukowej, stwierdził, że sam musi się zmotywować swoimi osiągnięciami.

Dobrze mu się żyło w Małej Przytulnej. Kiedyś, kilka lat temu, myślał, że będzie musiał stąd uciekać w atmosferze skandalu. Ale tutaj

było jakoś inaczej... Małe miasteczko, mała parafia, wszyscy o wszystkich wszystko wiedzieli, ale chyba kochali go i byli do niego przywiązani. Nie chcieli, by odszedł.

Spojrzał na zdjęcie żony i dzieci, stojące na biurku. Zaraz potem wzrok uciekł mu nad drzwi, gdzie wisiał srebrny ryngraf z Matką Boską. Dokładnie ten sam, który od zawsze kojarzył z rodzinnym domem w górach. Terapia, którą przeszedł, pozwoliła mu uwierzyć, że wszystko jest dokładnie tak, jak być powinno. Jednak na początku nie było tak różowo – myślał, że jego życie się skończyło...

Kochał Boga. Tego dobrego Boga, który wiosną koloruje świat, a zimą pozwala, by oczy odpoczęły od feerii barw. Tego Boga, który cieszy się z ludzkich sukcesów i daje nadzieję, gdy człowiekowi jest gorzej. Nie wierzył w to, że w momencie, gdy jego serce mocniej zaczęło bić na widok kobiety i czuł się najszczęśliwszy na świecie, to Bóg się od niego odsunie. I nie odsunął się. Wiktor to czuł. Tylko był przy nim nieco inaczej niż kiedyś.

Pochodził z małego miasteczka na południu Polski, w którym największym szczęściem było to, że ktoś z bliskich zostanie duszpasterzem. „Kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie” – mawiała jego babcia. Długo się jednak nie spodziewał, że padnie akurat na niego. Miał różne życiowe plany, ale z pewnością nie takie! W swoim miasteczku zdał maturę, a potem poszedł na studia. Rodzice widzieli go na politechnice, ale on wybrał psychologię, bo chciał pomagać ludziom. Na uczelni poznał Martę. Była od niego dwa lata młodsza, miała grube brązowe warkocze i zielone oczy. Jak kot... Nosiała długie spódnice i zielony gruby sweter.

– Nie zakochuj się we mnie – mówiła, studząc jego amory.

– Dlaczego?

– Bo to nie ma perspektyw. – Uśmiechała się do niego, głaszcząc go delikatnie po dłoni.

– Ale przecież to my o tym decydujemy.

– Czasem los wybiera za nas i nie daje nam szans na nic więcej.

– A jeśli jest za późno?

– Na co za późno? – Udawała, że nie wie, o czym mówił.

– Na to, bym się w tobie nie zakochał. – Próbował ją przytulić, ale nie pozwoliła mu na to. – Bo to już się stało...

Mimo że upłynęło tyle lat, wciąż miał przed oczami tę scenę – najpierw zobaczył bezgraniczne szczęście, a zaraz potem ogromne przerażenie. Wtedy nie miał pojęcia, skąd ten lęk w oczach ukochanej dziewczyny. Potem ten sam strach widział co rano, spoglądając na swoje odbicie w lustrze, gdy już się dowiedział, dlaczego tak bardzo się bała tej miłości... Dwa miesiące później Marta odeszła z tego świata, a serce Wiktora rozsypało się na milion kawałków. Był pewien, że nic go już nigdy nie poskleja. Zostały mu tylko bezbrzeżna tęsknota i zielony sweter, który jeszcze bardzo długo pachniał Martą.

Ciężko odchorował śmierć ukochanej. Najpierw próbował uciec w naukę, a gdy to nie pomagało, w modlitwę. Rodzice Marty obrazili się na Boga, przestali Mu ufać, a on wręcz przeciwnie – jakby wierzył, że Bóg ma taką moc, by ukochaną przywrócić do tego świata. Codziennie błagał o to żarliwie. Nie udało się...

Został księdzem, ale skończył też psychologię. Los rzucił go na koniec świata, do Małej Przytulnej, niewielkiej parafii na północy kraju, do ludzi, którzy bardzo szybko stali się jego przyjaciółmi. Znał ich wszystkich, zwierzali mu się ze swoich problemów i tajemnic. Wiedział, kto kogo kocha, a kto za kim nie przepada. Z całą pewnością parafianie uwielbiali jego. Lata studiów psychologicznych sprawiły, że umiał słuchać i naprawdę pomagał ludziom uwierzyć w siebie i w to, że oni sami są w stanie najlepiej rozwiązać swoje problemy. Pomagał im zobaczyć światło w tunelu, niezależnie od tego, co ich w życiu spotykało.

A potem chyba Bóg (bo kto inny?) zesłał mu Martę. Tak, właśnie Martę! Nazywała się dokładnie tak samo jak jego pierwsza miłość, miała takie same zielone oczy i patrzyła na niego w ten sam sposób. Tylko zamiast swetrów nosiła kolorowe sukienki. Nie wierzył w reinkarnację,

ale po latach czuł się dokładnie tak samo, jak tamten chłopak, który pierwszy raz się zakochał. Może tak po prostu zawsze wygląda miłość? Tak czy inaczej, miał wrażenie, jakby nagle urosły mu skrzydła, ale... Miał wiele wątpliwości, przecież przyrzekał, że nigdy nie zwiąże się z żadną kobietą, ale czuł, że to prezent właśnie od Boga.

Długo bił się z myślami, a kiedy wreszcie podjął decyzję, miał wyrzuty sumienia, że wszystkich zawiódł. Jednak parafianie stanęli za nim murem. Odszedł z Kościoła, ale nie musiał się wyprowadzać z parafii.

- A z kim my będziemy rozmawiać, gdy ksiądz odejdzie? - zmartwiła się Halina, kiedy oświadczył im, jakiego dokonał wyboru. - Kto nam będzie pomagał we wszystkim i służył radą?

- Przecież ksiądz o nas wszystko wie! - dodała Balbina.

- Przecież nie zacznie sypać... - uspokajał ją cicho Jan. - A jak zacznie sypać, to się wszyscy pokłócimy!

- Ja się nie zgadzam, ksiądz jest nam tutaj potrzebny! - przekrzykiwała wszystkich Malwina.

- Ksiądz jest najmądrzejszy w całym miasteczku - zwróciła uwagę Jadwiga.

- Średni iloraz inteligencji na mieszkańca się obniży - fuknęła Halina.

Od tamtych chwil minęło już sporo czasu. Kościół nadal stał pusty, nikogo tu nie wysłali, by objął parafię, a Wiktor zaczął odliczać czas kolejnymi urodzinami syna, a potem córki. A także niewielkimi zmarszczkami na twarzy żony. Kiedy spoglądał na nią co rano, wiedział, że wybrał dobrze. Nigdy tego nie żałował.

Na początku był jednak przerażony, nie wiedząc, z czego będą żyli. Jednak ludzie tak się przyzwyczaili do rozmów z nim, że przychodzili do niego niemalże codziennie. Przynosili jajka, własnoręcznie robione przetwory, pęta świeżo uwędzonej kielbasy czy dary natury zebrane w ogrodzie lub lesie. A on w rozmowach pomagał im pokochać siebie.

Przez te wszystkie lata ukończył szkołę psychoterapii, potem zrobił jeszcze kilka kursów, zdobył pracę na uniwersytecie, prowadził terapie online i jego życie koniec końców ułożyło się całkiem niezle. Marta była nauczycielką w szkole w pobliskim mieście i wystarczało im na wszystko, o czym marzyli. Nie mieli wygórowanych pragnień, po prostu chcieli być szczęśliwi. I byli.

Nadal cieszył się zaufaniem mieszkańców Małej Przytulnej i wszyscy wciąż do niego przychodzili. Po poradę albo po prostu pogadać. Sam nie nazywał tego terapią, bo zauważył, że to ewidentnie odrzucało tych prostych ludzi.

- Możesz nawet na siebie mówić „psychoterapeuta”, bylebyś nam pomagał – wyznała kiedyś Balbina. – Mnie to zupełnie nie przeszkadza. – Zamyśliła się. – A w zasadzie przeszkadza, ale staram się o tym nie myśleć.

Jadwiga przyniosła skrzyneczkę na pieniądze, którą postawiła na parapecie, i jego pacjenci po rozmowie zawsze wrzucali „co łaska”. Pewnie w mieście zarobiliby więcej, ale nie chciał się przeprowadzać. Bo po co? Tu mu było tak dobrze. Tu był jego dom.

W rodzinnym miasteczku był spalony i nie mógł się tam pokazywać. Dlatego też cieszył się, że ci wszyscy ludzie stali się dla niego rodziną. Przygarnęli jego i Martę, mocno przytulili i poratowali, gdy oni tego potrzebowali. Oddałby im wszystko, co miał...

Nie podobało mu się, w którą stronę zmierzał współczesny Kościół, ale co miał zrobić? Mógł się na to tylko nie godzić. On chciał inaczej. Zdawał sobie sprawę, że dopiero gdy przestał być księdzem, zaczął tak naprawdę rozumieć zwykłych ludzi. Życie we własnym domu, z żoną, dziećmi, troskami codzienności, było zupełnie nieporównywalne do wygodnego życia na plebanii. Podejrzewał, że dopiero teraz byłby godny wygłaszać mądre kazania. Po tym, jak trzymał żonę za rękę podczas porodu, po nieprzespanych nocach z powodu chorób dzieci, po pierwszej bójce syna w szkole, kiedy sam powstrzymywał się resztkami

sił, by nie przyłożyć tamtemu gówniarzowi... dopiero teraz poznał życie.

– Niech posłucha. – Z zamyślenia wyrwał go głos Haliny.

– Słucham, Halinko.

Długo nie miał śmiałości, by zwracać się do niej po imieniu, ale staruszka bardzo się upierała i po kilku latach w końcu się przyzwyczaił. Czasem z przyzwyczajenia mówił „pani”, co zawsze skutkowało gniewnym zmarszczeniem brwi staruszki.

– Chodzi o egzorcyzmy – powiedziała konspiracyjnym szeptem.

– Jakie egzorcyzmy? – jęknął. – Przecież ja już nie jestem księdzem.

– Wiktor próbował się wykręcić z potencjalnego kontaktu z siłami nieczystymi.

– Ale coś tam pamięta, prawda? Nie zapomniał wszystkiego, czego się nauczył. Przecież z pewnością się tego uczył w seminarium.

– Może porozmawiamy? – zaproponował. Naprawdę się łudził, że te obrzędy będą niepotrzebne.

– Do miasteczka przyjechała jedna taka... – wyszeptwała Halinka. – Kąpie się na golas w strumyku i wygląda jak czarownica. Niech coś z tym zrobi.

– Ale co? – Wiktor się zdziwił i zaczął przez chwilę się zastanawiać, jaki związek ma poranna kąpiel w stroju Ewy z byciem wiedźmą.

– Tego to ja już nie wiem. – Pokręciła głową. – Był księdzem i powinien wiedzieć, co się robi w przypadku czarownic. Na pewno powinien z nią porozmawiać, tylko nie rano, bo ona wtedy goła, jak ją Pan Bóg... albo jaki inny diabeł stworzył. – Przeżegnała się szybko.

– A skąd ty, Halinko, o tym wiesz? – zapytał nieśmiało.

– Zaglądałam przez płot – odpowiedziała, niewiele się namyślając, Halinka, po czym pod wpływem spojrzenia byłego księdza poczerwieniała. – Nieważne zresztą. Nikt mnie nie chce słuchać, ale ja wiem, że będą z tego kłopoty. Niech tego nie lekceważy. Jak sam nie

umie, niech zawoła kogoś, na pewno ma kontakty u biskupa czy innego specjalisty.

Obróciła się na pięcie, wrzuciła datek do skarbonki i po chwili już jej nie było.

Wiktor kojarzył nową lokatorkę domu pod starym dębem. Wydawała mu się całkiem sympatyczna i nie dostrzegał w niej nic złego, a w tej kwestii zdecydowanie miał intuicję, która jeszcze nigdy go nie zawiodła. Rozpoznawał drobnych rzezimieszków, którzy kręcili się na rynku, oszustów i krętaczy. To przecież czarownicę tym bardziej by wyczuł. Aczkolwiek nie bardzo w nie wierzył...

Spotkał Renatę, gdy byli z Martą na targu w któryś sobotni styczniowy poranek. Kupowała chyba warzywa. Mówiła, że nie je mięsa i chwilę rozmawiała o tym z jego żoną. Potem Marta była kilka razy u niej na jodze, przyniosła nalewkę ku zdrowotności, którą pewnego wieczoru wypili razem prawie całą, i jakieś mieszanki herbat. Nie interesował się za bardzo, kim ta Renata była, może powinien? Może za mało czasu poświęcał rodzinie? Od razu poczuł wyrzuty sumienia, ale życie tak szybko biegło, nawet w takim kameralnym miasteczku, jakim była Mała Przytulna. Gdyby tylko księża zdawali sobie sprawę, jak wygląda normalne życie, wtedy mogliby naprawdę pomóc albo chociaż wesprzeć i zrozumieć...

– Martuś, ty lubisz tę Renatę? – zapytał, gdy żona wróciła z pracy.

– Renatę? – zdziwiła się. – A skąd ci się nagle ona wzięła?

Wiktor wzruszył ramionami.

– Tajemnica spowiedzi? – zażartowała, choć wiedziała, że tego nie lubił.

– Była u mnie Halinka i mówiła, że to czarownica. Kazała mi się do egzorcyzmów przygotowywać lub chociaż znaleźć kogoś, kto to potrafi robić – westchnął.

– Niech kogoś znajdzie, niech pomoże! – Marta zaczęła parodiować starszą panią.

– Nie nabijaj się. Ona była naprawdę przestraszona. Jest pewna, że Renata jest czarownicą.

– Coś w tym jest. – Roześmiała się. – Renata to niesamowita kobieta. Chyba sporo przeszła, chociaż o tym nie mówi. Mam wrażenie, że diametralnie zmieniła swoje życie. Widać to po sposobie, w jaki się wypowiada. O ziołach wie bardzo dużo, chociaż twierdzi, że jeszcze zbyt mało, mniej niż jej matka i babka, żyje zgodnie z naturą... Zachowuje się, jakby... czerpała energię z ziemi. Chłonie siłę z drzew, strumyka, piasku, po którym chodzi. Parzy sobie herbatki, które niwelują różne dolegliwości. Wie, jak je dobrać. Mówi, że dopiero od niedawna tak zaczęła żyć, że wcześniej napędzał ją do działania wielkomiejski zgiełk. Może faktycznie ma w sobie coś z wiedźmy? Ale wiesz, z takiej wiedźmy, która po prostu wie...

– Halinka mówiła, że podejrziała, jak ona co rano kąpie się nago w strumyku.

– Nie tylko ona! – Marta zachichotała, lekko się czerwieniąc. – No może nie co rano – dodała po chwili.

– Jak to nie tylko ona? – zdumiał się Wiktor.

– Rozmawialiśmy kiedyś o wzmacnianiu odporności. Powiedziała, że ona nie choruje dzięki zimnym kąpielom. Poszliśmy z Laurą kiedyś do niej i zanurzyliśmy się w lodowatym strumyku.

– I nic mi nie powiedziałaś?

– Bałam się, że jak dostanę zapalenia płuc, będziesz mówił, że głupoty robię. Ale minęły dwa tygodnie, podczas których kąpałam się w strumyku kilka razy, i jestem zdrowa jak ryba.

– Na litość boską, przecież jeszcze mamy zimą!

– No właśnie! Bo chodzi o to, by było zimno! A jakie to niesamowite przeżycie! Powinieneś kiedyś spróbować. My zamierzamy to robić regularnie. Mógłbyś kiedyś dołączyć, tylko wtedy chyba powinnyśmy założyć stroje kąpielowe.

– A teraz co zakładacie? – zainteresował się Wiktor.

– Nic! I to jest najpiękniejsze. – Miłość życia byłego księdza uśmiechnęła się promiennie.

Wiktor już wiedział na czym stoi. Najprawdopodobniej nowa sąsiadka nie była czarownicą, ale z pewnością była na tyle oryginalna, że warto mieć ją po swojej stronie.

Joga, morsowanie? Nie spodziewał się tego po swojej żonie. Ale najwyraźniej jej to służyło. Zresztą od zawsze był zwolennikiem ruchu i bliskości natury, więc się cieszył, że Marta rozkwitała. A póki ona tryskała radością, on też był szczęśliwy. Dużo czytał o *mindfulness* i życiu w zgodzie ze sobą. Uważał, że w połączeniu z terapią poznawczo-behawioralną może przynosić rewelacyjne efekty. A zioła? Jesteśmy faszzerowani substancjami chemicznymi, wierzymy syntetykom, a zupełnie zapomnieliśmy o naturze. Tak, to też powie Halinie, gdy przyjdzie następnym razem. A może poprosi Martę, by wysłała do Renaty wszystkie panie bibliotekarki? Pewnie nie wejdą do strumyka, ale herbata z ziółek i lekka joga z pewnością by im nie zaszkodziły. Nawet w ich wieku. Znając leciwe panie, podejrzewał, że na jednym spotkaniu się nie skończy. I obędzie się bez egzorcyzmów. Na szczęście...

Jak się miało okazać, Marta i Laura nie były jedynymi amatorkami kąpeli w zimnym strumyku. Nie były też jedynymi chętnymi w Małej Przytulnej na nawiązanie bliższych kontaktów z Renatą. Gdyby Halinka wiedziała, co się będzie działo, uznałaby, że otworzyła swoistą puszkę Pandory. Jednak dla wielu mieszkańców miasteczka to była skrzynia pełna skarbów natury i afera wywołana przez Halinę uzmysłowiła im, że naprawdę dzięki kontaktom z rzekomą wiedźmą mogliby wiele zyskać. Jednak nikt, absolutnie nikt, się do tego nie przyznawał.

Renata zdawała się przywyknąć do spokoju panującego w miasteczku i do tego, że nikt nie wtrącał się w jej życie i nie zawracał jej głowy, więc naprawdę była zdumiona nagłym zainteresowaniem ze strony okolicznych mieszkańców.

Oczywiście wtedy, gdy jak zwykle naga wychodziła ze strumyka i usłyszała dźwięk harmonijki, nie zorientowała się w pierwszej chwili, skąd on dobiega. Ktoś grał piosenkę, którą jej mąż śpiewał córce do snu. O Laurze i Filonie, którzy się spotykają pod ulubionym jaworem. Dopiero po chwili zobaczyła, że na ławeczce przy saunie siedzi starszy mężczyzna. Niestety nie miała jak się owinać ręcznikiem, gdyż wisiał on na oparciu tejże ławeczki.

- Dzień dobry! - Usłyszała melodyjny głos nieznajomego.

Musiał mieć już siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt lat, ale trzymał się całkiem niezle.

Renata z trudem starała się ukryć najbardziej kobiece punkty swego ciała, ale mężczyzna zdawał się w ogóle nie dostrzegać, iż ona jest naga. W końcu najwyraźniej zauważył jednak jej pokraczne ruchy i zreflektował się, że coś jest nie tak. Zerwał się z ławeczki, wziął ręcznik i ruszył do Renaty, by ją okryć.

- Bardzo panią przepraszam, zapewne jest pani zimno - powiedział uprzejmie.

- Nie, wcale... - burknęła. - Jest mi cholernie zimno! Co pan tu robi? - zapytała, gdy tylko poczuła się na tyle pewnie, by odzyskać głos. - I kim pan w ogóle jest?

- Przepraszam, faktycznie się nie przedstawiłem. Jan jestem. - Wyciągnął do niej rękę.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi. Po chwili jednak uściśniła jego dłoń.

- Renata.

- Tak, wiem. Bardzo mi miło panią poznać. - Nowo poznany staruszek uśmiechnął się promiennie.

- Ale czemu mnie pan podgląda?

– Podgląda? – zdziwił się. – A nie! – Uśmiechnął się. – Ja kompletnie nie jestem zainteresowany kobietami.

– Aha – wydukała.

Renata była coraz bardziej zaskoczona absurdalnością sytuacji. Przychodzi facet, ogląda ją naga, a potem mówi, że nie jest nią zainteresowany. I na dodatek gra na harmonijce piosenkę, która nie mogła jej wyjść z głowy. Szczególnie fragment o uspiionych psach i klaskaniu za borem...

– Bo ja wiele o pani słyszałem. Czy moglibyśmy porozmawiać?

Czuła, że odmowa nie przyniesie żadnych skutków, więc zaprosiła pana Jana do domu.

– Proszę chwilę poczekać. Założę coś cieplejszego, a potem zrobię nam coś do picia. – Westchnęła i poszła na górę, do sypialni.

Kojarzyła tego staruszka, to on zwykle stał przy parku i grał rzewne melodie. Nawet kiedyś przechodziła obok niego i wrzuciła mu kilka złotych.

– Herbatkę czy kawkę? – zapytała. – Mam taką fajną mieszankę mojej babci, „na młodość”.

– To ja poproszę – powiedział Jan bez wahania.

Renata zaparzyła herbatę i usiadła przy kuchennym stole, naprzeciwko mężczyzny.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytała wprost.

– Bo ja jestem wątłego zdrowia...

– A co panu dolega?

– Wszystko – jęknął żałośnie. – Gdybym miał wymieniać, tobym do rana nie skończył, a nie wiem, czy mamy tyle czasu. Ale kiedy czytałem encyklopedię zdrowia, którą pożyczyłem od Ksawerego, aptekarza, to miałem wszystko, z wyjątkiem puchliny kolan. – Zademonstrował swoje chude nogi.

– I bolesnych mięśniaków – wyrwało się Renacie.

– Tak, tego też nie miałem – potwierdził zupełnie poważnie Jan.

Renata westchnęła. Szykowało się dłuższe posiedzenie.

- I pomyślałem, że może ma pani zioła na to. A do tej wody to też bym z panią wskoczył.

- Nie może pan - sprzeciwiła się stanowczo gospodyni.

- Nie mogę? A to niby dlaczego?

- Nie może pan, bo skoro pan jest chory na wszystko, to na serce też. Musiałby mi więc pan przynieść zaświadczenie od lekarza.

Renata dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, co właśnie powiedziała. Nikt jej nie kazał wskakiwać do strumyka razem z tym mężczyzną! Przecież nie prowadziła zajęć ruchowych dla podstarzałych gejów! Ani dla nikogo!

- Dobrze, przyniosę - skwapliwie podchwycił Jan. - A z sercem mam taki problem, że zostało złamane wiele lat temu i nie zdołałem go posklejać.

- Na to chyba nie pomogę.

- Żadna kobieta nie pomoże. Ale tak już jest ten świat skonstruowany... Pójdę do lekarza i przyjdę z zaświadczeniem. Dziękuję, że się pani zgodziła. - Jan dopił herbatkę. - Wrócę niebawem. Uszanowanie. - Wstał dziarsko, szarmancko ucałował dłoń Renaty i zniknął za drzwiami.

Stała zdumiona jeszcze bardziej niż wtedy, gdy usłyszała piosenkę o Laurze i Filonie. Przecież ona na nic się nie zgadzała. Wyglądało na to, że będzie miała towarzystwo do kąpeli. Miała tylko nadzieję, że nie codziennie, przecież, do cholery, przyjechała tu odpocząć od ludzi!

6. Maria

Babka lancetowata (Plantago lanceolata) to naturalny środek wspomagający gojenie się ran i łagodzący dolegliwości górnych dróg oddechowych. Ma działanie przeciwzapalne na śluzówkę gardła, jamy ustnej oraz przewodu pokarmowego, wzmacnia krzepliwość krwi, uszczelnia naczynia krwionośne, łagodzi kaszel, ponieważ wykazuje działanie wykrztuśne, pomaga w leczeniu wrzodów żołądka i dwunastnicy oraz lekkiej biegunki.

Wspiera naturalną odporność organizmu poprzez podnoszenie aktywności komórek odpornościowych oraz prawidłowe funkcjonowanie wątroby i chroni jej tkanki przed uszkodzeniami. Odwar przygotowany z liści babki lancetowatej może zostać wykorzystany do przemywania oczu przy zapaleniu powiek oraz spojówek.

Jest rośliną pospolitą w Polsce i obecnie traktuje się ją zwykle jako chwast, chociaż starsze pokolenia mogą pamiętać, że była ona dawniej niezwykle użyteczna w medycynie ludowej. Roztarte świeże liście babki przyłożone do skaleczenia lub ukąszenia przynosiły ulgę i z powodzeniem stosowane były w sytuacjach, kiedy nie było w pobliżu apteczki.

Dorastałam wśród ziół. Potrafiłam każde z nich nazwać, choć przekazywane z pokolenia na pokolenie w naszej rodzinie nazwy były zupełnie inne niż te w książkach, które Tomek przynosił z biblioteki czy które kupował za zarobione u mnie pieniądze.

Korzystając z zapisków mamy i babci, mogłam określić, do czego się nadaje każda roślina zebrana w moim ogrodzie. Jeżeli nie mogłam znaleźć informacji, potrafiłam wyczuć to intuicyjnie. Umiałam leczyć, chociaż nie byłam czarownicą i zmarłych, niestety, wskrzeszać nie potrafiłam.

W czasie wojny wraz z mamą opatrywałyśmy rany zbląkanym żołnierzom. Nie patrzyłam na to, jaki mundur noszą. Każdemu cierpiącemu należy się pomoc, przed Bogiem wszyscy jesteście sobie równi. Myślałyśmy z mamą, że gdzieś tam daleko może istnieją kobiety takie jak my, które pomogą mojemu ojcu. Byłam małą dziewczynką, ale naprawdę wiele przeżyłam... Gdy wojna się skończyła, miałam zaledwie dwanaście lat, lecz byłam zbyt dorosła jak na swój wiek. Ale wtedy tak po prostu było. Tata z wojny nie wrócił. Mama dostała list, że zginął gdzieś we Francji. Tam jest też jego mogiła.

I tak byłyśmy w dobrej sytuacji, każdy w Małej Przytulnej wiedział o naszych umiejętnościach i ogrodzie, który bez odpowiedniej wiedzy byłby bezużyteczny, ale z nami był ogromnym skarbem dla całej okolicy. Nie było powszechnie dostępnych medykamentów, więc leczyłyśmy ziołami. Najpierw moja mama, a ja, gdy skończyłam szesnaście lat, byłam prawie tak dobra jak ona. Wszyscy potrzebujący kierowali swoje kroki do zielarni pod starym dębem.

Tak trafił do mnie Kornel. Potrzebował pomocy, dręczył go nawracający kaszel. Pielęgnowałyśmy go. Mama nie widziała nadziei, ja uważałam, że możemy mu pomóc. Myślałam, że jestem mądrzejsza od niej i z racji młodego wieku mam lotniejszy umysł, a z niej lata wojny i strata męża uczyniły ogromną pesymistkę. Kornel był aptekarzem w sąsiednim mieście. Nie pomogły mu lekarstwa, które zapisywali mu medycy, i był pewien, że nasze zioła postawią go na nogi. Ja też głęboko w to wierzyłam. Teraz myślę, że to miłość podsyciała we mnie tę ogromną nadzieję. Miałam siedemnaście lat i byłam przekonana, że limit złego już się wyczerpał. Bo ile można? I wojna, i śmierć wszędzie wokół... Przecież los nie mógł być tak okrutny.

A jednak był... Kornel pojawił się na mojej drodze, bo gwiazdy tak chciały. Po prostu tak miało być. Miałam przeżyć to wszystko, by stać się

taką osobą, jaką jestem teraz. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Moja mama nie była zadowolona z tego, że tak to się potoczyło. Wiedziała, że zakochałam się bez pamięci. Wiedziała również, że ta miłość nie ma przyszłości, bo Kornel był bardzo chory.

Ja oczyma wyobraźni widziałam naszą rodzinę, dzieci. Widziałam nas razem. Planowałam, że gdy tylko skończę osiemnaście lat, weźmiemy ślub i zamieszkamy na piętrze naszego domu. Wierzyłam, że będziemy razem żyli długo i szczęśliwie. Ja będę prowadziła zielarnię, on w naszym domu otworzy aptekę, bo nie było jej wtedy jeszcze w Małej Przytulnej. Z marzeń o wspólnym życiu, jak się potem okazało, nic nie wyszło.

Jednak nie uprzedzam faktów, chcę Ci to opowiedzieć po kolei...

Po kilku miesiącach okazało się, że jestem w ciąży. Mama nalegała na ślub. To były zupełnie inne czasy i nie wypadato być panną z dzieckiem. Oczywiście zdecydowaliśmy się pobrać. Ceremonia była bardzo skromna. Do ołtarza szłam w pięknej białej sukni mojej mamy, w wianku uplecionym z ziół i kwiatów, które o poranku zebrałam w naszym ogrodzie. Byłam szczupła, ciąży jeszcze nie było widać, więc „ludzie nie gadali”. Na tym szczególnie zależało mojej mamie, bo mnie było wszystko jedno, po prostu byłam szczęśliwa. Chciałam wykrzyknąć mamie, że nie miała racji, że udało się nam wyleczyć Kornela, wręcz drwiłam z jej umiejętności, a raczej ich braku. Nie zauważyłam jednak, że każdego dnia on mizerniał. Odchodził. Miłość naprawdę jest ślepa. Nie widziałam, że złapanie oddechu stawało się dla niego coraz trudniejsze.

Kornel był ode mnie starszy o kilkanaście lat. Walczył w czasie wojny. Niestety, obrażenia, których doznał na froncie, spowodowały nieodwracalne uszkodzenie płuc. Gaś każdego dnia. Moja mama to widziała, dlatego nie była zadowolona z naszej znajomości i próbowała mnie przestrzec, zanim było za późno. Ja jednak, jak każda nastoletnia zakochana córka, nie chciałam słuchać.

Kornel, moja jedyna miłość, zmarł jeszcze przed urodzeniem Józefiny. Długo nie mogłam się z tym pogodzić. Płakałam, nie jadłam. Dopiero moja mama uświadomiła mi, że muszę teraz dbać, by nasze dziecko wzrastało we

mnie silne. Na przekór temu, co zabiło Kornela. By pokazać światu, że żadna wojna nie jest w stanie nas zniszczyć. Mimo iż jego już nie było, pozostawił na świecie swoją cząstkę, która rośla pod moim sercem.

Kochanie, wierzę w gwiazdy. Wierzę w to, że rośliny zasadzone w określonej fazie Księżycy będą lepiej rosły i będą miały nieco inne właściwości.

Pamiętasz, że zawsze mówię o wzrastaniu? To chyba najważniejsze. By wzrastać. By nigdy nie cofać się w życiowej podróży, tylko zawsze iść do przodu.

Z Tomkiem rozmawialiśmy o wszystkim. Mam wrażenie, że trochę zastępowałam mu matkę, która nie potrafiła zrozumieć jego marzeń, a on zastępował mi Józefinę, której ja nie chciałam kiedyś poznać. Znałam tylko wyimaginowaną postać, którą tak naprawdę ona nigdy nie była.

Cieszyłam się jego dobrymi ocenami i sukcesami w sporcie, które osiągał.

– Pani Marysiu, ja myślę, że to przez to kopanie w ogródku – powiedział.

– To bardzo dobry trening – zgodziłam się.

– Tylu przysiadów i skłonów to ja przez cały tydzień na wuefie nie robię.

Pod moim boki Tomek wyrastał na fajnego, silnego i mądrego mężczyznę. Byłam świadkiem jego pierwszych miłości i pierwszych porażek. Kiedyś przyszedł do mnie bardzo zmartwiony.

– Szkoda, że z tym lubczykiem to ściema. – Wzruszył ramionami. – Jednak zioła nie są na wszystko.

– Lubczyk ma działanie moczopędne, wpływa też rozluźniająco na mięśnie jelit – powiedziałam poważnie.

Tomek spojrział na mnie, a potem zaczął się głośno śmiać.

– Tak? – Nie bardzo wiedziałam, o co mu chodzi.

- Zabawne by to było, gdybym jej dosypał lubczyku, a ona zaczęłaby szukać toalety. - Zaraz jednak posmutniał. - Albo żalosne.

- Zawsze możesz spróbować, lubczyku ci u nas dostatek. Do rosołu dodaję zawsze.

- To dlatego tak mi smakuje - westchnął.

Nie wiedziałam, jak go pocieszyć. Nie miałam doświadczenia w łataniu zranionych serc. Na to faktycznie nie było ziół. Moja mama uważała, że na wszystko najlepsza jest praca. Ja sama nie wiedziałam. Wydawało mi się, że czasem najfajniej jest razem posiedzieć i po prostu pomilczeć. Zrobiłam mu więc lemoniadę, zaraz potem herbatę. Ugotowałam budyń, który podałam z konfiturą malinową, usmażyłam naleśniki i po kilku chwilach się wydawało, że jest mu dużo lepiej.

- Moja mama mówiła zawsze, że tego kwiatu jest pół świata - powiedział nagle.

- No tak, ogród jest pełen ziół.

- A ja, gdy się do pani wkradałem, szukałem jednego, konkretnego.

- I jak to się skończyło?

- Zerwałem zupełnie inne, myśląc, że znalazłem właściwe. - Przez chwilę myślał skupiony. - A może tutaj było dokładnie tak samo? Może teraz też mi się wydaje, że to ta, na której mi zależy, a tak naprawdę ona jest tylko do niej bardzo podobna?

Sama bym go wtedy lepiej nie pocieszyła. Musiał sobie pierwsze życiowe rozczarowanie w jakiś sposób wytłumaczyć. Gdybym starała się mu wmawiać różne rzeczy, nie słuchałby. W takich momentach najlepiej jest słuchać siebie.

Nie spodziewałam się, że na stare lata będę miała tak młode towarzystwo. Ku mojemu zaskoczeniu młodzi ludzie do mnie lgnęli. Zaczęłam podejrzewać, że to moje konfitury z malin, których ogromny zapas miałam w piwniczce, tak ich przyciągały. Dobrze, że nieco starsi kawalerowie nie odkryli mojego zapasu nalewek, bo pewnie również

zaczęłyby ochoczo mnie odwiedzać, ale aż tak towarzyska nie byłam i być nie zamierzałam.

- Szukam ziół do zielnika. - Pewnego dnia do mojego domu zapukała mała dziewczynka. - Przepraszam, powinnam się przedstawić. Jestem Gabrysia. Mieszkam w domu na rozstaju dróg.

- Dzień dobry, Gabrysiu. To twoja mama przychodzi do mnie po zioła do perfum?

Mała pokiwała głową.

- Teraz też jej się skończyła szalwia i powiedziała, że pani cholery dostanie, jak ona przyjdzie po tę szalwię po raz kolejny, więc wymyśliła, że wysła mnie. - Gabrysia usiadła wygodnie przy stoliku.

Nie mogłam się roześmiać, bo dziewczynce zrobiłoby się przykro.

- Mówiłam jej trzy razy, że egzamin z biologii już zdałam i że nie potrzebuję żadnego zielnika, ale ona się uparła. Wie pani, że jak mama się upiera, to nie ma sensu z nią dyskutować, prawda?

- Czasem trochę trzeba - powiedziałam, zważając na swoje macierzyńskie doświadczenia.

- Naprawdę? - zdziwiła się Gabrysia. - Ja zwykle ulegam. - Zmarszczyła czołko. - No dobra, w błahych sprawach ulegam, ale w tych istotnych wcale!

- To najważniejsze.

- Mówi pani zupełnie tak, jakby nie miała pani dzieci i nie znała życia. - Gabrysia spojrzała na mnie przenikliwym wzrokiem.

Zaskoczyła mnie. Czy ja znałam życie? Czy w ogóle można je poznać? Oczywiście rozwijamy się poprzez nasze doświadczenia, ale jak bardzo los musi nas doświadczyć, byśmy uznali, że znamy życie?

Milczałam, rozmyślając, a tymczasem dziewczynka nawijała dalej:

- Życie to takie trudne jest. Ale jest kilka rzeczy, które sprawiają, że staje się bardziej znośne.

- Tak? Na przykład? - zapytałam z niepokojem.

- Na przykład naleśniki z konfiturami. Kiedyś Tomek przyniósł mamie pierogi z baru swojej mamy. I powiedział, że pani naleśniki podbijają humor do potęgi entej. Wie pani, co to znaczy „do potęgi entej”?

- Mniej więcej. - Pokiwałam głową.

- To znaczy bardzo dużo - wyszeptła. - Sprawdziłam, te potęgi są w siódmej klasie, ale Tomek mi wytłumaczył, o co chodzi. On jest bardzo mądry.

- Tak - zdołałam tylko powiedzieć, przerywając potok słów Gabrysi.

- A on dzisiaj będzie u pani?

Spojrzałam na zegarek.

- Powinien być za piętnaście minut.

- No widzi pani, gdyby pani teraz zaczęła robić te naleśniki z konfiturami, to sprawiłaby pani, że życie dwóch osób będzie bardziej znośne. Oczywiście pod warunkiem, że usmaży pani wystarczająco dużo tych naleśników, bo jak byłoby ich zbyt mało, moglibyśmy być bardzo rozczarowani...

Śmiałam się, gdy kręciłam ciasto na naleśniki. Dzięki tym dzieciakom moje życie również było znośniejsze, byłam zdecydowanie szczęśliwsza.

Potem, gdy przyszedł Tomek, siedzieliśmy razem przy stole i umazani lepką konfiturą, rozmawialiśmy.

- Nie mogę zapomnieć o tym zielniku - przypomniała sobie Gabrysia. - A czy możemy się tak umówić, że do tego zielnika pani mi da samą szalwią? Tak naprawdę nic innego mama nie potrzebuje...

- Zjedzcie sobie w spokoju, a potem Tomek nazbiera ci tyle szalwii, ile tylko potrzebujesz. On wie, gdzie rośnie.

- I spośród tylu roślin potrafi wybrać tę właściwą? - Gabrysia spojrzała na chłopaka z podziwem.

- Tak. - Uśmiechnęłam się.

- Czasem się myślę... - próbował przerwać ten zachwyt Tomek.

- Chłopie, ty musisz być strasznie mądry! - stwierdziła z pełnym przekonaniem dziewczynka.

Gabrysia też zaczęła mnie odwiedzać. Potem już nawet bez żadnego pretekstu. Przybiegała i radośnie opowiadała o swoim świecie. Bardzo to lubiłam. Cieszyłam się, że przez te wszystkie lata robiłam konfitury z malin, bo przynajmniej miał je kto jeść. Zarówno ona, jak i Tomek twierdzili, że dzięki nim stają się szczęśliwi.

Maliny w naszym ogrodzie były od zawsze. Czasem się zastanawiałam, czy te zioła rosnące wśród krzewów są po to, by maliny lepiej obrodziły, czy odwrotnie - krzaczkę dawały pożywkę dla mniszka, macierzanki, skrzypu... Babcia zawsze mówiła, że to właśnie te zioła wzmacniały odporność roślin, ale też powodowały, że owoce były słodkie.

- Pani mi poprawiła dzień, ja też bym chciał coś dla pani zrobić - powiedział któregoś dnia Tomek. Ze swojego plecaka, z którym się w zasadzie nie rozstawał, wyciągnął reklamówkę. - Mam dla pani prezent.

- Prezent? - zdziwiłam się. - Ależ ja nikomu nigdy nie zdradziłam swojej daty urodzin! Zresztą sama już zapomniałam, kiedy je mam!

- Tym bardziej. Możemy się umówić, że te urodziny są dzisiaj. - Uśmiechnął się. - W każdym razie dzisiaj dostanie pani prezent!

Z namaszczeniem wyciągnął trzy duże ramki na zdjęcia.

- Pomyślałem sobie, że będzie pani miło, gdy oprawimy te wywiady z pani córką i wnuczką. By zawsze pani mogła na nie patrzeć i czuć dumę.

- Dziękuję... - Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie przywykłam do tego, że ktoś dawał mi prezenty. Przecież od wielu, wielu lat nikt mi ich nie robił. Przynajmniej bezinteresownie.

- Przyniosłem coś jeszcze. Mam nadzieję, że się pani spodoba, może nawet bardziej.

Tomek wyjął z plecaka teczkę. Wręczył mi ją bez słowa i uważnie mnie obserwował.

– Otworzyć? – upewniłam się.

– Tak.

Delikatnie rozsupłałam tasiemkę i wyjęłam zdjęcie Renaty. To samo, które Tomek pokazywał mi w Internecie jakiś czas temu.

– Pomyślałam sobie, że sprawi pani radość.

Nie umiałam powstrzymać łez. Spoglądałam to na Tomka, to na moją wnuczkę i na przemian się śmiałam i płakałam.

– Chyba sprawiło – stwierdził z dumą chłopak.

Nic nie powiedziałam, tylko go przytuliłam. To zdjęcie i ta znajomość były dla mnie niczym milion naleśników z konfiturami. Jak to Gabrysia mówiła – poprawiały mi humor do potęgi entej.

Tomek zrobił mi najlepszy prezent, jaki dostałam kiedykolwiek. Mogłam mieć Renatę na wyciągnięcie ręki. Potem wbił gwoździe tuż pod tymi, na których zawsze wieszałam zioła. Włożyliśmy do ramek wycięte z gazet wywiady i zdjęcie Renaty. Od tej pory zawsze była przy mnie.

– Chciałabym, by tu kiedyś przyjechała – wyznałam.

– Przyjedzie.

– Na pewno tak.

– Wie pani o niej coś więcej niż to z Facebooka? – zapytał. – Co robi, gdzie mieszka? Gdzie pracuje?

Pokręciłam głową.

– Nie. Pewnie podąży drogą, którą pokazała jej matka... – Zamyśliłam się. – Wiesz, chciałabym bardzo, by moja wnuczka sama wybrała, co jest dla niej najlepsze. Matka pokazała jej wielki świat, ale czy opowiedziała jej o tym, w którym żyła jej matka i babcia?

- To może jednak napiszę do niej, by panią odwiedziła? Mogę to zaraz zrobić. - Tomek wyciągnął telefon.

- Poczekaj jeszcze chwilę. To nie jest odpowiedni moment. - Pokręciłam głową.

- A jak...? - Tomek chciał o coś zapytać, ale się zawahał, jakby się bał wypowiedzieć to na głos i w porę ugryzł się w język.

- Chciałeś zapytać, co się stanie, gdy nie zdążę?

Nic nie odpowiedział, tylko pokiwał głową i wzruszył ramionami.

- To przecież oczywiste, że kiedyś umrę. Prędzej czy później, jak każdy. - Uśmiechnęłam się. - Oczywiście zakładam, że będzie to później, ale kto to wie? Zostawiam po sobie notatki, zeszyty, piszę list... Ty mnie nagrywasz... Myślę, że to wszystko pozwoli jej dokonać wyboru, czy chce zostać tutaj, czy wybierze inny świat. Ale chciałabym, by tu przyjechała i zobaczyła nasz dom i ogród.

- Obiecuję pani, że zrobię wszystko, by tak się stało... Nawet gdy...

- Tak, nawet gdy ja już będę w innym świecie. Gdy umrę. Nazywajmy rzeczy po imieniu i się do tego przyzwyczajajmy.

- Nie wiem, jak ja sobie z tym poradzę - powiedział spontanicznie Tomek.

- Domowy wermut z piwniczki. - Roześmiałam się. - Lepszy niż martini. Na pierwsze chwile żałoby na pewno pomoże.

- Domowy wermut? - zdziwił się chłopak. - Czyli alkohol?

- Tak, ziołowe wino. Zrobiłam kilka lat temu na specjalne okazje i stoi. Myślę, że moja śmierć będzie wystarczająco specjalną okazją.

- Pani Marysiu, ja mam siedemnaście lat!

- No przecież nie proponuję ci go teraz! - zaprotestowałam. - Mam nadzieję, że jeszcze kilka lat pożyję!

- No daj Boże! Chociażby z tego względu, że gdybym od pani wrócił pijany, toby mi mama głowę urwała.

- Nie mów, że nigdy nie piłeś alkoholu.

- Pani Marysiu, o takich sprawach z dorosłymi nie rozmawiam, nawet z panią.

- Masz rację, trzeba mieć swoje tajemnice - zgodziłam się. - Ale jakby co, wchodzisz do piwniczki, po prawej stoją konfitury z malin, chociaż nie wiem, czy w takim tempie jedzenia się jeszcze jakieś ostaną, a po lewej nalewki i wermut.

Tomek spojrział na mnie i złapał się za głowę.

- A tak na poważnie... - powiedziałam cicho. - Obiecuj mi, że zrobisz wszystko, by ona tu przyjechała. By wstała rano, poszła do ogrodu i zasnęła w trawie. By pogryzły ją komary i potem musiała przykładac sobie liście niecierpka, trędownika czy babki lancetowatej. By miała wybór, a nie szła prosto przed siebie, tak jak wybrała dla niej jej matka.

- Obiecuję, pani Marysiu - westchnął Tomek, patrząc mi w oczy.

Spojrzałam na niego i po prostu wiedziałam, że kiedyś te same oczy będą dodawały otuchy wielu ludziom w ich zmaganiach ze zdrowiem. Będą wspierały. Tym oczom można było zaufać. Ja ufałam. I wiedziałam, że niezależnie, czy zdążę wysłać list, czy nie, on kiedyś dotrze do Renaty, ona tu przyjedzie i będzie miała wybór. Taki, jakiego nigdy nie miała moja córka. Bo jej po prostu na to nie pozwoliłam.

7. Gabrysia

Właściwości lecznicze ruty zwyczajnej (Ruta graveolens) sprawiły, że roślina ta znalazła zastosowanie nie tylko w medycynie, ale i w kosmetyce. Przypisuje się jej działanie rozkurczowe, moczopędne, a także poronne oraz możliwość poprawiania wzroku i odtruwania organizmu. Wpływa dobroczynnie na układ krwionośny, żyłaki, znajduje zastosowanie w profilaktyce miażdżycowej czy też w łagodzeniu objawów łuszczycy. Niekiedy wyciąg z ruty stosuje się przy migrenowych bólach głowy i bolesnych miesiączkach.

Kiedyś przypisywano rucie magiczne moce. Była używana również podczas zaklęć związanych z uzdrawianiem i miłością. Podczas wdychania rozjaśnia umysł i pozwala się rozeznąć w sprawach sercowych. Kąpiel w naparze z ruty ma powodować oczyszczenie z klątw i uroków. Palona jest jako kadzidło pomocne przy egzorcyzmach. Zawieszona w woreczku nad drzwiami lub noszona przy sobie chroni przed chorobami i próbami otrucia.

– Malwinko, ale takie ogłoszenie, że chcesz sprzedać czy wynająć mieszkanie, musiałabyś napisać z milion razy – powiedziała Gabrysia. – Przecież jak raz napiszesz, to nikt tego nie zauważy.

Dziewczynka siedziała na wysokim krześle w kuchni Malwiny i machała nogami. Na stole leżały włóczki, szydełko, ale też kartka i długopis. Staruszka miała zamiar uczyć Gabrysię szydełkować, ale jak zawsze było coś innego, ważniejszego do roboty.

– Milion razy? – zdziwiła się Malwina. – Jak to przepisać milion razy?

- Milion albo i dwa. - Gabrysia wzruszyła ramionami. - Tych ogłoszeń musi być bardzo dużo. Gdzie chcesz je powiesić?

- Sama nie wiem... W sklepie? Może na drzwiach restauracji? - westchnęła. - Myślałam, że to będzie łatwiejsze.

- Malwinko, ale przecież u nas każdy wie, że ty chcesz wynająć mieszkanie. - Gabrysia spojrzała z troską na swoją leciwą przyjaciółkę. - To po co u nas wywieszać? Chyba że jakiś zbłąkany wędrowiec zapragnie tu osiąść na stałe.

Malwina zmarszczyła brwi, zastanawiając się, jaką to ostatnio dziewczynka wypożyczała książkę z biblioteki. Nie mogła sobie przypomnieć. Przypomniała sobie natomiast to, że jej związek, nieco grzeszny, jest przecież tajemnicą.

- Co ty, Gabrysiu. Nikt o tym nie wie. - Pokręciła głową. - Bo my się z Anatolem ukrywamy!

- Malwinko, wszyscy wiedzą, że nie przychodzisz do domu na noc. - Gabrysia wzruszyła ramionami. - Mamusia mówi, że każdy wie, że nocujesz u Anatola, a Adrian powiedział, że wreszcie przestalibyście wydziwiać i zamieszkalibyście razem.

- Wydziwiać? - Zdenerwowała się. - Myślałam, że jesteśmy wyjątkowo dyskretni. - Poczzerwieniła gwałtownie, zdając sobie sprawę, że nic nie wyszło z tej ich konspiracji.

- Wcale nie jesteście dyskretni. Dyskretna to jest pani Renata, która kąpie się w swojej rzece na golasa. I mama, i pani Marta. I chyba nikt tego nie widział. Dyskretny też jest Tomek, który jeszcze swojej mamie nie powiedział, że idzie na studia. O matko! Nie powinnam ci tego mówić!

- Żona księdza na golasa? - Malwina była zszokowana. Jakoś to, że syn Jadwigi zamierza studiować, nie zrobiło na niej wrażenia.

- Pan Wiktor nie jest już księdzem, tylko terapeutą. Mama mówi, że jak ktoś ma problem z poukładaniem sobie życia, może do niego iść pogadać.

Malwina machnęła ręką.

- Czyli robi dokładnie to samo, co wtedy, kiedy był proboszczem. - Zmarszczyła brwi. - Ale faktycznie, odkąd przestał być księdzem, to jakoś te jego porady lepiej człowiekowi na duchu robią, jakby stały się bardziej życiowe...

- Może powinnaś go zapytać, co masz zrobić z tym mieszkaniem, Malwinko?

- W żadnym wypadku!

- No jak chcesz - burknęła Gabrysia. - Mama mówi, że mieszkanie stoi puste, szczególnie nocami, a mógłby ktoś mieć swój ką. Podobno w sąsiednim mieście sporo osób szuka czegoś do wynajęcia, a u nas pewnie będzie taniej i milej. No i przytulniej.

- Ale my nie mamy ślubu. - Malwina zmarszczyła brwi, zapominając, iż jej rozmówczyni jest przynajmniej dobrych kilka lat młodsza od niej i w kwestiach ślubu za bardzo jej nie pomoże.

- To właśnie dzisiaj mama mówiła Adrianowi. Ale powiedziała też: „Kochanie, to nie te czasy, by trzeba było zaraz brać ślub”. No i potem Adrian zaczął się zastanawiać, czy to dobrze, czy to źle, że mama z nim wzięła ślub. I się trochę pokłócili, a później powiedzieli, że mam iść do ciebie nauczyć się robić na szydełku albo pograć w szachy, albo zrobić cokolwiek, co zajmie mi dłużej niż godzinę. Malwinko, umiesz grać w szachy?

- A... A czemu godzinę? - zapytała, chociaż zaczynała nieśmiało podejrzewać, dlaczego Adrian i Laura chcieli zostać sami.

- Dlatego, że mają zamiar się porządnie godzić i to im trochę zajmie. Nie wiem tylko, dlaczego miałabym im przeszkadzać w tym godzeniu. Malwinko, czy ty też się kłócisz z panem Anatolem i potem się z nim porządnie godzisz przez godzinę?

- No, czasem się kłócę. Albo raczej wymieniamy myśli w dyskusji. A potem... się godzimy.

- Przez godzinę? I to porządnie?

- Hm... W pewnym wieku to już trwa dużo krócej. A w zasadzie to zależy.

- Klócenie się jest zdecydowanie mało przyjemne - westchnęła Gabrysia. - A godzenie?

- Godzenie bardziej - przyznała Malwina.

Nie chciała jednak kontynuować tematu, by nie powiedzieć zbyt wiele, zachęcona przez dziewczynkę różnymi pytaniami. Na przykład to rezolutne dziecko mogłoby chcieć konkretnie się dowiedzieć, na czym to godzenie się polega.

- Myślisz, że mama byłaby zła, gdybym zamiast uczyć się szydełkowania albo gry w szachy, pomogła ci z napisaniem tego ogłoszenia?

- Absolutnie nie - stwierdziła Malwina, spoglądając na zegarek. - Ważne, by to trwało ponad godzinę - wymusnęło się jej.

- No tak... Zobacz, co przyniosłam.

- Komputer?

- Tak.

- I ty umiesz to obsługiwać?

- Tak. Pokażę ci. - Gabrysia sprawnie włączyła laptop. - Tu napiszemy ogłoszenie, a potem wydrukujemy i pani Bogusia naklei je, jak będzie jechała z dziećmi do miasteczka obok. Albo my pojedziemy.

- A drukarkę też przyniosłaś? - zaniepokoiła się Malwina, zaglądając jej do plecaka.

- Nie, drukarka jest za duża. Ale zobacz, możemy zadzwonić do mamy i zobaczyć, jak ona teraz wygląda. Internet łapiemy z biblioteki.

- Może... może lepiej nie - próbowała zaprotestować, ale było już za późno.

Gabrysia uruchomiła jakąś aplikację i po chwili na ekranie można było zauważyć Laurę. Miała zaczerwienioną twarz, błyszczące oczy, a jej włosy były w wielkim nieładzie. Sweter miała założony na lewą stronę. Nie zapięła go, tylko przytrzymała ręką, by poły się nie rozchyliły.

- Cześć, mamusi! - wykrzyknęła Gabrysia.

– Stało się coś? – zapytała Laura.

– Nie, tylko pokazuję Malwinie, że mogę z tobą rozmawiać przez komputer.

– Aha, córeczko. – Odetchnęła z ulgą.

– I pani Malwinka mi powiedziała, że oni z Anatolem też się godzą. Ale mówi, że jak ktoś jest stary, to godzenie zajmuje mu dużo mniej czasu. Pewnie mają wprawę. Prawda, mamó?

– Pra-prawda... – wydukała Laura.

– Nie martw się, też kiedyś dojdziecie do takiej wprawy, że trzy sekundy i po sprawie – stwierdziła Gabrysia i się rozłączyła. – W telefonie też tak mogę zrobić, ale chciałam ci pokazać, że mogę sobie na mamę popatrzeć też na komputerze.

– No dobrze... – westchnęła zmieszana Malwina. – A co z ogłoszeniem?

– Piszemy.

– Wynajmę mieszkanie na pierwszym piętrze. Dwa pokoje, łazienka i kuchnia – dyktowała Malwina, a Gabrysia zapisywała.

– A mogę coś tutaj zmienić? – zapytała dziewczynka.

– Pewnie!

– To ja zmienię i wydrukuję.

– Dobrze, dziecko.

Malwina była już trochę zmęczona. Zarówno energiczną Gabrysią, jak i świadomością, że całe miasteczko ma ich z Anatolem na językach, że żyją bez ślubu i się nieprzyzwoicie prowadzą. Oczywiście dziewczęta, czyli Halina i Balbina, zdawały sobie sprawę z tego, co ona robi wieczorami, ale żeby ktoś inny zaglądał jej do sypialni? Chyba z tego wstydu jutro założy kapelusz i ciemne okulary. A na razie musi się położyć, zdrzemnie się chwilę i sen przyniesie jej najlepsze rozwiązanie. Niech dziecko dokończy już te ogłoszenia i będzie z głowy przynajmniej jeden kłopot.

Po piętnastu minutach na komputerze Gabrysi pojawiło się piękne ogłoszenie ozdobione kwiatkami, chmurkami i różnorakimi zwierzątkami.

Piękne mieszkanie na piętrze od dobrego człowieka, czyli Malwiny. Ona chce zamieszkać ze swoją miłością, a samą miłością ludzie nie żyją, więc chce to mieszkanie wynająć. Dwa ładne pokoje, jeden ma różowy fotel, łazienka i kuchnia, w której jest zmywarka i nie trzeba myć naczyń.

Dodała numer telefonu i jeszcze kilka kwiatków i uznała, że wszystko jest gotowe. Gdy wróci do domu, wszystko wydrukuje i sama własnoręcznie ponakleja te ogłoszenia w miasteczku obok. Pojedzie raz z dziećmi i panią Bogusią autobusem i osobiście tego dopilnuje.

Otworzyła stronę, na której miała zapisane wszystkie swoje egzaminy. Wyglądało na to, że musi tylko zaliczyć historię i będzie miała wakacje. Uśmiechnęła się do siebie. Trochę współczuła dzieciom, które codziennie marnowały tyle czasu w szkole, a nie mogły po prostu żyć. Tak mówiła mama, a ją też przecież trudno było do tego przekonać. Gdyby nie babcia Aniela, Gabrysia musiałaby co rano jeździć do tej szkoły.

Spojrzała z tęsknotą przez okno. Wiosenny wiatr poruszał liśćmi na drzewach. Babcia Aniela była w tym wietrze. Była w każdym pyłku piasku, w każdym listku i w każdej kropli deszczu. Gabrysia była o tym przekonana, przecież osobiście rozsypała jej prochy we wszystkich ulubionych przez staruszkę miejscach. Tęskniła za nią niemożliwie. Czasem nawet sobie popłakała, wspominając babcię, bo to nie było sprawiedliwe, że ona odeszła. Podobnie jak jej tata, ale on był teraz drzewem. Śliczną, przez cały rok udekorowaną choinką, która została zasadzona na jego prochach przez Adriana, Laurę i Gabi.

Dobrze, że ich miała chociaż w taki sposób. Babcię w powiewie wiatru, a tatę w postaci pachnącego żywicą drzewka. Wystarczyło zamknąć oczy i odetchnąć głęboko, a marzenia stawały się chociaż

przez chwilę jawą i można było poczuć zapach wspomnień albo zasłyszanych opowieści.

Kilka dni później na kilkunastu szybach w miasteczku sąsiadującym z Małą Przytulną zawisły ogłoszenia wydrukowane i naklejone przez Gabrysię. Równocześnie na Facebooku Laura udostępniła post o tym, że Malwina szuka lokatora do swojego mieszkania.

Gabrysia uznała, że jej misja zakończyła się sukcesem. Zwłaszcza że lokator, a w zasadzie lokatorka, znalazł się dość szybko i namieszał w społeczności małego miasteczka. Ale jak to zwykle bywa, stało się tak, jak miało się stać i wyszło wszystkim na dobre. Ale o tym za chwilę. Wszak opowieść ma być o zielarce. A o niej dużo łatwiej jest opowiadać, gdy wiosna budzi się do życia, zioła zaczynają kiełkować, również po to, by dawać radość, otuchę i zdrowie tym, którzy potrafią z ich dobrodziejstw korzystać.

8. Maria

Kozłek lekarski (Valeriana officinalis), inaczej zwany walerianą, stosowany jest w stanach napięcia nerwowego, depresji oraz przy trudnościach w zasypianiu, redukuje również liczbę wybudzeń w ciągu nocy. Prowadzi do zmniejszenia napięcia i wyciszenia. Pomaga w uśmierzaniu bólu i dolegliwości pokarmowych. Ma działanie rozkurczowe, dzięki czemu doskonale sprawdza się w łagodzeniu bólów miesiączkowych. Działa również wiatropędnie, może korzystnie wpłynąć na pracę nerek. Napary na jego bazie doskonale sprawdzają się jako środek wspomagający leczenie chorób skóry.

Waleriana jest ziołem od lat wykorzystywanym w medycynie ludowej oraz konwencjonalnej. Surowcem leczniczym są korzeń oraz podziemne łodygi. Nazwa „waleriana” pochodzi od łacińskiego słowa i oznacza „być zdrowym”. Według legendy kozłek lekarski był składnikiem słynnej odtrutki Mitrydatesa VI Eupatora (króla Pontu). Był on okrutnym władcą, który w obawie o swoje życie stworzył środki zaradcze na wszystkie trucizny. Ich skuteczność król przetestował na swoich poddanych i wówczas okazało się, że waleriana jest niebywale efektywnym lekiem. Zapewne dlatego stosowano ją przez wiele wieków.

Już prawie skończyłam ten przydługawy wstęp. Ale on był niezbędny do tego, byś zrozumiała to, co działo się potem. Zielarnia prowadzona w cieniu starego dębu przez kobiety z naszej rodziny, mężczyźni, którzy zbyt szybko od nas odchodzili, i Twoja mama, która była najwspanialszym dzieckiem na

świecie... Pewnie każda matka tak twierdzi, ale ona naprawdę była cudowna. Mądra, inteligentna i wytrwała w swoich działaniach.

Mówi się, że najwięcej dziedziczy się w drugim pokoleniu. Z obserwacji naszej rodziny faktycznie tak wynika. Najlepszymi zielarkami były moja babcia, ja i... teraz czas na Ciebie. Twoja mama wierzyła nauce. Była zdania, że natura nie może leczyć, nie może pomagać. Bo jakże to tak, że najlepszy specyfik ma być na wyciągnięcie ręki? Przecież to niemożliwe. Była pewna, że lekarstwo trzeba kupić w aptece albo wyprodukować za pomocą skomplikowanej maszynierii, nie zebrać sobie rano, idąc do strumyka. Przecież to by było zbyt łatwe!

A przecież wychodząc tylko przed dom czy na pole, możesz stworzyć sobie własną przychodnię. Jestem przekonana, że każdy człowiek powinien żyć zgodnie z rytmem natury i korzystać z jej dobrodziejstw. Dziurawiec, krwawnik, mniszek lekarski, z którego jako mała dziewczynka plotłaś wianki... To wszystko może stać się przydomową apteką. Józefina w to nie wierzyła. Mówiłam jej, że za jakiś czas wszyscy powrócimy do natury. Ludzie często fascynują się tym, co nowe, jeszcze nieznanne, a potem wracają do korzeni. Dostłownie do korzeni!

W naszym ogrodzie również znajdziesz korzenie... Kozłek lekarski, lubczyk czy lukrecja to gotowe lekarstwa na wiele dolegliwości. Te podstawy spisałam dla Ciebie, miałam dużo czasu w samotności. Zielone zeszyty znalazłaś już pewnie w kuchennych szufladach. Nic, tylko z nich czerpać...

Józefina, jak już pisałam, do pewnego czasu interesowała się ogrodem i ziołami, a potem nagle przestała. Uciekła w swój własny świat, do którego ja nie miałam wstępu. Albo inaczej... nie miałam kluczy, a mogłam tam wejść tylko na specjalne zaproszenie i to za ledwie na chwilę. Wiesz, jest taki etap w życiu każdego dziecka, że mama przestaje być jakimkolwiek autorytetem. Dziecko nie ufa jej osądom, traktuje ją jak wroga albo kogoś, kto kompletnie nie zna się na rzeczy. A przecież przed chwilą było inaczej! Dziwisz się, że kiedyś byłaś dla niego najważniejsza. Pokazywałaś mu świat twoimi oczami. Powtarzało za tobą twoje słowa, ruchy, gesty. Chłonoło twoją

wiedzę jak gąbka, wierzyło w każde twoje słowo, a nagle się okazuje, że mówisz bzdury i wszyscy inni wiedzą więcej niż ty. I to na każdy temat.

Najdziwniejsze jest to, że to zupełnie normalny etap, aczkolwiek dla rodzica bardzo bolesny. I trwa od pokoleń. Naprawdę nic się nie zmienia. I spada na ciebie nagle, zupełnie znienacka, wtedy gdy dziecko ma jakieś szesnaście lat. Piękny wiek? Dla dziecka tak, ale dla rodziców to czas pełen wyzwań.

Nie umiałabym chyba sobie z tym poradzić, gdyby nie mój ogród i moje życie. Z trudem przełknęłam tę gorzką pigułkę i uznałam, że zrobiłam tyle, ile mogłam, by Józefinę rozkochać w życiu, które sama prowadziłam, i nadszedł czas, by poszła własną drogą. Miałam nadzieję, że będzie to droga usłana ziołami i polnymi kwiatami. Mówi się „usłana różami”, ale róże mają kolce, a ja nie chciałam, by moje dziecko raniło swoje stopy, idąc przez świat.

Nie wiem, kiedy przeczytasz ten list. Czy masz ten czas już za sobą, czy dopiero przed. Bo wiem, że też masz córkę.

Co wtedy można zrobić?

Trzeba po prostu przetrwać, przeczekać.

I oddychać.

I zbliżyć się do natury.

Na uspokojenie polecam napar z melisy, rumianku i waleriany albo kąpiel z dodatkiem lawendy. To naprawdę pomaga! Twoja pra- i prababcia korzystały z jeszcze jednego zioła. Rośnie na samym skraju pola, wśród lubczyku. Sieje się samo. Było tam od zawsze i nikt na nie nigdy nie zwracał uwagi, dopiero ostatnio zrobiło się wokół tego zamieszanie. To te rośliny chciał ukraść Tomek, ale się pomylił. To było prawdziwe zrzędzenie losu...

Cannabis, moja droga. Mam je w ogrodzie, pośród innych, bardzo do nich podobnych. Jest tego całkiem sporo, rozsiało się samo. Nie przyznawaj się nikomu, bo możesz mieć kłopoty. Wie chyba tylko Tomek. Nawet mamy swój plan na wypadek, gdyby się to rozniosło i mogłabym mieć kłopoty...

Konopie indyjskie... Kontrowersyjne zioło. Starożytne kultury wykorzystywały tę roślinę do wytwarzania lin, żagli i papieru, a także do leczenia różnych dolegliwości. W wielu religiach wykorzystywano je, aby

zbliżyć się do boskości, a nawet wypędzić złe duchy. Babcia Zuzanna zwijała ususzone liście konopi i paliła je jak papierosa. Ja spróbowałam dopiero, gdy byłam dorosła. Na niektórych działa, na innych nie. Na mnie nie podziałało, wolę pić melisę. Konopie kontrowersyjne, ale... wszystko jest dla ludzi. Z umiarem. Nie można nikogo zamknąć w szklanej kuli, nie można zakazać. Trzeba nauczyć ludzi, by wszystko było na wyciągnięcie ręki, ale by umieli rozsądnie po to sięgać. To jest rola rodzica. I jeżeli tego nie nauczysz dziecka, to potem już nie ma ratunku.

Z wychowaniem dzieci jest jak z ogrodem. Co zasiejesz, to zbierzesz. Jeżeli będziesz je pielęgnować i dbać o nie, będzie wzrastało. Będziesz codziennie podlewać – zakwitnie. I wtedy już Twoja rola skończona. Możesz tylko obserwować ten piękny kwiat i cieszyć się, że miałaś wpływ na to, jak jest doskonały. Bo przecież najważniejszy jest początek...

Musisz tylko pamiętać, by to dziecko nie było jedyną rośliną w Twoim ogrodzie. Pamiętaj, że są też inne i te relacje także trzeba pielęgnować. Bo potem, gdy ktoś zerwie Twój najpiękniejszy kwiat, w ogrodzie zostanie pustka. Nic nie będzie cieszyło Twoich oczu. Przynajmniej przez chwilę... Będziesz musiała włożyć sporo energii, a przede wszystkim musi upłynąć trochę czasu, zanim inne kwiaty wzrosną i będą sprawiały Ci radość.

Józefina szybko uciekla, by się uczyć. Najpierw pojechała do szkoły z internatem, potem na studia. Oddalałyśmy się od siebie. Chyba w porę tego nie zauważyłam albo zbyt mocno naciskałam na to, byśmy się nie odsunęły od siebie. Skończyła farmację, zaczęła studiować chemię. Oczywiście doceniała wszystkie substancje, które były w naszych roślinkach, ale lekceważyła moją wiedzę. Właściwie robiła dokładnie to samo, co wszystkie kobiety w naszej rodzinie od pokoleń, tylko nieco inaczej.

Staralam się cieszyć jej sukcesami, ale nie umiałam. Jej związku z Twoim ojcem również nie zaakceptowałam. Z tego, co wiem, nie przetrwał. I powiem tak, jak zawsze powtarzała moja matka – trudno budować szczęście na cudzym nieszczęściu. Pewnie się da, ale naprawdę wymaga to ogromnego wysiłku i wielu wyrzeczeń. I twardej skóry.

Twoja mama na początku twardej skóry z pewnością nie miała. A potem? Nie wiem. Może z czasem się zmieniła? Urwał nam się kontakt i nie miałam okazji tego sprawdzić. A także nie mogłam sprawić, by jej życie było lepsze i by tej twardej skóry mieć nie musiała.

Józefina wpadała czasem na weekendy do domu, ale zwykle nie przestawałam namawiać jej na to, by do nas wróciła na zawsze. Wiedziałam, że to nic nie da, ale chęć udowodnienia jej moich racji była silniejsza. Zjawiała się coraz rzadziej, dlatego też bardzo się ucieszyłam, gdy przysłała telegram, że przyjeżdża na dłużej. Obie z mamą obiecałyśmy sobie, że nie będziemy robić jej żadnych przytyków, że postaramy się, by po prostu było miło. Nagotowałyśmy rosółu, takiego jak lubiła, moja mama ulepiła pierogi, ja upiekłam chleb na zakwasie. Robiliśmy wszystko, by pachniało domem. Takim domem, jaki pamiętała.

W wieczór poprzedzający przyjazd Józefiny długo rozmawiałyśmy, przyrzekając sobie, że pokażemy jej, jak dobrze może jej być z nami. Nie do końca zaakceptowałyśmy to, że wyjechała, ale zaczęłyśmy zdawać sobie sprawę, że kiedy będziemy wciąż jej to wypominać, możemy ją stracić bezpowrotnie.

Niestety nie przewidziałam tego, że moja córka miała dla mnie kolejne wiadomości, które spadły na mnie znienacka i nie umiałam nad sobą zapanować. Przyjechała i była wyraźnie smutna. Nie pytałyśmy, o co chodzi, czułyśmy, że sama nam powie w odpowiednim momencie. Nie wiedziałam, czy stało się coś w pracy, czy ma inne kłopoty.

– Jestem w ciąży – rzuciła pomiędzy jednym kęsem a drugim.

Szybko znacząco spojrzałam na moją mamę, nie chciałam, by powiedziała cokolwiek złego na ten temat.

– Ojej! – wykrzyknęłam, nie bardzo mogąc znaleźć właściwe słowa. Potem przytuliłam Józefinę i pogłaskałam ją po policzku.

– Cieszę się, że będziesz miała córeczkę! – wymusnęło mi się.

- Albo syna – poprawiła mnie.

- Tak. – Zupełnie nie wzięłam pod uwagę tego, że w rodzinie mógłby się pojawić mały chłopiec. Wyczułam, że to zdenerwowało moją córkę.

- Ale do tego tanga trzeba dwojga – burknęła cicho moja mama.

Ścisnęłam ją pod stołem za udo.

- No co mnie szczypiesz? – zapytała, patrząc na mnie. – Nie mam racji?

- Masz, babciu. – Józefina pokiwała głową. – Poznałyście go. To Wojtek.

- Miły chłopiec – stwierdziła babcia.

- Nie przyjechał z tobą?

- Nie.

Myślałam, że powie coś więcej, ale milczała.

- Ale będziecie razem? – Próbowałam się czegoś dowiedzieć.

- Tak. Myślę, że tak.

- Ale co to znaczy, „myślę, że tak”? – Moja mama nic nie rozumiała.

- Babciu, wszystko jest na dobrej drodze. – Uśmiechnęła się, najwyraźniej chcąc nas uspokoić.

Tamtego dnia niczego więcej się od niej nie dowiedziałyśmy. Przyjeżdżała potem raz na jakiś czas, ale nie mówiła o żadnym ślubie ani o tym, jak im się układa. Z jej zdawkowych relacji trudno było cokolwiek wywnioskować, ale postanowiłyśmy nie naciskać. Trzymałyśmy się dzielnie, przynajmniej do pewnego czasu...

- Wojtek przyjechał na śniadanie i spontanicznie postanowiliśmy, że wpadniemy do was, żeby poddychać trochę świeżym powietrzem – cieszyła się Józefina któregoś dnia, głaszcząc coraz bardziej zaokrąglony brzusek.

- Przyjechał? – wyrwało się babci, kiedy absztyfikant akurat wyszedł do łazienki. – To nie mieszkacie ze sobą?

Józefina spuściła wzrok, jakby nie chciała o tym mówić.

- Dziecko, nic nie mówisz o ślubie, o waszych planach...

- To skomplikowane, mammo.

- Skomplikowane? Co może być skomplikowanego w budowaniu wspólnej przyszłości?

- Wojtek... Wojtek ma nieuregulowaną sytuację.

- Jaką sytuację? - Moja mama od razu się zdenerwowała.

- Wojtek ma żonę - wypaliła nagle moja córka.

- I ty się spotykasz z żonatym mężczyzną? - Babcia Józefiny była zszokowana. - Na cudzym nieszczęściu nigdy szczęścia nie zbudujesz!

- To nie tak... On po prostu musi sobie wszystko poukładać - wyszeptwała. - Powoli to zrobi.

Siedziałam i wpatrywałam się w moje dziecko. Znałam z kolorowych czasopism te historie, kiedy naiwne dziewczyny zakochały się w żonatych mężczyznach i potem nie wychodziły na tym zbyt dobrze.

- Czy jego żona wie o was? Jego rodzice?

- Jeszcze nie. - Józia pokręciła głową. - Ona teraz ma trudny czas, zmienia pracę, więc Wojtek nie chce jej dodatkowo denerwować - dodała szybko. - Dlatego utrzymujemy jeszcze wszystko w tajemnicy.

- Taki dobry z niego człowiek - burknęła moja mama.

- Tak, jest bardzo wrażliwy - zgodziła się Józefina, zupełnie nie wyczuwając drwiny.

- Dziecko, jak myśmy cię wychowały...? - westchnęła.

- No różnie przecież się życie układa. - Wzruszyła ramionami.

- Możemy jakoś wam pomóc? - zapytałam.

- Nie, mammo. Wszystko przecież jest w jak najlepszym porządku. Wojtek rozwiedzie się z żoną, zamieszkamy razem, a potem, babciu, będziesz się bawić na naszym weselu.

Tym razem moja mama nic nie odpowiedziała. Znałam ją dobrze i wiedziałam, że powątpiewała w to, czy do jakiegoś wesela w ogóle dojdzie.

Józefina przyjeżdżała do nas co jakiś czas. Oczywiście pytałyśmy, co z Wojtkiem i czy wreszcie załatwił swoje sprawy. Za każdym razem dowiadywałyśmy się, że to jeszcze nie jest ten czas. Że wciąż istnieją przesłanki, by jego żona, rodzice, a najlepiej nikt się o nich nie dowiedział.

Tuż po tym, jak Józefina urodziła Renatkę, Wojtek przywiózł je do nas. Tak sobie myślę, że to były najpiękniejsze chwile naszego wspólnego życia. Przez chwilę myślałam, że tak zostanie na zawsze. Mój niedoszły zięć odwiedzał nas co kilka dni, ale nie pytałyśmy go o to, jak widzi ich przyszłość, bo nie chciałyśmy denerwować Józefiny. Dowiedziałyśmy się jednak, że Wojtek miał syna, który chodził do przedszkola, więc jeszcze trochę muszą poczekać, bo przecież syn potrzebuje ojca.

– Córka też. – Nie zdołałam w porę ugryźć się w język.

– Mamo, ona jest mała i niewiele kojarzy. Jak już zaczniesz rozumieć cokolwiek, będziemy wszyscy razem.

Wtedy pomyślałam, że jednak wykształcenie, nawet bardzo dobre, jest czymś zupełnie innym niż mądrość życiowa. Jakim cudem nie zdołałam nauczyć mojej córki, na czym polega życie? Może tutaj, w Małej Przytulnej, świat zdawał się idealny? W miasteczku były stare panny, szczęśliwe mężatki, pewnie nieszczęśliwe też, ale o tym akurat nikt nie wiedział. Wszyscy tutaj starali się jednak żyć szczęśliwie i spokojnie.

Zakochane w małej Reni byłyśmy wszystkie trzy. Nie chciałyśmy myśleć o dniu, kiedy się od nas wyprowadzą, ludziłyśmy się, że to nie nastąpi nigdy, jednak wiedziałyśmy, że Józefina z utęsknieniem wypatrywała chwili, gdy z Wojtkiem stworzą normalną rodzinę, i zdawałyśmy sobie sprawę, że tak właśnie powinno być.

Któregoś dnia, gdy mała miała już kilka miesięcy, moja mama nie wytrzymała. Gdy przyjechał Wojtek, wzięła go na spytki, byśmy wreszcie wiedziały, co mamy o tym wszystkim myśleć.

- A pan to zamierza kiedyś się określić, czy idzie pan w lewo, czy w prawo, czy będzie pan nadal bałamucił moją wnuczkę?

- Pracuję nad tym - powiedział cicho.

- Byleby tak samo skutecznie, jak pracował pan, majstrując Józefinie dzieciaka.

- To nie jest takie proste... - Wojtek ewidentnie próbował zachować zimną krew.

- Co nie jest proste? Zawrócić w głowie dzieciakowi i mieć wszystko w dupie?! - Im on był bardziej opanowany, tym moja mama mocniej się irtowała.

- Źle mnie pani ocenia - stwierdził, lekko już zdenerwowany.

- A jak mam pana oceniać? Dziecko zaraz skończy pół roku, a pan jeszcze nie zdążył powiedzieć o tym żonie? Nie dość na tym, że bałamuci pan moją wnuczkę, to jeszcze oszukuje pan inną, Bogu ducha winną kobietę!

Tego dnia Józefina spakowała siebie i Renatkę i wróciła z Wojtkiem do Warszawy.

- Babcia nie musiała być dla niego taka niemiła - powiedziała do mnie na odchodnym.

- A co, poskarżył ci się? - zapytałam.

- Powiedział, że czuł się niekomfortowo pod ostrzałem oskarżeń.

- Boże jedyny, niekomfortowo pod ostrzałem oskarżeń! Naprawdę tak to ujął? Ale to, że wodzi wszystkich za nos, nie jest dla niego niekomfortowe?

- Mamo, jest mu bardzo trudno, a wy niczego nie ułatwiacie!

Nie miałam pojęcia, jak i co miałybyśmy ułatwiać dorosłemu facetowi, który zdradzał żonę. Naprawdę rozumiałam, że czasem w małżeństwach się nie układa, że ludzie podejmują decyzję

o rozstaniu, ale kompletnie nie akceptowałam tego, że ktoś może działać na dwa fronty! I nie widziałam bezpiecznego wyjścia z tej sytuacji, bo zawsze ktoś pozostanie nieszczęśliwy. Tym bardziej że ta jego żona nie wiedziała o podwójnym życiu męża.

Kolejne lata nic nie zmieniły. Syn Wojtka szedł do szkoły, nie można go było denerwować, potem do pierwszej komunii, tu z kolei nie można było martwić starej i schorowanej teściowej... Józefina przyjeżdżała coraz rzadziej, ale spędzała z nami święta i długie weekendy. Nie lubiła wsi, to wiedziałyśmy z pewnością. Nie czuła się tu dobrze, ale dzięki temu, że zajmowałyśmy się Renatką, mogła sobie u nas odpocząć, skoro na co dzień właściwie była samotną matką.

Potem założono nam telefon, więc mogła też do nas dzwonić. Kontakt stał się trochę częstszy, ale moja córka zgrabnie omijała denerwujące nas tematy. Pewnego dnia usłyszałyśmy jednak w słuchawce jej płacz. Długo nie mogła się uspokoić, ale w końcu wydukała, że Wojtek od niej odszedł.

- A nie mówiłam - wyrwało mi się. Pewnie gdybym wiedziała, jakie znaczenie będzie miało to jedno zdanie dla naszego przyszłego życia, z pewnością nigdy bym nie wypowiedziała tych słów.

- Mamo, ja nie dzwonię po to, byś mnie wychowywała, tylko byś mnie choć raz spróbowała pocieszyć!

- Dziecko, przez cztery lata mówię ci, że źle wybrałaś, że nic z tego nie będzie...

- I wykrakałaś.

- Przecież to od początku nie miało żadnej przyszłości!

- Miało przyszłość! - krzyknęła moja córka. - On... nie odszedł do żony.

- A dokąd odszedł?

- To jest skomplikowane...

- To może mi wytłumacz, bo naprawdę nic już z tego nie rozumiem?

- Odszedł od żony i... związał się z naszą znajomą.

- Jak to ze znajomą? Jeszcze trzecią sobie znalazł? - Józefina milczała, więc kontynuowałam: - Dla ciebie nie mógł zostawić rodziny, a dla tej innej proszę bardzo?! Córeczko, on cię oszukał, przejrzyj w końcu na oczy!

- Przecież ty byś go i tak nigdy nie zaakceptowała! Wielokrotnie mi mówiłaś, że nie da się budować życia na cudzym nieszczęściu. A babcia to już w ogóle!

- Nadal tak myślę.

- Wobec tego nie mamy o czym rozmawiać - ucięła moja córka.

- Najwyraźniej.

Józefina rzuciła wtedy słuchawką. Zupełnie nie mogłyśmy się dogadać. Potem dzwoniła kilka razy i za każdym razem rozmowa wyglądała mniej więcej tak samo. A przynajmniej tak samo się kończyła. Dowiedziałam się tylko, że Wojtkowi brakowało ciepła rodzinnego i w związku z moją córką zupełnie go nie znalazł.

- Nigdy nie zapraszałaś go do domu, na przykład na święta! - robiła mi wyrzuty Józefina.

- A niby w jakim charakterze miałabym go zapraszać?

- Nie wiem, chociażby jako ojca twojej wnuczki!

- Ojca mojej wnuczki, ale męża innej kobiety. Zresztą on przecież święta spędzał z nimi!

- Mamo, ich małżeństwo od dawna było fikcją. Mówiłam ci, że mają pokomplikowane sprawy majątkowe, chodziło też o syna i dlatego tak długo się to ciągnęło.

- Trzeba było poczekać, aż się sprawy wyprostują, a potem mu wchodzić do łóżka - powiedziałam stanowczo.

Nie mieściło mi się w głowie, że moja wspaniała jedynaczka spotykała się z żonatym mężczyzną. Równie mocno nie mogłam zaakceptować faktu, że będzie się spotykała z rozwodnikiem. Nie byłam przesadnie religijna, ale naprawdę wierzyłam w to, że małżeństwo

powinno trwać aż do śmierci. Podzieliłam się kiedyś tą myślą z Józefiną, ale ona była zbyt wzburzona, by rozmawiać.

– Ojcem nie zdążyłaś się nawet znudzić, za szybko umarł.

– No teraz już przesadziłaś! Wycierasz sobie gębę swoim świętej pamięci ojcem?

Kłóciłyśmy się nieustannie. Pomiędzy jedną a drugą rozmową telefoniczną dowiedziałam się w końcu, że Wojciech uzyskał rozwód, ale zamiast być z moją córką, wybrał sobie ich wspólną znajomą, z którą to wyrusza gdzieś do jej rodziny za granicę. Najgorsze było to, że za taki obrót sprawy Józefina winiła mnie.

– On się źle czuł, bo moja rodzina go nie akceptowała.

– Źle się czuł, bo zachowywał się jak dupek. Nienawidziłam go za to, co zrobił mojemu dziecku i Bóg mi świadkiem, że gdybym go spotkała na ulicy, byłabym skłonna wydrapać mu oczy. Chyba każda matka zareagowałaby tak na krzywdę dziecka.

– Mamo, jaką krzywdę? Ja byłam z nim szczęśliwa!

I to jest właśnie absurdalne – jesteśmy w obronie naszego dziecka gotowe wydrapać oczy, ale czasem się unosimy dumą, obrażamy i zrywamy wszelakie kontakty. Chcemy zawsze, ale to zawsze mieć rację i nic innego się wtedy nie liczy. Całe życie dbamy o to, by mieć wpływ na to, co robi nasze dziecko i jakich wyborów dokonuje. Zapominamy, że ono już nie ma pięciu lat, a ma dwadzieścia czy trzydzieści i naprawdę jest kowalem własnego losu. Naszym zadaniem jest je wesprzeć w marzeniach i planach, ostrzec, gdy ewidentnie wchodzi na minę, jednak gdy po raz kolejny usłyszymy, że jego decyzja jest trafna, powinniśmy to zaakceptować. I nigdy nie powiedzieć: „a nie mówiłam”, tylko gdy przyjdzie do ciebie się wypłakać, mocno przytulić i pokazać, że jesteś blisko.

Ja tego nie zrobiłam. A teraz było za późno. Nigdy już nie spotkam mojej córki. Wciąż mam tę kartkę z napisem, że odeszła z tego świata trzy tygodnie temu. Mogłam mieć tylko nadzieję, że spotkamy się gdzieś tam, u góry, i wszystko sobie wyjaśnimy. Na spokojnie i bez kłótni.

Gdybym miała jeszcze raz przeżyć swoje życie, to postąpiłabym zupełnie inaczej. Ugryzłabym się w język i wszystko bym zaakceptowała. Pewnie nic by się nie zmieniło, ale w momencie, gdy moja córka zostałaby sama, wiedziałaby, że może na mnie polegać. Wiedziałyby, że zrobię wszystko, by jej pomóc. Ja natomiast robiłam wszystko, by ją od siebie odsunąć. I doskonale mi to wyszło. Straciłam ją na zawsze. A wraz z nią Renię, której tak naprawdę nie miałam okazji poznać.

9. Renata

W medycynie najczęściej używany jest owoc kolendry (Coriandri fructus), który jest kulisty, nie ulega rozkładowi i posiada resztki kielicha na wierzchu. Owoce, które przez wielu uważane są za nasiona, używane są również jako przyprawa. Zawierają szereg substancji biologicznie czynnych, mających korzystny wpływ na nasz organizm.

Kolendra, podobnie jak kminek, używana jest przy problemach gastrycznych, głównie przy wzdęciach lub kolce. Ma działanie pobudzające wydzielanie soku żołądkowego, wzmacnia apetyt i stymuluje metabolizm. Wpływa pozytywnie na aktywność trzustki i jest również stosowana do „wyganiania” pasożytów jelitowych z organizmu.

Przez te kilka miesięcy, kiedy tam mieszkała, Renata zdążyła pokochać stary dom. Nigdy się nie spodziewała, że tak szybko się zaaklimatyzuje w babcinej chałupie leżącej gdzieś na krańcu Małej Przytulnej, tuż przy bardzo starym dębie. Ten dąb był wiekowy już wtedy, gdy przyjeżdżała tu jako mała dziewczynka. Nie miała pojęcia, ile mógł mieć lat. Pamiętała, że kiedy była dzieckiem, wspólnie z dalszymi kuzynami próbowała go objąć i nie dawali rady nawet we trójkę. Prosiłi dorosłych, by przyłączyli się do zabawy, ale gdy jej mama zobaczyła brudną od kory sukienkę, natychmiast zabrała ją do domu. Do tego domu, w którym teraz mieszkała, a którego zupełnie nie pamiętała, choć powinna... Powinna go pamiętać, jednak wspomnienia były mgliste

i fragmentaryczne. Minęło już przecież tyle lat, odkąd była tam po raz ostatni.

Nie zmieniło się w zasadzie nic. To był ten sam budynek – białe okna przedzielone szprosami i wyjście na taras, z którego trzy schodki prowadziły prosto do ogródka, a potem wąską ścieżką ułożoną z kamieni do strumyka. Ogród mocno zarósł, ale Renata pamiętała, że zawsze sprawiał wrażenie dzikiego, nawet gdy babcia i prababcia miały wszystko pod kontrolą.

W domu znajdowały się dokładnie te same stare meble. Drewniane szafki w kuchni, ława z patchworkowymi poduszkami, spory biały stół, przy którym tak naprawdę toczyło się rodzinne życie, i duży okrągły stół w pokoju, nakrywany na specjalne okazje. Przy nim stały obite skórzaną tapicerką krzesła. Ścianę zasłaniała częściowo przeszklona komódka, w której babcia trzymała obrusy, a u góry, w witrynce, piękne filiżanki. Nie było tam dwóch jednakowych, jakby każdy napar przygotowywany przez babcię Marysię domagał się innej oprawy.

W sypialni tuż przy oknie stało wygodne wielkie łóżko, zaścielone patchworkową kapą. Nie miała pojęcia, kto ją zrobił dla babci, bo wszystkie kobiety w ich rodzinie miały dwie lewe ręce do szycia. Ogromna szafa po drugiej stronie sprawiała wrażenie, że wystarczy ją otworzyć, a przejdzie się do czarodziejskiego świata. Często bawili się w tej szafie. Kiedy Renata się wprowadzała, była zaskoczona, że na półkach wciąż były równo poskładane dokładnie te same rzeczy, co trzydzieści czy czterdzieści lat temu.

Na piętrze były trzy sypialnie. Jedną zajmowała babcia. Potem chyba, gdy była starsza, przeniosła się na dół, ale gdy Renata weszła do domu, sypialnia wyglądała, jakby zaledwie przed chwilą ją ktoś opuścił.

Dom okalał ogromny, bardzo zarośnięty i bardzo zielony ogród. Renata zdawała sobie sprawę, że tej wiosny ogromnie ją zaskoczy. Jak na razie zaskakiwało ją życie. Życie, które przyniosło ją w miejsce, w którym tak naprawdę nigdy nie chciała się znaleźć. A może po prostu

się jej wydawało, że nie chciała, bo coraz bardziej jej się tu podobało... Na tym etapie swojego życia bardzo tego potrzebowała.

Do tej pory zdecydowanie wołała wielkomiejski zgiełk, ale chyba pragnęła wyciszenia i po tych kilku miesiącach odwykła od miasta, teraz był moment, by zaznać nieco spokoju. Nie tęskniła za ulicznym gwarem, trąbiącymi samochodami czy piskiem opon. Miasto zawsze charakteryzuje się swoistym hałasem. Gdy przebywa się tam dłużej niż chwilę, już się go nie słyszy. Dopiero tutaj, na wsi, poznała, czym jest prawdziwa cisza. Cisza, za którą tęskniła, a zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

Nie spodziewała się, że kiedykolwiek będzie czerpała rozkosz ze spacerowania bosą po pokrytej rosą trawie czy z kąpieli w lodowatym strumyku. Kochała naturę, którą miała tuż obok siebie, na wyciągnięcie ręki, o krok od domu. Każdego dnia powoli przypominała sobie to miejsce, ten dom, w którym babcia Marysia co niedzielę gotowała rosół i wspólnie z wnuczką wałkowała ciasto na makaron. Gdy zamykała oczy, widziała cieniutkie jasne nitki, suszące się na specjalnie do tego przygotowanych stelażach. Kiedy babcia robiła obiad dla gości, makaron wisiał wszędzie! Renata pamiętała ten smak, niemożliwy później do odtworzenia przez nikogo, nawet w najlepszych restauracjach, a bywała w tych najbardziej znanych i wykwintnych.

Babcia zawsze dodawała do rosółu przeróżne zioła. Na pewno garść lubczyku, pietruszkę, pewnie jeszcze inne tajemne składniki, czyniące bulion tak wyjątkowym. A może wyjątkowa była po prostu babcia?

Renata nie chciała nic zmieniać w tym domu. Jedynie kuchenne meble pomalowała na biało, bo właśnie takie były w jej wspomnieniach. Józek, miejscowa złota rączka, który przyszedł jej pomóc w przydomowych naprawach, to potwierdził.

- Tak, ma pani rację, kiedyś były białe. Kilka lat przed śmiercią starsza pani poprosiła, bym je pomalował bejca, bo nie miała już siły szorować ich tak często, jak by chciała, i ciągle wydawały jej się brudne.

„Kilka lat przed śmiercią”... Renata żałowała, że nie spędziła tych chwil ze swoją babcią. Rodzinne animozje uniemożliwiły jej utrzymywanie kontaktów z tą wspaniałą kobietą, która zawsze pięknie pachniała wiosennym ogrodem. A potem, kiedy mama już nie żyła, nawet nie pomyślała o tym, żeby odwiedzić Małą Przytulną, i bardzo się tego teraz wstydziła.

Gdy się wprowadziła, Józek naprawił kilka urwanych zawiasów, naoliwił drzwi, odświeżył ściany. Było tak, jak kiedyś. Ze wspomnień z lat dziecięcych Renata zapamiętała jednak przede wszystkim ogród. Nieokiełznany, dziki, z pozoru zaniedbany. Tylko babcia doskonale wiedziała, co w nim rośnie. Znała każdą roślinę i wiedziała, jakie ma ona zadanie w przyrodzie. Mogła o nich mówić godzinami, ale kilkuletniej Renaty to zupełnie nie interesowało. Pewnie teraz zrobiłaby ogromną karierę z taką wiedzą. Znalazła nawet kilka zielonych zeszytów z zapiskami babci i prababci i co wieczór je studiowała. Była pod wrażeniem dokładnych rysunków roślin oraz precyzyjnych opisów dotyczących zarówno sposobu ich uprawy, jak i leczniczych właściwości. Niektóre z tych zeszytów musiały być sprzed pierwszej wojny. Kawalek historii.

Chyba dopiero teraz Renata zaczynała żałować, że nie miała kontaktu z babcią. Tak się potoczyły ich losy, a mama nie lubiła wracać do tematu, więc w gruncie rzeczy Renata nigdy się nie dowiedziała, co się właściwie stało. I pewnie tak już zostanie. Nie sądziła, że to tylko niechęć matki do wiejskich klimatów spowodowała, że tak rzadko tu bywały.

– Miałam większe aspiracje – zawsze mówiła koleżankom Józefina. – Wieś jest taka brudna. – Krzywiła się. – Nie chciałam chodzić po błocie. Całe życie mnie to błoto i ta słoma uwierały. Nienawidzę wiejskich klimatów.

Potem przed dalszymi znajomymi i kontrahentami mama wypierała się tego, że pochodzi z Małej Przytulnej. Czy to było złe? Czy osoby urodzone w szpitalu w Paryżu, Lizbonie czy Krakowie są w czymś

lepsze od tych, które rodzą się w zaciszu małego białego domku? Czy ich życie jest z założenia gorsze? Renata wiedziała, że tak nie było, ale jej mama była przekonana, że jedynie miejskie pochodzenie i zupełne odcięcie od wsi mogą zagwarantować sukces. Czy ten sukces odniosła? Zawodowo – zdecydowanie tak. Prywatnie – trochę gorzej.

Mama Renaty nie żyła już od kilku lat. Renia pamiętała ją jako szczupłą, wręcz chorobliwie chudą kobietę z nieskazitelnymi fryzurą, manierami i ubiorem. Józefina miała zawsze zaciśnięte usta, jakby nie pozwalała sobie na jakąkolwiek utratę kontroli nad swoim zachowaniem. „Siedź prosto”, „nie garb się”, „nie śmieję się tak głośno”, „to nie wypada” – mawiała codziennie. Nie wypadało być rozczochraną, nie wypadało chodzić boso, a bez stanika to już w ogóle. Teraz często Renata, gdy wstawiała rano i nago biegła do strumyka, słyszała wiatr, który głosem matki mówił jej, że przecież to zdecydowanie nie wypada.

Mama była chemiczką. Pięła się po szczeblach kariery, wierząc wyłącznie nauce. Kompletnie odrzucała naturę. W tamtych czasach było to modne. Wszystko syntetyczne, wszystko od linijki. Pomidory okrągłe, marchewki wzbogacone genetycznie, w jednym kolorze i jednym rozmiarze. Najlepiej takie, by nie było na nich śladu ziemi, bo przecież ziemia była brudna. Wszystko w ich domu musiało być nieskazitelnie czyste. Białe szafki, szklane blaty. Wystrój niczym w laboratorium chemicznym. Dlatego też mama tak nienawidziła wsi, bo tu wszędzie pachniało ziemią, rzeką, liśćmi spadającymi z drzew oraz świeżo skoszoną trawą.

Pewnie matka nie chciałaby, żeby Renia kiedykolwiek tutaj wracała. Los jednak bywa przewrotny i doskonale wie, co jest dobre i w którym momencie życia powinien nam to przynieść. Renata polubiła to miejsce i okolicznych mieszkańców, którzy bez zaproszenia pojawili się w jej domu – zawsze pięknie pachnącą Laurę, Martę, która miała błysk dobra w oczach, i nawet Jana, który, choć poznali się w dosyć niefortunnych okolicznościach, przychodził do niej co jakiś czas na pogawędki.

- Co tam u was? - Łukasz zadzwonił, gdy któregoś dnia Renata siedziała przed kominkiem po swojej „rytualnej” lodowatej kąpeli.

Dzwonił często. Dwadzieścia pięć wspólnych lat przecież zobowiązuje. Nie można się tak rozstać z dnia na dzień, tym bardziej że nie poróżniły ich kłótnie, zdrada czy jakieś inne dramatyczne wydarzenia. Można powiedzieć, że było to zmęczenie materiału. Wspólny wybór, że jednak osobno, bez wzajemnych zobowiązań, będzie im lepiej na tym świecie.

- Wszystko w porządku - powiedziała Renata, jak zawsze, gdy dzwonił.

- Nie brakuje ci ludzi w tej pustelni?

- W żadnym wypadku, wciąż wolę od nich odpocząć. - Roześmiała się. - Chociaż zdziwiłbyś się, jakie bogate życie towarzyskie tu prowadzę.

- To i tak jest lepiej, bo gdy ostatnio z tobą rozmawiałem, wszystkiego miałaś dość.

- Teraz tylko ludzi.

- Nie spotykasz się z nikim?

- Masz na myśli mężczyznę? Nie, ale mam dwie koleżanki. Czasem przychodzą na jogę. I jednego kolegę. Ale jest po siedemdziesiątce i jest zdeklarowanym gejem.

- Nie potrzebujesz do jogi sali fitness, wypasionej maty i odpowiedniego stroju? - zażartował. - Zawsze każdy trening zaczynałaś od kupna sprzętu.

- Wypasioną matę przywiozłam ze sobą. A reszta... Najważniejszy jest oddech. A oddychasz zawsze, nieważne, co masz na sobie czy w jakim miejscu się znajdujesz. Na świeżym powietrzu jest nawet lepiej.

- I kto to mówi? Ty, taki mieszcuch? Nie poznaję cię.

- Ludzie się zmieniają.

- Albo wracają do korzeni?

– Może też tak być. Chyba masz rację. Wracam do korzeni, Łukasz. Przypomina mi się dzieciństwo u babci, której prawie nie znałam i za którą chyba tęsknię. Jestem teraz w jej domu, używam jej naczyń, śpię w jej wykrochmalonej haftowanej pościeli, a nic o niej nie wiem. I bardzo jestem zaskoczona zmianami, które zachodzą we mnie.

– Może któryś z mieszkańców jest w stanie ci o niej opowiedzieć?

– Pewnie tak. Na razie próbuję w ogóle odkryć, jaka duża jest działka, która do niej należała.

– A duża jest?

– W moich wspomnieniach ogromna. Ale wiesz, gdy byłam tu ostatnio, miałam może pięć lat, a gdy się jest dzieckiem, wszystko się wydaje o wiele większe i ogromny ogród może się okazać kilkoma grządkami tuż przy domu.

– Na pewno gdzieś są mapy. Musisz pójść do gminy i podpytać.

– Są. Zajmę się tym.

– Nie spiesz ci się?

– Nie. Tu czas płynie zdecydowanie wolniej.

– Sprawy spadkowe ruszyłeś?

– Jeszcze nie. Mówię ci, że nie mogę się zebrać do działania.

– Nie znam się na tym, ale może jakieś terminy cię gonią?

– Nie wiem, podpytam. A co u ciebie?

– Zamykam jeszcze pewne firmowe sprawy. Nie chcę ci tym zawracać głowy. Odpoczywaj.

– Pracowicie?

– Trochę tak, trochę nie. Pozamykali linie produkcyjne i wracają do natury.

– Czyli tak jak ja. – Uśmiechnęła się, po czym dodała: – Kupili nas, by się pozbyć konkurencji. Najgorsze jest to, że chyba niedługo przyznamy im rację.

– Na to wygląda – przytaknął jej były mąż. – A jak Brahmi?

- Świetnie. - Poglaskała kotkę. - Też jej chyba odpowiada takie wiejskie życie.

- Nie jest do niego przyzwyczajona.

- Tak jak ja.

- Racja. Ale wydajesz się szczęśliwa. Bardzo mnie to cieszy...

Łukasza poznała na studiach. Oczywiście Renata studiowała chemię. Nie mogła zrobić inaczej, niż iść w ślady matki. To wiedziała już od dziecka. Dyplom, a potem rodzinna firma.

Czego jak czego, ale smykałki do biznesu jej mamie nie można było odmówić. Tuż po tym, gdy skończyła chemię i nieco odchowwała córkę, wróciła na farmację, ale chyba tylko po to, by wkroczyć z impetem w świat kosmetyków. Pożyczyła pieniądze od znajomych i postawiła wszystko na jedną kartę - zajęła się produkcją kremów, mydeł i szamponów. By nie umknęły jej żadne nowinki technologiczne, równolegle robiła karierę naukową. Przez ich dom przewinęły się dziesiątki gospoś, nian i innych cioc, którym Renata zawdzięczała to, że zachowała chociaż resztki życiowej normalności. Matka zupełnie nie miała dla niej czasu. Nie nauczyła jej miłości, nie nauczyła jej przywiązania do tradycji rodzinnych. Dlatego Renata nie tęskniła za babcią, za miejscem, w którym miała swoje korzenie, bo po prostu o nim nie wiedziała. Oczywiście, gdy była małą dziewczynką, raz na jakiś czas przyjeżdżały do Małej Przytulnej, ale później przestały. Niewiele pamiętała z tego okresu, jednak każdy dzień spędzony w zielarni sprawiał, że przypominała sobie coraz więcej.

Dzieciństwo u babci widziała jak przez mgłę. Pełno dzieciaków taplających się w błocie i ona. Nie chodziły z mamą na spacer, nie kąpały się w rzece. Czasem Renia patrzyła tęsknie na umorusane dzieciaki beztrosko bawiące się nieopodal, chlapiące się wodą czy biegające boso po trawie. Matka spoglądała wtedy na nią krytycznym wzrokiem, poprawiała jej nieskazitelnie białą sukienkę i patrzyła na nią

z dumą, że ona nie ma takich zachcianek jak te „biedne wiejskie dzieci”. To stwierdzenie słyszała nieraz i nawet teraz, po tylu latach, tkwiło jej w głowie, mimo iż zdawała sobie sprawę, że nie ma w nim ani krzty prawdy.

„Kiedyś życie było jakieś inne” – takie memy krążyły na Facebooku. Nie u niej. W jej domu było zawsze czysto, higienicznie, przewidywalnie i nudno. Teraz, będąc w Małej Przytulnej, Renata odkrywała na nowo świat, który powinna już dawno poznać. Jej mama pewnie by się zdziwiła, że do tego świata zaprowadziła jej córkę firma, sterylna chemiczna firma, którą tak pieczołowicie tworzyła. Ale o tym za chwilę...

Naturalną kolejną rzeczą było to, że tuż po śmierci matki firmę przejęli Renata z Łukaszem. Oboje pracowali tam już od dawna. Co ciekawe, matka od razu zaaprobowała jej narzeczonego, a potem męża. Nic dziwnego, pochodził z dobrej mieszczańskiej lekarskiej rodziny (nie bez znaczenia było to, że byli warszawiakami z dziada pradziada), a na studiach osiągał same najwyższe noty. Miłość, która łączyła córkę i jej wybranka, kompletnie matki nie interesowała. Sama odrzucała ją chyba zbyt szybko. Renata nawet nie wiedziała, kto jest jej ojcem. Matka nigdy jej tego nie powiedziała, a częste pytania zbywała zmianą tematu.

- Miłość to czysta chemia – mawiała. – Nic innego niż związek chemiczny. C₈H₁₁N, czyli fenyletyloamina. To właśnie ten związek wywołuje szybsze bicie serca, to przez niego tracimy oddech i przez niego ściska nas w dołku. Nie ekscytuj się tym zatem, bo to po prostu chemiczno-biologiczna reakcja łańcuchowa! Bodźce zewnętrzne, które muszą zadziałać w odpowiedniej kolejności, i odpowiednie procesy biochemiczne.

- Możesz sztucznie wywołać ten stan? – zadziornie pytała Renata.

- Pewnie. Gdybym chciała, mogłabym wszystko. Bo wszystko w ten czy inny sposób sprowadza się do chemii.

Długo Renata jej wierzyła. Właściwie dopóki nie poznała Łukasza. Wtedy nie miało znaczenia, czy miłość to bodźce czy procesy biochemiczne. Chciała z nim być cały czas. Dlaczego po latach to wszystko się rozsypało? Firma się rozsypała, życie się rozsypało... Nie zastanawiała się jeszcze nad tym. Przyjmowała teraz życie takim, jakim było. Po burzliwym zawodowym i trudnym rodzinnym czasie potrzebowała odpoczynku. Na rozmyślenia przyjdzie jeszcze odpowiedni moment, ale musi upłynąć nieco wody w strumyku, a ona musi splukać z siebie wiele życiowych naleciałości. Zmyć to, co od maleńkości wpajała jej matka, i odkryć to, czego nie zdołała nauczyć się od babci.

Była na dobrej drodze. A wiosna i wspomnienia babcinego ogrodu miały jej w tym pomóc. Musiała jeszcze tylko chwilę poczekać. I musiało się jeszcze trochę rzeczy wydarzyć, by wszystko zrozumiała.

Jeżeli chodzi o życie zawodowe, Renata bardzo długo szła drogą wytyczoną przez matkę. To były czasy, kiedy nie zwracało się uwagi na to, jakie składniki stosuje się przy wytwarzaniu kosmetyków i jak są testowane. Nikt o tym nie mówił. Potem zaczęła jeździć za granicę, szukać nowych rozwiązań, i ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że ludzie coraz bardziej zwracają się w kierunku natury. Liczą się kosmetyki nietestowane na zwierzętach, dobre i krótkie składki. Poczula się wtedy, jakby zburzyły się filary wszystkiego, czego nauczyła ją matka. Nie wzięła pod uwagę, że te filary były zupełnie gdzie indziej, bo w Małej Przytulnej, gdzie zarówno babka, jak i prababka od dziesiątek lat prowadziły zielarnię. Nie zdawała sobie sprawy, że tak naprawdę skarby w postaci tysiąca receptur zapisanych w zielonych zeszytach są w zasięgu jej ręki. Czy gdyby miała te wszystkie informacje, jej życie potoczyłoby się inaczej? Czy zdecydowałaby się zmienić całą linię produkcyjną i zacząć wszystko od nowa? Te pytania już na zawsze miały pozostać bez odpowiedzi. Łukasz ją do tego przekonywał. Mówił, że

świat się zmienia, że ludzie się zmieniają i jeszcze chwila, a nikt nie będzie chciał kolorowych, mocno pachnących kosmetyków czy kremów o niewiadomym składzie.

Wiedziała o tym, ale sama trochę pogubiła się w tej modzie na ekologię. Zatrudniali ponad sto osób, posiadali ogromne magazyny, halę produkcyjną i Renata coraz częściej odnosiła wrażenie, że to wszystko stawało się niepotrzebne. Sama zaczęła stosować kremy, mydła i szampony robione ręcznie, kupowane na targach eko, bo chciała się przekonać, czy to naprawdę było lepsze. I było. Jednak Renacie zabrakło motywacji, by zejść z raz obranej ścieżki i wyruszyć w nieznaną. Nauczyła się tego dopiero w Małej Przytulnej.

Trwali więc z firmą w zawieszeniu przez kilka lat. Kropką nad i była propozycja kupna zakładu. Odezwał się francuski inwestor, który chciał w nim wprowadzić zmiany. Szukał pewnej lokaty pieniędzy w interes, który będzie mógł zmienić na swoją modłę stosunkowo niewielkim nakładem pracy i kapitału. Do tej pory zarówno Renata, jak i Łukasz nie dopuszczali nikogo z zewnątrz do procesów decyzyjnych, byli przekonani, że sami wiedzą najlepiej, co mają robić. Oczywiście cały czas mieli nadzieję, że córka pójdzie w ich ślady, jednak ona zupełnie nie wykazywała zainteresowania tym tematem. Skończyła informatykę i chciała zajmować się tylko tym. Nie umiała sobie znaleźć miejsca w rodzinnej firmie, a nawet nie bardzo chciała się w to angażować. O dziwo, w tej kwestii nie narzucali jej swojego zdania. Mogła iść swoją drogą, chociaż jej rodzice zdawali sobie sprawę, że będzie zaczynała wszystko od początku. Potem na dodatek przyszła na kolację z tym podstarzałym facetem i wszystko się jeszcze bardziej popsulo.

– To co robimy? – zapytała Renata męża.

– Firma dobrze prosperuje... – zaczął Łukasz.

– To chyba najlepszy moment, by ją sprzedać.

– Właśnie to chciałem powiedzieć, ale nie dałaś mi dokończyć. –

Uśmiechnął się. – Nie jest ci smutno?

- Wiesz, że nigdy nie byłam sentymentalna. To akurat mam po mamie. Czasem trzeba podejmować racjonalne decyzje.

- Nie za wcześnie na emeryturę?

- Trochę wcześniej, ale kto powiedział, że nie znajdziemy sobie jeszcze innej drogi w życiu. Pięćdziesiątka niemalże na karku, może to czas na zmiany?

- Kryzys wieku średniego? - zażartował Łukasz. - A co będziemy robili, gdy nie będziemy chodzili do pracy i nie będziemy dwadzieścia cztery godziny na dobę myśleli o naszej firmie?

- Nie mam pojęcia - przyznała Renata. - Ale skoro przeżyliśmy etap, w którym przestaliśmy dwadzieścia cztery godziny na dobę zajmować się naszym dzieckiem, to przeżyjemy i ten.

- Z dzieckiem to musimy na nowo nawiązać relacje - westchnął Łukasz.

- Jasne, nawiążemy, jak zmadrzeje. - Renata pokręciła głową. - Bo to, co się dzieje teraz, jest nie do zaakceptowania. Facet w twoim wieku, też wymyślił! Przecież on nawet wygląda starzej od ciebie.

- Renata, tak nie można. To nasze dziecko... - próbował przekonać ją mąż.

- No popatrz, a robi głupoty, jakby było podrzucone - stwierdziła sarkastycznie.

- Może piłeczka leży po twojej stronie?

- I niby ja mam ją przeproszać? Chyba żartujesz. - Spojrzała na niego zdziwiona. - Za co?

- No dobra, to rozmowa na inny czas. Teraz musimy podjąć decyzję dotyczącą naszej firmy. Ale uważam, że nie powinnaś się tak upierać i wечно kłócić ze swoim jedynym dzieckiem.

- Musimy się zastanowić nad przyszłością - powiedziała Renata, zbywając temat Zosi. - Przyszłością naszą i wszystkiego wokół.

- Przede wszystkim nad marzeniami.

– Do tej pory nie mieliśmy nawet czasu się nad nimi zastanawiać. – Zamyśliła się. – Zawsze zaganiani i ciągle w pracy.

– No, to teraz będziemy mieli czasu aż nadto. Musimy dobrze ograć tę sprzedaż firmy. Uważam, że powinniśmy sobie zostawić udziały, by była kasa na bieżące wydatki. Musimy porozmawiać z prawnikiem.

– Bez prawnika się nie obędzie. Mamy kogoś?

– Pewnie. Roberta poproszę.

– Z tymi udziałami byłoby świetnie... O ile oni się na to zgodzą.

– Nie przekonamy się, dopóki im tego nie zaproponujemy. – Łukasz wzruszył ramionami.

– No dobrze. To odpisz im, że zaskoczyła nas propozycja, bo firma bardzo dobrze prosperuje i nie braliśmy pod uwagę jej sprzedaży, ale zawsze możemy posłuchać, co nam oferują.

Rozmowy biznesowe z francuskimi kontrahentami trwały pół roku, a nawet trochę dłużej. Nie było łatwo, ale dzięki prawnikowi, koledze Łukasza jeszcze z liceum, udało się doprowadzić sprawę do końca z efektem lepszym, niż wstępnie oboje zakładali. Na początek, przez pierwsze pięć lat działalności firmy w nowym składzie, zostawili sobie trzydzieści procent udziałów, potem, po kolejnych latach dwadzieścia, a później dziesięć już dożywotnio. Oboje bardzo kibicowali tej firmie i mocno wierzyli, że świeża krew w zespole spowoduje jej rozwój, dlatego sporym zaskoczeniem dla Renaty było, gdy poproszono ją, by zwolniła dwadzieścia osób z linii produkcyjnej.

– Ale nie rozumiem... Przecież oni są potrzebni! – próbowała przekonać nowych właścicieli.

– Mamy inne plany i nie będziemy mieli dla nich pracy.

Ciężko to odchorowała. Miała umowę z nowym zarządem, że będzie pracowała jeszcze jakiś czas, aby przyzwyczaić załogę do zmian, które miały nadejść. Nie spodziewała się zupełnie, że te zmiany będą szły w takim kierunku.

Zwalniała osobę po osobie. Gdy wracała do domu, nie miała już na nic sił. Łukasz próbował ją pocieszać, ale bezskutecznie. Niektórzy ludzie pracowali z nią od wielu lat. W zasadzie od początku, a nawet jeszcze zanim zaczęła w firmie pomagać mamie.

- Dałam wszystkie wypowiedzenia - powiedziała któregoś wieczoru.
- I sama też dziś złożyłam swoje.

- Nie rozmawialiśmy o tym - zdziwił się.

- To był impuls.

- Od kiedy ty działasz impulsywnie?

- Nie wiem... - powiedziała zamyślona. - Wszystko się zmienia.

Faktycznie wszystko się zmieniało. Jakiś czas później Łukasz zrobił dokładnie to samo. Nie mógł znieść presji, nie umiał mieć szefa nad sobą. Atmosfera w firmie była coraz gorsza, ci, którzy zostali, bali się, że niedługo również będą musieli szukać pracy. Dotychczasowi właściciele nie mogli patrzeć na to, jak na zmarnowanie idzie dzieło ich życia.

Zosia nadal się do nich nie odzywała, zostali więc sami w trzech pokojach. Nie narzekali na brak pieniędzy, stać ich było na naprawę piękny apartament, ale wciąż tkwili w tym samym mieszkaniu, w którym rozpoczęli wspólną życiową podróż. Dzień w dzień wstawali rano, jedli razem śniadanie i nudzili się ze sobą. A raczej nudzili się sobą... Kiedy wspólnie pracowali, zdawali się idealnymi partnerami, zarówno w życiu, jak i w firmie. Kiedy przestali współpracować w biznesie, ich partnerstwo w życiu również zostało wystawione na ciężką próbę. I z tej próby nie wyszli zwycięsko.

Ktoregoś wieczoru, po całym dniu spędzonym w milczeniu, Renata zaproponowała rozwód. Łukasza wcale to nie zdziwiło.

- Rozumiem, że chcesz iść inną drogą, ale może najpierw separacja? - zapytał.

- Wiesz, że jestem zwolenniczką radykalnych rozwiązań.

Czuła, że jej mąż się z kimś spotykał. Miał więcej czasu, zaczął grywać w brydża z jakimiś zupełnie nowymi znajomymi i chyba tam kogoś poznał. Nie pytała o nic, nawet nie była zazdrosna. I to ją najbardziej zaskoczyło. Przecież gdyby kochała męża, powinna być na niego wściekła!

Rozwód uzyskali niemalże natychmiast. Oczywiście dzięki Robertowi, temu samemu, który doprowadził sprzedaż ich firmy do szczęśliwego finału. Chociaż właściwie w obu wypadkach nie można było mówić o happy endzie, bo przez firmę przechodził huragan zmian, a oni po dwudziestu pięciu wspólnie spędzonych latach postanowili pójść w różne strony. Ale oboje wierzyli, że jakoś się to wszystko poukłada. Czasem przecież rozwód nie jest końcem, a początkiem czegoś nowego, dużo lepszego.

Po rozprawie Łukasz zaprosił ją na kolację. Doskonale wiedział, jaką kuchnię preferuje i jakie wino do tego pije. Po tylu latach razem trudno nie wiedzieć wszystkiego o swoim małżonku.

– I co teraz? – zapytał.

– Nie wiem. Pierwszy raz w życiu nie wiem, co teraz.

– Na mieszkanie mamy już kupca. Szukałaś czegoś dla siebie?

– Mam kilka propozycji, agent nieruchomości obiecał, że mi wyśle link do oferty, ale wciąż go nie mam.

– Mailem?

– Nie, na Messengerze. – Uśmiechnęła się. – Znalazłam to mieszkanie w jakimś ogłoszeniu na Facebooku i zadzwoniłam do nich. Podobno mają kilka innych, lepszych, dla specjalnych klientów.

– Pewnie wszystkim tak mówią.

– Pewnie tak. Tak czy inaczej, nic mi na razie nie wysłał. Jeszcze przez chwilę jesteśmy na siebie skazani.

– Nie ma sprawy. Daliśmy radę dwadzieścia pięć lat, damy też radę przez kilka kolejnych dni. Albo tygodni...

Renata nie zwróciła uwagi na jego słowa, bo dalej szukała w telefonie wiadomości od agenta nieruchomości.

– W „innych” sprawdzałaś? – zapytał Łukasz. – Albo w facebookowym spamie?

– Nie, poszukam.

Renata przez chwilę przeglądała wiadomości, ale nagle pobladła.

– Coś się stało?

Nic nie powiedziała, tylko pokazała Łukaszowi telefon. Na ekranie były trzy wiadomości. Jedna sprzed dwóch tygodni, a dwie wcześniejsze – z końca zeszłego roku i z jego początku. Pisał do niej jakiś chłopak, Tomek Nowicki. Nie kojarzyła go, była wręcz pewna, że nigdy o nim nie słyszała. Żadnych wspólnych znajomych.

Wiadomość z zeszłego roku brzmiała:

Dzień dobry. Nie znamy się. Piszę na prośbę pani babci, która pragnie się z panią skontaktować. Ma już swoje lata i myślę, że niezależnie od wszystkiego warto spełnić jej życzenie. 😊

Późniejsza:

Dzień dobry. Nie odczytała pani mojej poprzedniej wiadomości... Piszę, by panią poinformować, że pani babcia odeszła. Zmarła dzisiaj rano. Podobno może pani nawet nie wiedzieć, że ona niedawno wciąż jeszcze żyła... Mówiła mi o tym. Uważam jednak, że powinna pani wiedzieć. Mam dla pani list od pani Marysi. Prosiła, bym go pani przekazała w razie jej śmierci. Na początku myślała, że zdąży z panią porozmawiać. Nie zdążyła...

Wiadomość sprzed dwóch tygodni była krótsza:

Nie odczytała pani chyba mojej wiadomości. Próbowałem się z panią skontaktować inaczej, ale chyba nie przekazano pani informacji. Babcia zostawiła pani domek z przepięknym ogrodem

i kawałek ziemi. Mam klucze. Zaglądam tam czasem i sprawdzam, czy wszystko jest OK. Na zimę okryłem drzewka owocowe, by nie zmarzły, i zabezpieczyłem niektóre rośliny... Pani Maria zawsze o nie bardzo dbała. Bardzo proszę o kontakt, jeżeli pani odczyta tę wiadomość.

Tomek

– Pojadę tam – bez zastanowienia powiedziała Renata.

– Kiedy?

– Nie wiem. Pogadam z tym chłopakiem. Spakuję się i pojadę. Chyba od razu.

– Święta za tydzień, może się wstrzymasz kilka dni?

– Nie. Nie ma na co czekać. Święta są dobrym czasem, by zacząć od nowa.

Próbował ją jeszcze przekonywać, ale ona już podjęła decyzję. Jedną z niewielu spontanicznych decyzji w jej życiu.

Po chwili odpisała chłopakowi:

Dzień dobry. Właśnie odczytałam wiadomości. Czy możemy się skontaktować telefonicznie? Podaję numer: 604...

10. Maria

Arnika górská (Arnica montana) to wieloletnia roślina, wyróżniająca się żółtopomarańczowymi kwiatostanami, kształtem przypominającymi stokrotkę, lecz znacznie większymi. Należy ona do rodziny Asteraceae. Nie jest powszechnie występującą rośliną. Pojawia się w stanie dzikim przede wszystkim w górskich regionach krajów Europy Środkowej. Ze względu na jej znaczne przetrzebieanie znajduje się pod ścisłą ochroną gatunkową.

Działa przede wszystkim przeciwbólowo, przeciwzapalnie i przeciwobrzękowo, przyczynia się do szybszego gojenia i regeneracji uszkodzonych tkanek po urazie, usprawnia krążenie żyłne i poprawia kondycję naczyń krwionośnych, zapobiega krwawieniom i przyspiesza wchłanianie się wybroczyn i wylewów podskórnych.

O leczniczym zastosowaniu arniki pisała na przełomie XI i XII wieku Hildegarda z Bingen. Podobno właściwości tej rośliny zostały odkryte przypadkiem. Górale zaobserwowali, że kozice jedzące arnikę były bardziej aktywne i zdrowsze niż inne. Prawdopodobnie także oni wypróbowali okłady z arniki na stłuczenia, a później stały się one popularne wśród zielarzy i aptekarzy.

Czy mogę powiedzieć, że przegrałam życie?

Nie, Kocham swoje życie i nie zamieniłabym się na inne. Ale z pewnością z Wami byłoby ono bogatsze. Długo nie było młodości w tym domu, dopiero Tomek tchnął tutaj trochę świeżego spojrzenia, a potem Gabrysia przyniosła

dziecięcą radość. Wiele im zawdzięczam. Dzięki nim ostatni czas był najlepszym w moim życiu. Oczywiście nie licząc tego, gdy przez pół roku mieszkaliśmy u mnie.

Te dzieciaki spowodowały, że na stare lata spojrzałam znowu na świat z optymizmem. Nawet mój ogród zdaje się mieć więcej kolorów. Nie wiem, czy to mijające lato zadziwia mnie swoimi roślinami, może Tomek ma wyjątkową rękę do kwiatów, a może ja zdobyłam różowe okulary, by inaczej widzieć wszystko wokół?

Nie przegrałam życia, ale gdyby mnie ktoś zapytał, czy czegoś żałuję, to powiedziałabym, że tak. Żałuję, że nie potrafiłam pierwsza wyciągnąć ręki na zgodę i powiedzieć „przepraszam”. Żałuję, że nie pozwoliłam mojemu dziecku wybierać. Teraz wiem, że są dwa wyjścia: albo akceptujesz decyzje dzieci, albo te dzieci tracisz. Odchodzą od ciebie... Najpierw powoli, wtedy jeszcze jesteś przekonana, że wrócą. Nie zastanawiasz się nad tym, co będzie, jeżeli stracisz je na zawsze, bo w to nie wierzysz. Potem coraz szybciej znikają ci z pola widzenia.

Do Józefiny już się nie odezwę. Jest za późno. Nie zdążyłam. Tego nie mogę sobie wybaczyć. Nie wiem, co się stało, nie wiem, dlaczego odeszła w tak młodym wieku. Nigdy się nie spodziewałam, że będę żyła dłużej niż moje dziecko. Nie tak powinien być świat wymyślony...

Pewnie gdy się spotkamy, wszystko mi opowiesz. Mam nadzieję, że będziesz chciała zobaczyć się ze swoją babcią, która tuliła Cię do snu, gdy byłaś bardzo, bardzo mała. Ze swoją babcią, która smarowała Ci stłuczone kolana maścią z arniki górskiej, nagietka i kory kasztanowca. Z tą, która naprawdę Cię kochała, ale w swojej złości pogubiła się w tym wszystkim. W miłości również.

Teraz wiem, że wiele rzeczy w życiu trzeba po prostu odpuścić. Zaakceptować takimi, jakimi są. Jeżeli nie mamy na coś wpływu, czegoś nie rozumiemy, powinniśmy przyjąć do wiadomości, że taki po prostu jest świat.

Ja żałuję, że spowodowałam, iż moja córka się ode mnie tak bardzo odsunęła. Co to zmieniło, że wolała miasto? Albo że zakochała się w człowieku, na którego ja nawet bym nie spojrzała? Nic. W dalszym ciągu

to była moja córka, którą kochałam nad życie. Była dokładnie taka sama, jak wcześniej.

Jednak, jak to życie pokazało, miłość nie wystarczyła, by utrzymać te relacje. Pewnie pomyślisz, że Twoja matka też mogła się odezwać, zadzwonić. Ona próbowała. Przyjeżdżała, telefonowała, ale za każdym razem w tym domu zamiast miłości spotykała wymówki, osądy, krytykę i niezadowolenie.

A w pewnym momencie trzeba było przestać.

Nie umiałam tego zrobić.

Mam nadzieję, że Twoja córka i Ty jesteście mądrzejsze i umiecie trwać razem. To ważne mieć korzenie i je znać. Nawet jeżeli nie chcesz podążać śladem Twoich przodków, to fajnie mieć świadomość, że łączy Cię z nimi chociaż nic porozumienia. Trudno być człowiekiem znikąd. I dlatego mi zależy, byś chwilę tu pobyla, pooddychała moim powietrzem, byś zachwycała się ogrodem i wonią tych wszystkich roślin.

Liczę jednak na to, że sama Ci o tym wszystkim opowiem. Na początku myślałam, że wyślę ten list, że jakimś dziwnym trafem znajdę twój adres, ale chyba to niemożliwe. Zapytam Tomka. Zresztą jak byś zareagowała, gdybyś dostała list od obcej kobiety? Bo przecież mnie nie pamiętasz. Nie przeczytałabyś go zapewne, a może nawet byś go nie otworzyła... Nie wiem.

Jakiś czas temu Tomek zapytał, czy napisać do Ciebie. Nie wiem w jaki sposób, ale znalazł Cię gdzieś za pomocą swojego telefonu. Nie byłam jeszcze na to gotowa. Dzisiaj jestem. Poproszę go jutro, by się do Ciebie odezwał. Czy odpiszesz? Tego również nie wiem. Dlatego na wszelki wypadek poproszę go, by w razie czego znalazł Cię, gdy już nie będzie mnie na tym świecie, i przekazał Ci ten list. To dobry chłopak. Ma marzenia, jak Twoja matka. I z kolei jego matka nie potrafi tego zaakceptować.

Kiedy podjęłam już decyzję, by z Tobą porozmawiać, piszę do Ciebie trochę jak zza grobu. Bo zdaję sobie sprawę, że będziesz czytała ten list tylko w wypadku, gdy umrę, zanim się spotkamy. Dlatego też dołączam do niego testament, który spisałam. Rozmawiałam z księdzem (a w zasadzie z Wiktoorem, zawsze zapominam, że on nie jest już stanu duchownego).

Przechodził przed moim płotem i go zawołałam. Całe szczęście, bo mi pomógł sformułować te zdania w taki sposób, by nikt nie miał wątpliwości, jakie było moje życzenie. Kopię testamentu zostawiam w razie czego w piwniczce. Jestem przekonana, że po mojej śmierci prędzej czy później ktoś tę piwniczkę odwiedzi, by skosztować trunków, którymi ją zaopatrywałam przez lata. Niech pije, na zdrowie!

I pamiętaj – gdy przeczytasz ten list, kiedy zobaczysz testament, pamiętaj, że masz wybór. Cokolwiek postanowisz, będzie dobrze. I uwierz mi, mimo iż mnie już nie będzie, zaakceptuję to. Jestem przekonana, że wybierzesz dobrze. Przecież płynie w Tobie mądrość życiowa Twoich matki, babki, prababki i wszystkich zielarek z zielarni pod starym dębem.

Kocham Cię, Reniu. Żyj zgodnie ze swoimi marzeniami.

Babcia Marysia

Kiedy skończyłam pisać ten list, szybko skreśliłam te kilka słów, które zanotowałam, gdy rozmawiałam z Wiktorem. Nie powiedziałam mu konkretnie, jakie jest moje życzenie, ale podejrzewam, że się domyślił. Opowiedziałam mu o tym, że Tomek znalazł moją wnuczkę Renatę. Zwierzyłam mu się też, że jestem gotowa, by wreszcie z nią porozmawiać.

– Trochę zeszło, pani Marysiu. – Pokręcił głową. – Rychło w czas powiedziałbym.

– Trochę zeszło – przyznałam. – Jednak lepiej późno niż wcale.

– A zna pani przypowieść o synu marnotrawnym?

– Wiktorze, czy ty się z powrotem zmieniasz w kaznodzieję?

– Nie, ale myślę, że Biblia zna odpowiedź na każdy problem.

– Może i zna odpowiedź, ale nie zawsze ma rację.

– Z synem marnotrawnym akurat ma – zaprotestował Wiktor.

– No może i ma, ale wtedy bardziej myślałam o szóstym przykazaniu.

- A pani Marysia to taka religijna była?

- No właśnie nie zawsze. - Wzruszyłam ramionami. - Było, minęło. Ale co, powinnam pochwalać to cudzołożenie?

- Nie mnie to oceniać - szybko odpowiedział Wiktor.

- No widzisz. - Zamyśliłam się. - Napisałam też list w razie czego - dodałam cicho.

- W razie czego?

- Wiktorze, proszę mnie nie kokietować. Stara już jestem i myślę, że kostucha czai się gdzieś pod płotem i czeka tylko, aż zostawię niedomkniętą furtkę.

- No cóż mam powiedzieć? - Zasepił się.

- Nic albo samą prawdę. Chciałabym ją tylko zobaczyć przed śmiercią. Myślisz, że Bóg ziści moje marzenie?

- Nie wiem... - Były ksiądz pokręcił głową. - Czasem spełnia bardzo irracjonalne życzenia.

- Moje takie nie jest.

- Nie jest. A jak się pani czuje, pani Marysiu?

- Raz lepiej, raz gorzej - powiedziałam zgodnie z prawdą. - Piję moje zioła i to powinno wystarczyć. Trochę mniej się ruszam, bo Tomek mnie odciąża.

- Dobry z niego chłopak.

- Bardzo dobry. Gdyby nie on, to ta starość byłaby potwornie smutna.

- A może wybierze się pani do lekarza? Zawsze warto zrobić przegląd gwarancyjny.

- Ależ, Wiktorze, na mnie już nikt gwarancji nie da! - Roześmiałam się.

- Jakby było potrzeba, zawiozę. Lekarz zbada, osłucha, pigułki jakies da...

- Po co mi lekarz? Oddycham. Jak przestanę, to umrę. A pigułki? Po co mi pigułki, skoro mam cały ogród? To moje remedium na

wszelakie dolegliwości. Tylko wdychać, nacierać się i jeść!

- Zmieniłam zdanie – powiedziałam, gdy tylko przyszedł Tomek.

- Ale w jakiej sprawie?

- W sprawie listu.

- Nie napisała go pani?

- Wręcz przeciwnie, skończyłam.

- To cudownie! Teraz musimy znaleźć adres pani wnuczki i go wysłać.

- Nie. Postanowiłam, że chcę z nią porozmawiać. Kiedyś mówiłeś, że mógłbyś do niej jakoś napisać...

- Pewnie. – Ucieszył się, wyciągając telefon. – Co mam napisać?

- Że chciałabym z nią porozmawiać. I napisz, że wciąż ma babcię.

Pewnie nie pamięta...

Tomek przez chwilę stuknął w ekran telefonu.

- Już. – Uśmiechnął się.

- Już? – Zdziwiłam się. – Co napisałeś?

- Dzień dobry. Nie znamy się. Piszę na prośbę pani babci, która pragnie się z panią skontaktować. Ma już swoje lata i myślę, że niezależnie od wszystkiego warto spełnić jej życzenie.

- Dobrze. I kiedy odpisze?

- No tego nie wiemy. Najpierw musi odczytać wiadomość, a później to już z górki.

Pokiwałam głową. Nie rozumiałam zbyt wiele z tego nowoczesnego świata, mimo iż Tomek całkiem sporo mi o nim opowiadał. Wiedziałam jedno – trzeba cierpliwie czekać. Zdawałam sobie jednak sprawę, że w moim wieku czas biegnie dużo szybciej niż wtedy, gdy miałam lat dwadzieścia.

Wielokrotnie pytałam Tomka, czy Renata w końcu coś odpisała. Podobno nawet próbował się skontaktować z firmą, w której pracowała, bo znalazł ją gdzieś w Internecie. Niestety, bezskutecznie. Nie byłam cierpliwa w tej kwestii. Czulałam, że mój czas na tym świecie powoli się kończy. Na szczęście miałam kopertę z listem i testamentem w środku i Tomka, który zobowiązał się, że ją dostarczy.

– Nie musisz się spieszyć – powiedziałam. – No wiesz, jakby rok albo pół roku po mojej śmierci nikt się nie zainteresował, to zacznij jej szukać, ale wcześniej nie.

– Co pani za głupoty mówi, pani Marysiu?

– Ty, Marysiu, będziesz żyła wiecznie. Jak Syzyf – stwierdziła Gabrysia, która się przysłuchiwała tej rozmowie.

Jak wiemy, dziewczynka nie bawiła się w konwenanse i do wszystkich mówiła na ty. Nawet tych dobre kilka razy starszych.

– Syzyf? – Zdziwiłam się.

– Przecież Syzyf to ten koleś od kamienia, który pchał pod górę, a który mu się zsuwał. – Tomek zmarszczył brwi.

– No właśnie. I on to robił wiecznie! Cały czas w górę i w dół. Przekichane.

– Wolałabym nie żyć jak Syzyf – zaprotestowałam. – Chyba bym nie dała rady. Nie ta kondycja. Tu strzyka, tam boli.

– A co cię boli, Marysiu?

– W tym wieku, Gabrysiu, jeżeli nic nie boli, to znaczy, że człowiek nie żyje.

– To ja się strasznie cieszę, że cię coś boli, Marysiu. – Gabrysia odetchnęła z ulgą. – Przynajmniej żyjesz. Ale chciałabym wiedzieć konkretnie, co cię boli.

– Głowa, kręgosłup... – wymieniałam, z niepokojem patrząc na dziewczynkę, która ewidentnie liczyła na palcach to, co mówiłam. – Czasem nogi...

– Obie? – zapytała Gabryisia.

– Czasem jedna, a czasem obie. – Zupełnie nie wiedziałam, do czego zmierza.

Gabryisia bezradnie opuściła rękę.

– To ja nie wiem, jak mam to policzyć – westchnęła.

– Ale, dziecko, co ty liczysz?

– Ile masz boleści! To oczywiście przecież! – powiedziała zirytowana.

Nie nadażałam za tym dzieckiem.

Gabryisia westchnęła ostentacyjnie.

– Anatol odrobinę zaniemógł zdrowotnie, bo już jest stary. Trochę mniej stary niż ty, ale zawsze to stary, prawda?

Zamyśliłam się. Z tego, co mi się wydawało, Anatol był młodszy ode mnie o dobrych dziesięć lat. Ale jaki on miał związek z tym, co mnie boli, tego zupełnie nie wiedziałam.

– Ale co to ma wspólnego ze mną? – zapytałam w końcu.

– Bo Halinka powiedziała, że on nic z tym nie zrobi, bo w miasteczku obok jest lekarz od siedmiu boleści. I on wyraźnie się zmartwił. Pewnie ma więcej niż siedem, prawda?

– Pra-prawda – wyjąkałam.

– Ależ się cieszę, Marysiu! Bo gdybyś miała więcej niż siedem boleści, to też by ci nie pomógł. A tak jest nadzieja.

Nie pamiętam, kiedy tak bardzo się śmiałam. Gabryisia przez chwilę chyba się zastanawiała, czy się obrazić, że się z niej nabijam, ale najwyraźniej uznała, że więcej straci, jeżeli się nie przyłączy, więc nam zawtórowała.

– A co napisałaś w testamencie? – zapytała nagle.

– To, komu to wszystko zostawiam.

– Tego konia na biegunach, co stoi w sypialni też?

– Nie, o koniu nie wspominałam.

– Aha... – Zmartwiła się. – A... kto go odziedziczy?

– Rozumiem, że chciałabyś go mieć? – Uśmiechnęłam się.

Gabrysia energicznie pokiwała głową.

– Mogę ci go podarować już dziś.

– Ale ja bym chciała go dostać w testamencie – powiedziała poważnie dziewczynka. – Nikt mi nigdy nic nie zapisał w testamencie. Byłabyś pierwsza. I nie chcę, żebyś pomyślała, że mi się spieszy, bo nie. Ale jakbym miała taki testament, mogłabym sobie go czytać i się cieszyć.

– Dobrze. – Uśmiechnęłam się.

Wyrwałam kartkę z zeszytu. Napisałam datę, a pod spodem tekst:

Testament

*Moją wolą jest, aby konia na biegunach po mojej śmierci dostała
Gabriela Ratajczyk.*

Maria Górska

– A możesz dopisać, że tego konia, który stoi u ciebie w sypialni na górze i ma rudą grzywę?

– Nie mam innego konia.

– Konie mają to do siebie, że mogą się rozmnożyć – wyszeptała. – Albo zmienić kolor grzywy. A ja nie chcę innego, tylko tego. Dopiszesz?

– Pewnie, Gabrysiu. – Wzięłam długopis i dopisałam wszelakie informacje, których domagała się dziewczynka.

– Kocham cię, Marysiu – powiedziała nagle i objęła mnie mocno. – I naprawdę ja tak szybko wcale nie chcę tego konia. Jestem cierpliwy człowiek i mogę poczekać nawet bardzo długo, choćby i pięć lat!

11. Tomek

Piotun (Artemisia absinthium) rośnie jako chwast w ogrodach, na polach i nieużytkach. Cała roślina wydziela silny zapach i ma bardzo ostry, gorzki smak. Świetnie się sprawdza jako skuteczny lek przy wszelkich niestrawnościach. Napar z piołunu jest również polecany przy problemach ze zgagą, wzdęciami lub uczuciem ciężkości w żołądku. Zawarte w roślinie związki wspomagają procesy oczyszczania wątroby oraz odprowadzania żółci z woreczka żółciowego do dwunastnicy. Mogą ponadto pobudzać apetyt i wspierać przemianę materii.

Piołun jest też cenionym środkiem w przypadku typowo kobiecych dolegliwości – z tego powodu jest nazywany zielem panieńskim. Używa się go przede wszystkim w celu uregulowania cykli menstruacyjnych. Olejek z piołunu zaaplikowany na klatkę piersiową ułatwia oddychanie i niweluje kaszel.

Legendy mówią, że piołun ma magiczne właściwości. Noszony w lnianym woreczku stanowi podobno barierę przed siłami nieczystymi. Służy między innymi do odpędzania złych duchów, stosowany był podczas odczyniania uroków i odstraszania rusalek. W mitologii słowiańskiej był wykorzystywany w obchodach świąt letniego przesilenia. Wrzucano go do ognisk w celu oczyszczenia energii. Poza tym zawieszano gałązki na domach, w oknach lub na płotach w celu ochrony przed schorzeniami, pasożytami i robactwem. Dodatkowo tak zawieszona roślina strzegła domostwo przed demonami, czarownicami i wszelkim złem.

Tomek jak na skrzydłach biegł do swojej przyjaciółki. Zakwalifikował się do międzyszkolnego etapu w dwóch konkursach. Tego dnia czekał go kolejny egzamin, potem jeszcze jeden, ale gdyby dostał się do czołówki, miałby wolny wstęp na dowolną uczelnię medyczną w kraju. Spełniłoby się jego ogromne marzenie, któremu pani Marysia bardzo kibicowała.

Ostatnie dni były dość nerwowe. Wciąż się uczył, by wypaść jak najlepiej, więc tylko na chwilę wpadał do staruszki. Wydawała mu się błada, co bardzo go niepokoiło. Ogarniał mieszkanie, wyrzucał śmieci, robił zakupy i zaraz musiał wracać do domu, żeby się do książek. Pani Maria go uspokajała, że wszystko jest w porządku i że da sobie radę. Nawet kilka chwil z nim pożartowała, przepytowała go z biologii, chociaż odniósł wrażenie, że nie ma zbyt wiele sił, by go słuchać. Jeszcze wczoraj z rana przyniósł jej rosół od mamy. Miał swoje klucze, z których korzystał, ale staruszka już nie spała.

- Ranny ptaszek z pani! - zawołał, gdy ją zobaczył siedzącą przy stole. - Śniadanko pani jadła?

- Jadłam. - Pokazała okruszki na talerzyku. - Wysypiesz ptaszkom?

- Pewnie. - Uśmiechnął się. - Niech też mają coś z życia. - Poszedł nakarmić ptaki, które wędrowały po ganku, jakby czekały na zamówiony w restauracji posiłek.

- A czemu pani już nie śpi?

- W pewnym wieku szkoda czasu na spanie. Nie odpisała? - zapytała po chwili. - Moja wnuczka?

- Nie. - Tomek pokręcił głową. - Mam ustawione powiadomienia. Gdyby to zrobiła, zobaczyłbym. - Na wszelki wypadek wyciągnął z kieszeni telefon i sprawdził jeszcze raz. - Nie, nic nie ma.

Pani Maria pogładziła dłonią kopertę, która leżała obok. Być może jeszcze coś tam dopisywała, tego nie wiedział. Nie pytał, co było w liście. Nie do niego był adresowany.

- Dzisiaj ważny dzień? - zapytała.

- Bardzo - przyznał. - Proszę trzymać kciuki.

- Będę z całych sił. Pamiętaj, że jesteś bardzo zdolny. I że musisz spełniać swoje marzenia.

- Będę. Obiecuję. Choćby nie wiem co. - Spojrzał na zegarek. Musiał już uciekać, bo kolejny autobus miałby dopiero za godzinę i spóźniłby się do szkoły. - Jutro przyjdę. Proszę pamiętać o rosole. Mama sama makaron robiła, a to ostatnio nieczęsto się zdarza!

Następnego dnia wieczorem, kiedy szedł do Marysi, spotkał Gabrysię.

- Mogę iść z tobą? - zapytała.

- Jasne.

- Mama znowu potrzebuje szalwii i kolejny raz kazała mi powiedzieć, że do zielnika. - Wzruszyła ramionami. - A przecież ja nie będę kłamać.

- No pewnie. - Uśmiechnął się. - Pani Maria z pewnością pozwoli, bym dał ci trochę ziół z ogródka. A może nawet na wiosnę zasadzimy u was kilka sadzonek?

- Nie.

- Dlaczego nie? - Zdziwiła go jej kategoryczna odpowiedź.

- Bo nie miałabym pretekstu, żeby tutaj przychodzić. - Roześmiała się. - Mama mówi, że łażę i głowę zawracam, a tak mówię, że po szalwię idę.

- No chyba że tak. Chodź zatem, będziemy wspólnie pani Marysi zawracać głowę.

Jak zawsze zadzwonił przy furtce. Nie otwierała. Podeszedł do drzwi wejściowych i zapukał trzy razy. Po drugiej stronie drzwi wciąż panowała cisza. Nieco go to zaniepokoiło.

- Może nie słyszy? - zapytała Gabrysia. - Jak ktoś jest stary, to już nie słyszy tak dobrze. Marysiuuu! - zawołała. - Marysiuuu!

- Poczekaj, mam klucze - powiedział cicho Tomek, pełen najgorszych przeczuć. - Wejdę pierwszy, OK?

– Pewnie. – Gabrysia wzruszyła ramionami.

Od razu skierował swoje kroki do kuchni, gdzie starsza pani zwykła spędzać najwięcej czasu. Nie było jej tam. Rozejrzał się wokół. Garnek z zupą stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawił. Pani Maria nic nie zjadła. Czyżby się źle czuła?

– Gabrysiu, pamiętasz, w którym miejscu w ogrodzie rośnie szałwia? – zapytał.

– Pamiętam.

– Pójdiesz sama sobie nazbierać? A ja sprawdzę na górze, czy pani Marysia śpi.

– Mogę sama nazbierać? – W oczach dziewczynki zobaczył ogromną radość.

– Tak. Tylko ostrożnie, po jednej gałązce. Nazbieraj duży bukiet. Pamiętasz, jak wygląda szałwia?

– Pewnie. Marysia nieraz mi ją pokazywała.

– To zmykaj.

Tomek otworzył drzwi na ganek, a Gabrysia szybko wybiegła do ogródka. Chłopak ze ściśniętym gardłem poszedł do sypialni gospodyni. Był tam tylko raz, kiedy starsza pani chorowała na grypę.

Najpierw zapukał cicho w przymknięte drzwi. Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, wszedł do środka.

– Marysiu... – szepnął. Uzmysłował sobie, że pierwszy raz zwrócił się do starszej pani po imieniu. – Wszystko w porządku?

Wystarczyło jednak, by podszedł bliżej i już wiedział, że nic nie było w porządku. Jego najlepsza przyjaciółka nie żyła. Wyglądała tak, jakby spała. Miała zamknięte oczy i leciutko się uśmiechała, jakby w tej ostatniej drodze spotkało ją coś bardzo miłego.

Nie miał pojęcia, co ma robić. Po raz pierwszy spotkał się ze śmiercią twarzą w twarz. Zbiegł na dół. Serce mu biło dużo szybciej niż zazwyczaj. Nie umiał złapać tchu. Poszedł do kuchni i napił się wody, po czym wyszukał w szafce herbatę na uspokojenie. Wstawił na gaz

czajnik. Przez okno widział, że Gabrysia zbierała zioła, podśpiewując sobie. Nie miał pojęcia, jak jej powie o tym, co się stało.

Wyciągnął telefon i zadzwonił po Wiktora, po czym usiadł w fotelu i zaczął płakać. Nawet nie zauważył, kiedy przybiegła dziewczynka. Spojrzała na niego i zatrzymała się w połowie drogi między nim a otwartymi drzwiami na ganek.

- Tomek, ty płaczesz? Co się stało?

Pokręcił tylko głową i nie odpowiedział.

Dziewczynka podeszła do niego powoli. Jej bródka się trzęsła, jakby miała zaraz miała się rozpląkać.

- Gabrysiu... Pani Marysia umarła - powiedział w końcu cicho.

- To niemożliwe! - zaczęła krzyczeć, ocierając łzy. - To niemożliwe!

- Tomek mocno ją przytulił. - Przecież mówiłam, że na tego konia mogę czekać nawet pięć lat!

Siedzieli razem w fotelu. Nastolatek i dziewczynka. Gabrysia chlipała, wtulona w bluzę Tomka, a on ją pocieszał. Nie wiedział, ile czasu minęło, widać całkiem sporo, bo nagle tuż przed nim stanął Wiktor. Ani Gabrysia, ani Tomek nie usłyszeli dźwięku otwieranych drzwi. Były ksiądz przyszedł z paniami bibliotekarkami. Tylko Haliny nie było. Tomek odetchnął z ulgą, że wreszcie ktoś mu pomoże i powie, co ma robić.

- Weź może Gabrysię i zaprowadź ją do domu - zasugerował spokojnie Wiktor.

- Ja nigdzie nie pójde - zaprotestowała stanowczo mała. - Ja tu zostanę.

- Możemy tu jeszcze trochę posiedzieć? - zapytał Tomek.

- To posiedzicie w kuchni. My się wszystkim zajmiemy. - Malwina pogłaskała chłopaka po policzku.

- Dziękuję.

Starał się nie słuchać tej całej krzątaniny, starał się być z boku, jakby zupełnie go to nie dotyczyło. Siedział w kuchni, ukrył twarz w dłoniach i oplakiwał stratę najlepszego przyjaciela.

– Pamiętasz, co zawsze robiła Marysia, jak mieliśmy gorszy dzień? – zapytała nagle jego towarzyszką niedoli.

– Naleśniki?

Gabrysia przytaknęła.

– Umiesz je robić?

– Tak.

– Usmażymy je razem? I pójdziemy po malinowe konfitury?

Tomek pokiwiał głową. Złapał Gabrysię za rękę i zeszli do piwnicy. Po jednej stronie były konfitury, a po drugiej mnóstwo nalewek i sporo butelek wina. Uśmiechnął się smutno. Przypomniał sobie ich rozmowę. Kiedy pytał starszą panią, jak poradzić sobie z jej odejściem: „Domowy wermut z piwniczki. Lepszy niż martini. Na pierwsze chwile żałoby na pewno pomoże... Ziołowe wino. Zrobiłam kilka lat temu na specjalne okazje i stoi. Myślę, że moja śmierć będzie wystarczająco specjalną okazją”.

Złapał dwa słoiczki z malinami i wrócili razem z Gabrysią do kuchni. Po kilkunastu minutach siedzieli przy stole, jedząc naleśniki z konfiturami, które własnoręcznie przygotowywała pani Marysia.

– Dziwne, że mimo wszystko te naleśniki smakują tak samo. Jakby nic się nie stało – westchnął Tomek.

– Lepiej ci trochę? – zapytała Gabriela.

– Nie bardzo. A tobie?

– Też nie. Nie to, że niedobre naleśniki robisz, ale...

– Ale to nie to samo – dokończył za nią Tomek.

– Właśnie – westchnęła dziewczynka.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi i hałas odjeżdżającego samochodu. W domu cisza stała się jakby... bardziej cicha. Po chwili do kuchni wszedł Wiktor.

- Mogę jednego? - zapytał, wskazując na naleśniki.

- Proszę się częstować. Pani Marysia nam je zawsze robiła, gdy mieliśmy zły nastrój.

- Poprawiały humor do potęgi enteji - przypomniała smutno Gabrysia. - Ale teraz coś nie działają.

- Chcecie o tym pogadać? - zapytał Wiktor.

Tomek pokręcił głową.

- Muszę odprowadzić Gabrysię do domu. Potem jeszcze tu przyjdę.

- Poczekam na ciebie.

- Dobrze. Zostań tu chwilę, Gabrysiu, zaraz po ciebie wrócę. - Po chwili Tomek wkroczył do kuchni, niosąc pod pachą konia na biegunach. - Teraz jest twój - powiedział.

- Myślałam, że będę się z niego bardziej cieszyć - westchnęła dziewczynka. - Miałam go dostać, ale dużo później.

- Jeszcze będziesz się nim cieszyć, zobaczysz - zapewnił Wiktor. - Będziesz myśleć o pani Marysi i wspominać najlepsze na świecie naleśniki z konfiturami.

- Najlepsze! Twoje były gorsze. Tylko troszeczkę. *Sorry*, Tomek.

Chłopak się uśmiechnął, ale oczy znowu mu się zaszkliły.

- Zaraz wrócę - powiedział do Wiktora i wyszedł z Gabryszą z domu, w którym przeżył tyle pięknych chwil, a który nigdy już nie będzie taki sam.

Wiktor patrzył w ślad za nimi. Chłopiec, który czuł się już pewnie dorosły, drobniutka dziewczynka i koń na biegunach trzymany pod pachą przez nastolatka. Zadziwiający kondukt żałobny.

Na stole leżał list, na którym czarnym flamastrem pani Maria napisała imię wnuczki. Powinien go dostarczyć jak najszybciej. Szkoda, że jego przyjaciółka nie zdążyła go dać osobiście. Nie wyszło. A może ona czuła,

że koniec jest bliski i dlatego tak usilnie starała się poukładać swoje myśli?

Po tych wszystkich wspólnie spędzonych chwilach czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za mieszkankę domu pod starym dębem, ale nie umiał załatwić tych spraw związanych ze śmiercią, nie chciał tego robić. Dlatego był szczęśliwy, że Wiktor, Balbina i Malwina zrobili to za niego.

Z zamyślenia wyrwał go głos Wiktora:

– Trzeba odnaleźć jej córkę.

– Jej córka nie żyje. Ma tylko wnuczkę. Znalazłem ją kiedyś na Facebooku.

– Trzeba dać jej znać o śmierci babci i pogrzebie.

– Napiszę. – Tomek pokiwał głową. – I o liście, który zostawiła dla niej. – Wskazał na białą kopertę.

Wyciągnął telefon, odnalazł na Facebooku Renatę i wystukał kilka słów:

Dzień dobry. Nie odczytała pani mojej poprzedniej wiadomości... Piszę, by panią poinformować, że pani babcia odeszła. Zmarła dzisiaj rano. Podobno może pani nawet nie wiedzieć, że ona niedawno wciąż jeszcze żyła... Mówiła mi o tym. Uważam jednak, że powinna pani wiedzieć. Mam dla pani list od pani Marysi. Prosiła, bym go pani przekazała w razie jej śmierci. Na początku myślała, że zdąży z panią porozmawiać. Nie zdążyła...

Wysłał wiadomość. Poprzednia wciąż nie była odczytana. Miał nadzieję, że mimo wszystko to kiedyś nastąpi.

– I co teraz?

– Życie toczy się dalej – odpowiedział były ksiądz.

– Pani Marysia kazała mi świętować swoją śmierć.

– Świętować? – Zdziwił się.

– Tak, wermutem, który ma w piwniczce. Powiedziała, że jej śmierć będzie wystarczająco dobrą okazją, by się upić. I że to pomoże mi przetrwać pierwsze chwile.

– Rozmawialiście o tym?

– Rozmawialiśmy o wszystkim.

– Rozumiem... Chodź.

Poszli obaj do piwniczki. Wiktor chwycił jedną butelkę, a Tomek drugą. Żaden z nich nie zauważył białej koperty z napisem TESTAMENT, wsuniętej między butelki.

Po chwili siedzieli w ogrodzie wśród ziół, patrzyli w gwiazdy i pili wino, każdy prosto ze swojej butelki. Żadnemu z nich nie dawało to frajdy, ale obaj czuli, że tak trzeba. Ten młodszy, bo chciał ukoić ból, a nie wiedział, co może mu pomóc, a ten starszy, bo czuł się odpowiedzialny za to, by ten młodszy nie zrobił nic głupiego.

„Wróćę później. Piję z Tomkiem od Jadźki” – Wiktor wysłał SMS do żony.

„Z Tomkiem? Przecież to gówniarz jeszcze!” – brzmiała odpowiedź.

„Dlatego nie chcę, by pił sam”.

Marta nic z tego nie zrozumiała, ale wierzyła w mądrość życiową swojego męża. Jeżeli pił z Tomkiem, widać miał ku temu powód. Poszła do dzieci. Spały już smacznie. Później na wszelki wypadek zadzwoniła do Jadwigi, uprzedzając, że Tomek jest pod opieką jej męża. Wiedziała już o śmierci Marysi, takie wieści rozchodzą się bardzo szybko. Podejrzewała, że spotkanie Tomka i jej męża ma z tym bezpośredni związek. „Czasem trzeba w ten sposób. Byleby nie za często. Dobrze, że Wiktor z nim tam został. Będzie bezpieczny” – pomyślała i poszła spać.

Tak, życie toczyło się dalej, choć niektórzy poznawali właśnie po raz pierwszy wytrawny smak wina i gorzki smak tęsknoty.

Pogrzeb pani Maria miała skromny. Jednak, jak to bywa w małych miasteczkach, zjawili się wszyscy mieszkańcy. Zaraz za trumną szedł

Tomek. Był jej najbliższy. Jego matka w ogóle tego nie rozumiała. Potem Laura z Adrianem i Gabrysią, trzy bibliotekarki, Anatol, aptekarz i piekarz, i wielu innych ludzi. Niektórzy przyjechali nawet z miasta obok. Stawili się wszyscy ci, którym kiedyś pomogły zioła Marysi.

Jan przygrywał na harmonijce żałobne pieśni, które wcale się Gabrysi nie podobały. Modlitwę odmówił Wiktor. Oczywiście przyjechał ksiądz z pobliskiego miasteczka, ale, jak należało się spodziewać, nikt go nie traktował poważnie.

Kiedy po pogrzebie wszyscy zaczęli się rozchodzić do domów, na ławeczce, którą Wiktor postawił tuż przy grobie, usiedli Gabrysia wraz z Tomkiem. Janek jeszcze poprawiał wiązanki. Najmłodszy przyjaciele zmarłej tego dnia rano upletli duży wianek z ziół. Wybierali te najładniejsze, ale też te, które Marysia najbardziej kochała.

– Janku, ja mam jeszcze jedną prośbę – powiedziała cicho dziewczynka.

– Tak, Gabrysiu?

– Bo mi się wydaje, że Marysi byłoby miło, gdybyśmy zaśpiewali jej ulubioną piosenkę. I gdybyś to zagrał.

– A wiesz, jaka była jej ulubiona piosenka?

Gabrysia ze smutkiem pokręciła głową.

– Nie.

– A ty, Tomek?

– Też nie. O muzyce akurat chyba nie rozmawialiśmy – westchnął.

– Ona musiała kochać piosenki o ziołach – podsunęła myśl Gabrysia.

Janek zaczął śpiewać:

Chwalcie łąki umajone,

Góry, doliny zielone.

Chwalcie, cieniste gaiki,

Źródła i kręte strumyki.

– Ładne to było, Janku. Ale ja tego nie znam. Za to znam inną taką o ziele.

– Jaka, Gabrysiu? – zapytał grajek, gotowy spełnić życzenie dziewczynki.

– O mój rozmarynie, rozwijaj się... O mój rozmarynie, rozwijaj się!

Tomek na wszelki wypadek nie przyznawał się, o jakich ziołach on zna piosenki. Twórczość Maty i innych współczesnych muzyków zdecydowanie nie nadawała się na uroczystość pogrzebową starszej pani, mimo iż jak najbardziej traktowała o ziołach i to nawet takich, które Marysia miała w ogródku.

Po chwili zatem nad Małą Przytulną, spowitą w żałobnej ciszy, rozległa się pieśń. Z okolicy cmentarza można było usłyszeć donośny głos nastolatka, wysoki i piskliwy głosik dziewczynki i akompaniującego im na harmonijce ustnej Janka.

*O mój rozmarynie, rozwijaj się,
o mój rozmarynie, rozwijaj się.
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej,
zapytam się.
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej
zapytam się...*

12. Renata

Jiaogulan (Gynostemma pentaphyllum) to pnąca bylina pochodząca z południowych krańców Chin, północnego Wietnamu, Korei Południowej i Japonii. Jiaogulan jest od wieków stosowany w tradycyjnej medycynie chińskiej. W swoim składzie zawiera wiele witamin i minerałów, jak: cynk, fosfor, magnez, mangan, potas, selen, wapń i żelazo. We współczesnej medycynie jiaogulan jest też nazywany pięciolistnym żeń-szeniem, mówi się, że ma podobne działanie, ale cztery razy mocniejsze.

Jego właściwości są wykorzystywane do poprawy dobrego samopoczucia. Jest przydatny również w przypadku cukrzycy, wysokiego poziomu cholesterolu i regulacji wagi. Ludzkość zna jiaogulan od ponad sześciuset lat. W Chinach mówi się, że wśród osób go używających większość osiąga wiek ponad stu lat.

Renata lubiła jeździć samochodem. Odprężyła ją to. Włączała sobie głośno muzykę i śpiewała z całych sił. Gdy prowadziła, była zwykle bardzo kreatywna. Wiele pomysłów biznesowych urodziło się właśnie podczas dalekich podróży autem. Obmyślała strategie marketingowe, kreowała nowe produkty, odbywała mnóstwo rozmów telefonicznych, bo wtedy tak naprawdę miała czas.

Zwykle jednak wiedziała, dokąd jedzie i co ją czeka. Kiedy wyruszyła do Małej Przytulnej, podróżowała w nieznaną, które przecież tak dobrze powinna znać. Wracła tam, skąd pochodziła. Każdy powinien wiedzieć, skąd wyrastają jego korzenie.

Nigdy dotąd nie podejmowała spontanicznych decyzji, ale teraz tak jej się życie ułożyło, że miała wrażenie, iż los sam zaczął za nią decydować o wszystkim. Rozwód, pożegnanie z firmą i poszukiwanie mieszkania – to były trzy ostatnie sprawy, na które miała wpływ. I nagle z nieba spadł jej domek po babci, w którym może się zatrzymać, przynajmniej na jakiś czas. Czowała, że w jej życiu wszystko się zmienia i jakiś dobry duch postanawia się nią nieco zaopiekować. Jeszcze nie miała zdania, czy jest z tego powodu zadowolona, ale chyba zaczęła z dziwną dla siebie ufnością spoglądać w przyszłość.

To ona zawsze była opoką dla wszystkich. Takim stabilnym filarem, który nie miał prawa runąć. I do pewnego momentu tak właśnie było. Niestety zdarzenia ostatnich miesięcy mocno nadszarpaneły jej zdrowie psychiczne. Po raz pierwszy w życiu nie umiała sobie sama poradzić, a przecież do tej pory nie miała z tym problemu nawet w mocno kryzysowych sytuacjach!

Zaczęła zajadać smutki. Nie trzeba było długo czekać na negatywne efekty nocnych wycieczek do lodówki. Nie musiała już jednak wciskać się w garsonki czy starannie wyprasowane garnitury. Wybierała dresy i luźne sukienki. Przecież coraz rzadziej chodziła do pracy. Nie była już tam w zasadzie potrzebna. W ogóle nie czuła się potrzebna nikomu. A dotąd była przekonana o tym, że jest niezastąpiona. Niezastąpiona jako matka, szefowa i żona. Po kolei te wszystkie trzy role znikwały z jej życia. Najpierw sytuacja z córką, potem okazało się, że firmę też można inaczej poprowadzić, a następnie Łukasz, małżeńska nuda, koszule pachnące damskimi perfumami i w końcu rozwód.

Zaskakujące było to, w jak krótkim czasie można było stracić wszystko, i to na dodatek na własne życzenie. Tak czy inaczej, od kilku miesięcy Renata czuła, że dzieje się z nią coś złego. Kładła to na karb zmęczenia, a nawet starości.

– Może powinnaś się więcej ruszać? – zapytał ją któregoś dnia Łukasz, gdy wrócił ze squasha.

– Pewnie tak – zgodziła się.

Kupiła sobie strój do biegania, świetną i bardzo drogą matę do jogi, odpowiedni zestaw hantli i hula-hoop z wypustkami, reklamowane przez celebrytki. Niektórych z tych rzeczy nawet nie rozpakowała, a potem kartony z tym wszystkim Łukasz wyniósł do piwnicy. Kilka z nich miało jeszcze naklejoną etykietę adresową.

Ten słomiany zapach wpędzał ją w jeszcze większe poczucie winy. Była nawet u psychiatry. Stwierdził, że z lekami można trochę poczekać i zalecił jej, aby zwolniła. Przecież ona właśnie zwolniła i dlatego była w takim stanie! Kiedy pędziła przez życie, była szczęśliwa i wszystko przebiegało dokładnie tak, jak sobie to zaplanowała!

Kupiła więc mnóstwo książek. O jodze, medytacji, shinrin-yoku i o tym, jak w poprawie samopoczucia pomaga bliskość natury i słuchanie siebie. Nawet do nich nie zajrzała. Leżały na stoliku nocnym, czekając na lepsze czasy. Kiedy one miały nadejść? Nie wiedziała.

Ktoś polecił jej psychoterapeutkę. Stwierdziła, że pójdzie. Była raz. Nie chciała jej o pewnych sprawach mówić. Bo i po co obcym ludziom opowiadać o wszystkim? A taka terapia, gdy się coś ukrywa, chyba nie miała wiele sensu. Oczywiście terapeutka próbowała z nią rozmawiać o życiu rodzinnym. Pytała o córkę, męża, ich relacje. Renata nie miała pojęcia, cóż miałyby powiedzieć. Przecież ten temat zdawał się jedną wielką porażką, a ona nigdy nie mówiła o swoich niepowodzeniach. Nie przyznawała się do swoich słabości, zawsze osiągała sukcesy. Była pewna, że ludzie lubią ją tylko ze względu na nie. Może właśnie dlatego, gdy poczuła, że ich nie osiąga, zdecydowała się wyjechać gdzieś, gdzie nie znała nikogo? Do domu, w którym była kiedyś jako mała dziewczynka, a potem nigdy nie wracała, bo nawet nie miała pojęcia, że do niedawna wciąż jeszcze miała babcię?

Kiedyś nawet próbowała rozmawiać z mamą na temat rodziny i swoich przodków. Mama ucinała jednak szybko każdą rozmowę. Renata założyła, że wspomnienia dotyczące babci muszą być smutne i mama nie chce do nich wracać. Była wręcz przekonana, że babcia

zmarła, i potem już nawet o nią nie pytała, by nie rozdrapywać starych ran. A może nawet mama kiedyś jej powiedziała, że nie mają nikogo na tym świecie? Być może tak właśnie było. Renata tego nie pamiętała, a od kilku lat swojej mamy nie mogła już o to zapytać.

Nigdy nie jeździły do krewnych, święta spędzały we własnym gronie albo z nielicznymi przyjaciółmi. Nie było nawet mowy o żadnej rodzinie. Owszem, wiadomo było, że mama urodziła się gdzieś na wsi, że babcia zajmowała się ziołolecznictwem, ale nic poza tym. Kiedyś w szkole Renata robiła drzewo genealogiczne. Od mamy z trudnością wyszarpała informacje na temat przodków z jej linii, o ojcu zupełnie niczego się nie dowiedziała. Poza imieniem. Było jej strasznie wstyd. Wtedy chyba po raz pierwszy i ostatni w życiu poszła na wagary. A przecież to nie jej powinno być wstyd, tylko ojcu, który przestał się do niej przyznawać. Jego też pamiętała jak przez mgłę. Dziadków od jego strony w ogóle nie znała. O nich mama też nie chciała mówić.

Kiedy tak jechała samochodem w stronę miejsca, gdzie mogła wreszcie poznać swoje korzenie, miała czas na zastanowienie się nad tym wszystkim. Zbyt dużo tajemnic zdawało się być wokół niej. Tylko czy to były rodzinne sekrety, czy po prostu pewne sprawy zamiecione pod dywan?

Powracała do niej jedna myśl, niczym natrętna mucha... Od jakiegoś czasu nie widziała się z Zosią. Córka wcale się z nią nie kontaktowała. Czy gdyby teraz jej córka zaszła w ciążę, też by o tym nie wiedziała? Mogłoby się tak stać...

Wybrała numer Łukasza.

– Słuchaj, a gdyby Zosia była w ciąży, powiedziałbyś mi, prawda? – zapytała z nadzieją.

– A co się stało, że nagle znowu interesuje cię nasza córka? – Zdziwił się.

– No tak tylko pytam – burknęła Renata.

– Zadzwoń do niej i ją o to zapytaj.

- To ona przestała się odzywać, więc niech ona pierwsza dzwoni. Ja jej nic złego nie zrobiłam.

- Przypominam, że ona tobie również nie.

- Nie? - Zdenerwowała się momentalnie. - Tylko się prowadzi z jakimś staruchem!

- No dobrze, a jaki to ma wpływ na ciebie?

- No chyba żartujesz?! Na nią ma. Młodość sobie zmarnuje.

- Przypominam ci, że to jej życie. I jej decyzje, które musimy uszanować.

- Łukasz, to jest nasza córka! Mówisz o tym, co się dzieje, w taki sposób, jakby ciebie w ogóle ona nie interesowała!

- Zainteresowanie dzieckiem nie polega na tym, że się neguje jego życiowe wybory.

- Oj tam, zaraz życiowe wybory. Czy ty naprawdę myślisz, że ten facet będzie jej partnerem na całe życie?

- Tego, Renata, nie wiemy - powiedział spokojnie Łukasz.

- Czyli nie powiedziałbyś mi?

- Naprawdę powinnaś zmienić swój sposób myślenia.

- Niech ona zmieni partnera. Życiowego - dodała z przekąsem, po czym się rozłączyła.

Nie tak miała wyglądać ta rozmowa. Renata zaczynała odnosić wrażenie, że w jej rodzinie utworzyły się jakieś dwa wrogie sobie obozy - ona kontra mąż i córka. I ten stary facet, Piotr.

Jadąc dalej, starała się nie myśleć o tej całej sytuacji, niemniej jednak nie była głupia i widziała pewną analogię zdarzeń - kiedyś jej matka nie utrzymywała wcale kontaktów ze swoją matką, a teraz jej córka odsunęła się od niej. Może też poszło o jej ojca? Naprawdę powinna przestać o tym wszystkim myśleć, tylko jak? Psychiatra nie pomógł, psycholog nie pomógł. A raczej nie dała mu na to szansy...

Wyjeżdżając, w ostatnim momencie spakowała książki leżące koło łóżka. O lesie, drzewach, zdrowym życiu i naturze. Będzie miała bardzo dużo czasu, by je przeczytać. Bo co robić w takim miasteczku? Nie miała zamiaru się tam osiedlać. Zdecydowanie wolała duże miasto, jednak czuła, że pobyt tam przez kilka tygodni albo miesięcy z pewnością będzie miał na nią dobry wpływ. W wielu komediach romantycznych bohaterka odmienia swoje życie, jadąc na wieś. Spotyka mężczyznę marzeń i żyją długo i szczęśliwie. Nie była naiwna, wiedziała, że życie nie do końca musi tak wyglądać. Na mężczyzn już nie miała siły. Ani ochoty.

Kiedy dojeżdżała do miejscowości tuż przed Małą Przytulną, zadzwoniła do chłopaka, który powiadomił ją o śmierci jej babci. Nie rozmawiała z nim zbyt długo, powiedziała, że gdy przyjedzie, będzie na to czas. Przez te wszystkie lata pracy tyle się narozmawiała przez telefon, że najchętniej wyrzuciłaby go w jakiś kąt. I wcale nie używała.

– Dzień dobry, Renata Żbik-Górska. – Po rozwodzie nie zrezygnowała z nazwiska męża, była do niego przyzwyczajona.

– Dzień dobry.

– GPS wskazuje, że za dwadzieścia minut będę na miejscu.

– A zgarnęłaby mnie pani z miasta? Właśnie skończyłem lekcje.

– Oczywiście. Gdzie mam być?

– Jak pani będzie jechała główną drogą, za takim dużym budowlanym sklepem jest przystanek. Będę tam czekał.

– Dobrze.

Czuła się, jakby umawiała się na randkę w ciemno. Albo więcej, życie w ciemno. Bo naprawdę nie wiedziała, dokąd jedzie, a co gorsza – po co. Nie miała pojęcia, co tam zastanie. Nie potrafiła powiedzieć, kim była jej babcia i w jakich warunkach mieszkała. Na wszelki wypadek sprawdziła hotele w okolicy, gdyby dom nie nadawał się do tego, by tam się zatrzymać. Miała jednak nadzieję, że tak nie będzie.

Powinna wiedzieć, jak mieszkała jej babcia... Powinna się z nią spotykać, jeździć do niej na wakacje. Jej córka powinna przecież

wiedzieć, skąd pochodzi jej rodzina.

Renatę znowu zaniepokoiły własne myśli. Ona też nie miała ostatnio kontaktu z córką. Czy jeżeli Zosia będzie miała dziecko, to też nie będzie znała babci? I czy ją też czeka śmierć w zupełnym zapomnieniu?

Łukasz zawsze mówił, że nie była sentymentalna. Teraz chyba zaczęła się taka robić. Może to przychodzi z wiekiem? A może kiedy człowiek wreszcie ma czas zastanowić się nad sobą, a nie tylko nad pracą i obowiązkami, więcej o tym wszystkim myśli? Może kiedy jest starszy, bardziej się interesuje tymi, którzy dali mu życie?

Trudne to były myśli. Nigdy wcześniej takich nie miała. Nie rozpamiętywała przeszłości, a przyszłość układała sobie jedynie w sferze biznesu. Odpoczynku zupełnie nie umiała planować, a co więcej, wydawało jej się, że wcale tego nie potrzebuje. Czasem wprawdzie latali na wakacje, ale przeważnie w jakiś sposób było to połączone ze spotkaniami w interesach. Takie urlopy przy okazji. Urlopy, na które musiała zabrać garsonkę i szpilki.

Minęła znak z nazwą miejscowości i zaczęła się rozglądać. Faktycznie, po prawej stronie był ogromny sklep z materiałami budowlanymi, a zaraz za nim przystanek autobusowy, gdzie czekał wysoki młody mężczyzna w czerwonej czapce, granatowej kurtce i z plecakiem przewieszonym przez ramię. Renata zatrzymała się tuż obok niego.

– Pan Tomek? – zapytała.

– Tak, Tomek. Po prostu Tomek. – Uśmiechnął się, podając jej rękę na przywitanie.

Zdjął czapkę i potrząsnął bujnymi włosami. Na grzywce miał śnieg.

– Renata. – Kobieta odwzajemniła uścisk.

– Fajnie, że mnie pani zgarnęła, bo autobus miałbym dopiero za godzinę, musiałyby pani czekać.

– Renata. Bez pani.

– OK, miło mi poznać. Klucz mam przy sobie. Czasem... czasem chodziłem się tam uczyć, a czasem po prostu posiedzieć.

- Była ci bliska? Moja babcia? - Te słowa wydawały się dziwne w jej ustach.

- Bardzo - przyznał. - Właściwie w ostatnich latach była najbliższą mi osobą. - Zamyślił się. - Chyba jedyną, która wierzyła w to, że zrealizuję swoje marzenia.

- A teraz?

- Teraz to sam muszę w nie uwierzyć. - Roześmiał się. - Nie zmieniałem nic w domu po... po tym, jak odeszła. Tylko lodówkę opróżniłem, by się nic nie popsulo. I ogród jesienią trochę uporządkowałem, a przed zimą okryłem niektóre rośliny.

- Jest tam ogród?

- Jest. - Oczy Tomka się rozpromieniły. - Piękny ogród. Nie przesadzę, jak powiem, że tam rośnie wszystko.

- Kwiaty?

- Kwiaty też, ale głównie zioła. Marysia doskonale się na nich znała. Gdy cokolwiek mi dolegało, zawsze znalazła na to remedium.

- Mama mi coś mówiła, że była zielarką...

- Tak jak jej mama i babcia. Zostawiła zeszyty pełne przepisów, a także gotowe suszone mieszanki ziół. A w piwniczce ziołowe wina, jak to nazywała. I trochę słoików z konfiturami. Gdybyś mi pozwoliła, z przyjemnością wziąłbym sobie jeszcze jeden słoik.

- Oczywiście - powiedziała Renata. - Mogłeś przecież zabrać, co chcesz. Ja i tak nie wiem, co tam wcześniej było.

- No jak to, przecież to nie moje! - obruszył się Tomek. - Chociaż... kiedyś chciałem coś zabrać z jej ogrodu... Ale to może opowiem przy innej okazji, bo zaraz będziemy na miejscu.

Renata zobaczyła znak z napisem „Mała Przytulna”. Jechali chwilę w milczeniu. Minęli aptekę, bar mleczny, który pod szyldem „Bar Mleczny Jadźka” miał drugi - „Restauracja”, oraz bibliotekę, przed którą stały trzy zamasyżycie gestykulujące i rozprawiające o czymś staruszki. Dalej była brama do parku, przy której starszy mężczyzna grał na

harmonijce. Renata otworzyła okno i usłyszała kolędę. Uśmiechnęła się. Wszystkie domy były przyprószone śniegiem, a przed jednym z nich, na rozstaju dróg, rosła choinka obwieszona kolorowymi światełkami.

– To perfumeria – powiedział Tomek. – Powinnaś tam pójść. Tam się dzieje magia. Zresztą myślę, że będziesz się tutaj u nas dobrze czuć. To przyjazne miejsce, chociaż niektórzy mieszkańcy są ogromnie charakterni.

Renata od razu poczuła, że to miasteczko jest niezwykle. Nie wiedziała jeszcze dlaczego, ale przebiegł ją dreszcz zwiastujący jakąś nową przygodę. Czy wspaniała? To się dopiero miało okazać.

Zatrzymali się przed niewielkim białym domem okolonym żeliwnym, z lekka zardzewiałym i obrośniętym bluszczem płotem. Renata zaparkowała wzdłuż drogi. Tomek wyskoczył szybko z samochodu, przez chwilę mocował się ze starym zamkiem, a potem otworzył furtkę i wziął do jednej ręki walizkę, a do drugiej transporter z kotem, który najwyraźniej odczuwał potrzebę wolności.

– Przyjdę i go naoliwię. Będzie się pani łatwiej otwierało. To znaczy tobie – poprawił się.

Puścił Renatę przodem. Wzdłuż kamiennej dróżki pod całkiem grubą warstwą śniegu widać było jakieś rośliny. Niektóre zostały okryte przez Tomka, by nie zmarzły, inne z utęsknieniem wyglądały roztopów.

– Wiosną jest tu pięknie. Teraz wszystko przykryte puchem, choć ja najmniej lubię jesienny ogród, jest taki smutny.

Poprowadził ją do drzwi domu. Wyciągnął drugie klucze i otworzył kolejny przedpotopowy zamek. Gestem zaprosił Renatę do środka.

– Albo może ja wejść pierwszy, włączę korki. W przedpokoju nie ma okien i jest ciemno. Nie pomyślałem, mogłem ci tu nagrzać. Ale są kaloryfery, a zaraz przyniosę drewno, to i w kominku można napalić.

Faktycznie w korytarzu panował mrok i chwilę zajęło, zanim Tomek uporał się z korkami. Gdy zabłysło światło, zauważyła schludny

niewielki przedpokój ze ścianami obitymi boazerią. Tak jak się to robiło czterdzieści, a może i pięćdziesiąt lat temu. Na ścianach wisiały obrazki, a w zasadzie ususzone zioła, schowane za szybkami w drewnianych ramkach. Na podłodze leżał dywanik, który wyglądał, jakby go ktoś ręcznie utkał.

- W kuchni jest koza - powiedział chłopak. - Taki piecyk. Bo inną kozę za płotem ma pan Ksawery. Marysia w kuchni spędzała najwięcej czasu, więc tam było najcieplej. Tuż nad kuchnią jest jej sypialnia, więc jak grzała tutaj, tam też było ciepło.

Renata weszła do kuchni. Otworzyła drzwiczki kocięgo transportera, ale Brahmi wystawiła tylko głowę, jakby przyczajona zastanawiała się, czy nie będzie bezpieczniej jednak jeszcze chwilę tam pozostać. Renata wzięła ją na ręce i obeszała pomieszczenie wokół. Uśmiechnęła się. Nie lubiła nigdy tego rodzaju wnętrza, ale tu ku swojemu zaskoczeniu poczuła się całkiem swojsko. Drewniane meble, szydełkowe serwetki, słóiczki pełne przypraw i ziół... Jej wzrok powędrował nad stół.

- O Boże, to ja? - Spojrzała zdziwiona na Tomka, gdy zobaczyła swoją podobiznę w ramce, wiszącą na ścianie.

- Tak. Wydrukowałem to zdjęcie, gdy znalazłam cię na Facebooku. Maria powiedziała mi potem, że to najlepszy prezent, jaki dostała kiedykolwiek w życiu.

Renata podeszła bliżej ściany i spojrzała na pozostałe obrazki. Lekko dotknęła palcem, ścierając kurz z ramki.

- Nie pamiętam tych wywiadów. - Pokręciła głową. - Chociaż... pamiętam to zdjęcie. - Uśmiechnęła się. - Nie wiedziałam nawet, że mam babcię - powiedziała, patrząc na Tomka. - To znaczy pamiętam jak przez mgłę, że tu byłam, ale potem przestałyśmy tu przyjeżdżać i byłam pewna, że już dawno odeszła...

W tym momencie zadzwonił telefon Renaty. Szybko odnalazła go w torebce.

- To ja się będę zbierał - powiedział Tomek. - Gdybyś czegoś potrzebowała...

Renata pokiwała głową i odebrała połączenie. Tomek pomachał jej na pożegnanie i wyszedł z domu. Dopiero przy furtce przypomniał sobie o liście, który jego przyjaciółka napisała do wnuczki. Cały czas trzymał go w ręku, ale nie chciał już wracać i przeszkadzać swojej nowej znajomej w rozmowie, wsunął więc kopertę do skrzynki pocztowej. Z pewnością lada chwila nowa lokatorka tam zajrzy, więc przesyłka do niej dotrze. Nawet był zadowolony, że odbędzie się to w ten sposób. Będzie to taki list z zaświatów. Jak w bajce.

Renata ku swojemu zaskoczeniu dość szybko zaaklimatyzowała się w nowym miejscu. Podobnie Brahmi była zadowolona, że ma Renatę na wyłączność i to przez cały dzień. Na początku brakowało jej trochę wielkomiejskiego świata, ale założyła telewizję i Internet, kupowała kilka niezbędnych gadżetów i stwierdziła, że faktycznie nadszedł czas, by zwolnić i nieco odpocząć.

Święta spędziła zupełnie sama. W wigilijny wieczór poszła na spacer i tuż przed domem na rozstaju dróg zobaczyła dziewczynkę stojącą pod choinką z milionem świecących się lampek.

– Wesołych świąt! – radośnie zawołała mała.

– Wesołych świąt.

– Powiedziała to pani takim tonem, jakby nie były dla pani wesołe – stwierdziło rezolutnie dziecko. – Jestem Gabrysia. A pani?

– Renata.

– Trochę nie podoba mi się to imię. – Zmarszczyła brwi. – Takie jest bardzo... surowe. Jak to się zdrabnia?

– Renia. – Uśmiechnęła się, bo zawsze nade wszystko ceniła szczerłość.

– Od razu lepiej. Nazywasz się dokładnie tak samo, jak wnuczka Marysi. Ona też miała Renię.

– Bo ja jestem wnuczką Marysi.

– Ty jesteś wnuczką Marysi? – Oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe jak pięć złotych. Nim się Renata spostrzegła, objęła ją z całych sił. – Kochałam Marysię. Myślę, że ciebie też pokocham. W końcu płynie w was ta sama krew, to nie możesz na przykład być złym człowiekiem.

– Chy... chyba nie – zająknęła się Renata.

– Tak też myślałam. Masz takie same oczy jak Marysia. Jak chcesz, mogę z tobą ją odwiedzić na cmentarzu. Bo wiesz, pochowali ją na cmentarzu. Ja tam sobie myślę, że Marysia wołałaby, żeby jej prochy zostały rozsypane wśród ziół – westchnęła. – Próbowałam to nawet powiedzieć Wiktorowi, ale on nie chciał o tym słyszeć. Chociaż nie jest już księdzem, ale widocznie zostało mu coś z dawnych czasów. To chyba nie tak łatwo nagle przestać być księdzem.

– Rozumiem – powiedziała Renata, mimo iż rozumiała niewiele.

– No i normalnie ją pochowali w ziemi. Tak jakoś smutno – kontynuowała Gabrysia. – Dopiero przestało być smutno, gdy Janek zaśpiewał o łąkach, a my o rozmarynie. A w ogóle Tomek posadził na jej grobie same ziola. Razem wykopywaliśmy je z ogródka i przesadzaliśmy. Malwina i Balbina mówią, że to najbrzydszy grób na świecie, a przynajmniej na naszym cmentarzu, bo wygląda, jakby tam same chwasty rosły. Ale my z Tomkiem wiemy, jak jest naprawdę. Jest najpiękniej, jak może być. O matko, ty w ogóle wiesz, kim jest Tomek?

– Tak, poznałam go, gdy tu przyjechałam.

– No to dobrze. Muszę wracać, chciałam tylko z tatą pogadać w wigilijny wieczór.

– A gdzie jest twój tata? – zapytała Renata, rozglądając się wokół.

– Tutaj – szepnęła Gabrysia. – Mój tata chciał być świerkiem, więc posadziliśmy choinkę na jego prochach. Marzył o tym, by każdemu dawała radość. I wiesz co, Reniu? To chyba jedyna choinka na świecie, która świeci się przez cały rok. Tylko nie mów o tym nikomu, bo to nielegalne! Ale przecież skoro ty jesteś wnuczką Marysi, to nikomu nie wypaplasz, prawda? – Spojrzała na nią uważnie spod czapki.

– Prawda. Obiecuję.

- Gabrysiu! - rozległo się wołanie z domu. - Chodź do nas, bo zmarzniesz!

- Lecę. Do zobaczenia! Wiem, gdzie cię znaleźć, Reniu!

Dawno nikt jej tak nie nazywał. Pieszczotliwie i czule zarazem. Kiedyś tak na nią mówił Łukasz, ale było to już bardzo dawno temu. Potem zaczął się do niej zwracać „Rena”. Niby zdrobniale, ale dość ostro. Fajnie znowu być Renią...

Wróciła do domu. Nie przygotowywała dla siebie wieszki wigilijnej. Nigdy wcześniej nie była sama w święta. Zawsze spotykali się i spędzali te dni wspólnie. Gdy jeszcze byli rodziną... Tym razem było zupełnie inaczej. Nie miała choinki, wystarczyły jej udekorowane śniegiem świerki widoczne za oknem. Na stole postawiła podgrzany barszczyk z kartonu, kupne pierogi i śledzie w sosie musztardowym. To jej wystarczyło. Usiadła z Brahmi w fotelu, puściła sobie z telefonu kolędy. A potem, tuż przed północą, zaczęła przeglądać znalezione w szufladzie zeszyty z zielonymi okładkami. Ileż tam było życiowych mądrości!

Zawierały nie tylko receptury, nie było to też jedynie kompendium wiedzy o tym, jak żyć bliżej natury, ale kawałek historii spisanych przez jej babcię, prababcię i inne kobiety z poprzednich pokoleń. Kiedy dotykała pożółkłych kartek, myśląc, że przed nią trzymały je w rękach jej przodkinie, czuła dreszcze. A przecież nie była sentymentalna, przynajmniej do tej pory.

Tamtego wieczoru po raz pierwszy przytuliła się do ogromnego dębu, który rósł nad strumieniem. Zarówno dąb, jak i strumyk tuż za domem były dla niej ogromnym zaskoczeniem. Kiedy poczuła energię płynącą prosto z tego prastarego drzewa, które pamiętało tak wiele, łzy popłynęły z jej oczu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio płakała. Tamtego dnia poczuła, że to koniec starego, a początek nowego życia. Zupełnie innego życia. Takiego, do jakiego nie była przyzwyczajona.

Zima w Małej Przytulnej upłynęła dość szybko. Chociaż Renata starała się żyć zgodnie z filozofią „slow life”, o której to wreszcie przeczytała w jednej z przywiezionych ze sobą książek. Czytała o drzewach, naturze, oddechu. O zbawiennym wpływie zimna na organizm. Zaczęła najpierw moczyć nogi w lodowatym strumieniu, a potem cała się w nim zanurzała. Ku swojemu zaskoczeniu miała wrażenie, jakby coś się w niej dopiero budziło do życia. Dzięki materiałom udostępnianym w Internecie praktykowała jogę i medytowała. Robiła to, na co nigdy nie miała czasu. I z utęsknieniem czekała na wiosnę, która miała pokazać jej w pełnej krasie ogród, który знаła tylko z babcinych zapisków w zielonych zeszytach.

Po miesiącu, zakochana w zimnych kąpielach, zamówiła saunę, którą postawiła tuż nad brzegiem strumyka. Mogła z niej korzystać, by potem wskakiwać do lodowatej wody. Ogromną zwolenniczką sauny była również kotka, która gdy tylko poczuła, jak jest tam ciepło, wdrapywała się na dach i z ogromnym zainteresowaniem z bezpiecznego miejsca obserwowała harce swojej przyjaciółki.

Życie toczyło się dzień po dniu. Z rzadka wychodziła z domu, ale pewnego dnia Gabrysia przyprowadziła swoją mamę, Laurę, potem wraz z nią przysła Marta, żona byłego księdza, i Renata znalazła z nimi wspólny język. Razem praktykowały jogę, przytulały się do drzew, odprężyły w saunie i wskakiwały do zimnego strumienia. A potem pojawił się, zupełnie nie wiadomo skąd, Jan, który okazał się najlepszym kompanem do żartów, ogórkowych maseczek na twarz i ujędrniających okładów na ciało.

Renata kawałek po kawałku zrzucała swój pancerz niedostępności, odsłaniając wrażliwą duszę, której istnienia wcześniej nawet sama by nie podejrzewała. Jednak to jeszcze nie wystarczyło, by wykonać telefon do córki. Nie wystarczyło, by pozwolić jej żyć własnym życiem, a nie

życiem matki. Czy coś ją do tego mogło skłonić? Być może mógłby mieć na to wpływ pewien list, który cały czas tkwił w skrzynce na listy wiszącej na pokrytej rdzą furtce. Skrzynce, do której Renata jeszcze nie zajrzała.

13. Ksawery

Nasiężrzał pospolity (Ophioglossum vulgatum) podobno jest pierwowzorem legendy o kwiecie paproci. Porastał on od czerwca do sierpnia leśne polany. Nazywano go magicznym zieleń miłości lub małą paprocią. W Noc Kupały dziewczęta, chcąc rozkochać w sobie chłopców, poszukiwały różnych roślin o magicznych właściwościach. Aby zadziały w pełni, trzeba było zrywać je nago, a następnie nasmarować się właśnie nasiężrzałem. Wtedy podobno wzmagalo się w płci przeciwnej pociąg seksualny. Zrywając nasiężrzał, trzeba też było wypowiedzieć odpowiednie zaklęcie.

Podczas kiedy Renata nie miała innych marzeń, jak tylko to, by po prostu żyć sobie spokojnie, Halinka nie ustawała w swoistej krucjacie tępiącej wszystkie czarownice północnej Polski, w tym tę najgroźniejszą – Renatę.

Jan próbował z nią na ten temat rozmawiać, bo był przekonany o niewinności nowej mieszkanki Małej Przytulnej, ale staruszka była nieugięta. Oczywiście poza Laurą i Martą nikt nie miał bladego pojęcia, że zdołał całkiem nieźle poznać Renię, i tak miało pozostać.

Wiktor w jej kwestii również dorzucił swoje trzy grosze, nawet Marta poszła wraz z Laurą do biblioteki, by przekonać Halinę, że lokatorka domku pod starym dębem naprawdę nie stanowi żadnego zagrożenia, ale na nic się to zdało.

Uparta bibliotekarka pozamawiała z sąsiednich wypożyczalni literaturę tematu i codziennie wieczorem ją studiowała. W centralnym

miejscu na stole leżał traktat *Młot na czarownice*, którego Halinka najwyraźniej uczyła się na pamięć. Obok w równym rzędku stały przeróżne książki o egzorcyzmach. Halinka systematycznie w swoim starym kajecie zapisywała wszystkie wydarzenia związane z nowo przybyłą. Prowadziła swoistą kronikę pogodową (zapewne każda czarna chmura została sprowadzona przez jakąś kłątwe), społeczną oraz zdrowotną mieszkańców Małej Przytulnej. W miarę upływu czasu wszyscy się przyzwyczaili do jej nowego hobby, traktowali je z przyzwyczajeniem oka i powoli zdawali się o nim zapominać, bo – jak to w małym miasteczku bywa – inne sprawy wychodziły na pierwszy plan.

Nie znaczyło to, że nowa mieszkanka Małej Przytulnej nie intrygowała innych. Już nie tylko Halinka podglądała Renatę, ale robiło to również kilka innych osób – między innymi Ksawery. Teren wokół domu aptekarza graniczył z działką zielarni, więc wystarczyło zajrzeć tam przez oblużowaną deskę w płocie. Nikt przecież nie musiał wiedzieć, że gdy tylko usłyszał od Haliny na pamiętnym spotkaniu, iż jego sąsiadka kąpie się w stroju Ewy, postanowił zobaczyć to na własne oczy. Najpierw pomógł się tej desce w płocie nieco oblużować. Kopnął ją tak mocno, że potem musiał dwa dni do spuchniętej stopy przykładać zimne okłady. Ale pomogło. Deska wisiała na jednym gwoździu i Ksawery mógł ją już tylko lekko pchnąć, by mieć na oku wszystko, co się działo w sąsiednim domu. A działo się wiele!

Renata miała swoje rytuały i Ksawery również zaczął je praktykować. Codziennie rano, nim otworzył aptekę, w godzinach, gdy jego sąsiadka, kompletnie nieubrana, wchodziła do strumyka, on niczym przyczajony tygrys skradał się po cichu do płotu, odchyłał deskę i obserwował sąsiadkę pożądlivym wzrokiem.

Sam siebie nie rozumiał, gdyż Renata była od niego starsza o jakieś piętnaście, a może nawet więcej lat i kompletnie nie była w jego typie. Do tej pory podobały mu się drobne blondynki z niewielkim biustem, a Renata była ich przeciwieństwem. To, że go fascynowała, tłumaczył sobie prowadzeniem pewnego rodzaju badań naukowych. Uznał, że

codziennie będzie sprawdzał, czy nadal ta kobieta go – kolokwialnie mówiąc – kręci, czy już w końcu przestała. I będzie również pilnował, czy jej się krzywda nie stanie, bo przecież zgodnie z tym, co powtarzała mu jego matka, z kąpieli zimą korzystają tylko szaleńcy.

Zastanawiał się, czy kiedyś mu się to patrzenie znudzi. Bo ileż można?! Jak czas pokazywał – można. Długo można. Można patrzeć i patrzeć, ale ku swojemu zaskoczeniu wciąż miał ochotę na więcej – by dotknąć, pocałować, przytulić, a co najważniejsze – ogrzać to do cna zziębnięte ciało!

Aptekarz postawił więc sobie przy płocie małe krzeselko, na którym od rana zasiadał, oczekując na swoiste widowisko. Rozgrzeszał się z tego podglądactwa, tłumacząc sobie, że w okolicy nie było zbyt wiele imprez rozrywkowych i kulturalnych, a płasanie Renaty można przecież do takowych zaliczyć. W wielkim mieście takie nagie płasanie ma nawet swoją nazwę – burleska. Ale ta kobieta zza płotu wydawała mu się najbardziej nagą ze wszystkich kiedykolwiek widzianych rozebranych kobiet. I tego również nie rozumiał – jak to możliwe?

Ksawery zastanawiał się, czy wraz z nadejściem wiosny jego sąsiadka zrezygnuje ze swoich porannych rytuałów, jednak ona była konsekwentna jak żadna ze znanych mu do tej pory kobiet. Brak konsekwencji u tychże objawiał się głównie tym, że żadna nie mogła z nim wytrzymać dłużej niż kilka miesięcy, i kompletnie nie zdawał sobie sprawy dlaczego. Oczywiście brał pod uwagę to, że do tej pory całe serce oddawał medycynie i walory kobiece interesowały go nieco mniej. A może jeszcze po prostu nie trafił na tę jedyną?

Marzył o kobiecie, z którą mógłby wieczorami rozmawiać o wyższości penicylin nad cefalosporynami albo wspólnie pod mikroskopem oglądać mikroorganizmy pływające w kropli wody pobranej ze strumyczka. To by było fascynujące doświadczenie! Niestety, jeszcze takiej nie znalazł. Jedna z jego byłych na odchodnym

powiedziała mu nawet, że jest nudziarzem, a na dodatek zostawiła mu kożę, przez którą nic nie rośnie w jego ogrodzie, bo jak tylko stworzenie zauważyło zawiązki jakiegokolwiek roślinki, natychmiast je wyskubywało. Potem kolejna niewiasta porzuciła go właśnie ze względu na tę kożę... Otóż pewnego pięknego dnia zwierzę to zeżarło niewiastę torebkę marki Louis Vuitton. Dopiero potem do Ksawerego dotarło, że nie ta koza była najgorsza... I że to nie był główny powód rozstania. Najgorsze było to, że on własnymi rękami z odchodów tejże (kozy, nie niewiasty) wygrzebał charakterystyczny znaczek z literkami L oraz V i z radością wręczył ówczesnej partnerce. Myślał, że doceni jego wysiłek, ale jednak się przeliczył.

Właściwie z tymi kobietami miał same problemy. Kolejną wybrankę porzucił po tym, jak zrobiła gruntowny porządek w jego domu i wyrzuciła mu wszystkie hodowle pleśni, z których próbował (niestety, do tej pory bezskutecznie) wyizolować penicylinę. Od tamtej pory już z nikim się nie spotykał. Oczywiście, miewał jednodniowe albo wakacyjne przygody, ale uznał, że bez miłości to nie jest takie przyjemne. Cóż jednak z tego, skoro wszelkie próby stworzenia z kimś związku spaliły na panewce. Ksawery właściwie przyzwyczaił się już do myśli, że umrze w Małej Przytulnej jako kawaler do wzięcia. Chociaż zakładał, że jako siedemdziesięciolatek będzie miał problem ze znalezieniem amatek takiego starego kawalera. Na razie miał lat trzydzieści pięć i poza porankami, kiedy to cieszył wzrok, zaglądając przez plot do Renaty, poświęcał całe swoje zainteresowanie aptece, która od dawna była jego własnością.

Któregoś dnia przyszła do niego Renata. Prawdę mówiąc, pierwszy raz zobaczył ją ubraną. Nie wiedział, jak się ma zachować i gdzie podziąć wzrok. Taka odziana w zasadzie również mu się podobała, ale, o dziwo, wyglądała jeszcze bardziej nieprzyzwoicie niż wtedy, gdy była naga.

Pewnym krokiem weszła do apteki, otulona kolorową chustą.

- Dzień dobry, na gryzienia coś potrzebuję.

- Na ugryzienia? - zdziwił się. - Pani Marysia zawsze przykładała jakieś zioła.

- A więc pan wie, kim jestem. - Ucieszyła się.

- Oczywiście. Przecież jesteśmy sąsiadami.

- Sąsiadami? Ale...

- Apteka jest w innym miejscu, ale mam domek zaraz za pani płotem.

- A ja się właśnie zastanawiałam, kto tam mieszka! Czasem słychać dobiegające stamtąd hałasy.

- Hałasy? - Aptekarz lekko się zdenerwował. - To pewnie koza.

- Koza?

- Tak, mam kozę. - W życiu by tego tak nie wymyślił, że kiedy wreszcie będzie mógł porozmawiać z obiektem swoich westchnień, będzie to rozmowa o kozie.

- Uwielbiam kozi ser. - Uśmiechnęła się. - Ale wracając do tematu... Coś na ugryzienia pan ma? Nie jestem w ziołolecznictwie taka biegła jak babcia. Pomyślałam więc, że skłonię się w kierunku bardziej konwencjonalnej medycyny.

- Oczywiście, czy zmiany skórne są duże?

- No tak, pokazałabym panu, ale są w takim miejscu, że nie bardzo powinnam...

Ksawery już miał na końcu języka, że żadne miejsce na jej ciele nie jest mu obce, ale na szczęście powstrzymał się resztkami przyzwoitości.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się. - Podam coś, co z pewnością pani pomoże.

I zapewne pomogło, bo następnego dnia, gdy zasiadł do porannego rytuału, tym razem z lornetką w dłoni, nie zauważył żadnej, ale to żadnej zmiany skórnej na ciele swojej sąsiadki. Wszystko było idealne, jak zawsze.

Renata, zupełnie niczego się nie spodziewając, a tym bardziej zachwyty w oczach młodego sąsiada, coraz bardziej rozkwitała. Jej cera znacznie się polepszyła, zapewne dzięki serum na zmarszczki, na które znalazła przepis w jednym z zielonych zeszytów. Z tarczycą bajkalską, na soku z brzozy oraz pędach malin i porzeczek, z dodatkiem witaminy C, naprawdę czyniło cuda. Włosy jej urosły do ramion, a nigdy nie miała takich długich. Nie spinała ich ciasno, jak to miała w zwyczaju, tylko pozwalała czarnym lokom spadać swobodnie na plecy. Odkryła wcierki żywokostowe, które powodowały, że jej włosy były piękne jak nigdy. Zrezygnowała z farbowania. Może rzadziej patrzyła w lustro i przestało jej to przeszkadzać?

Wiedziała, że gdyby połączyć wiedzę z babcinych notatników z jej wiedzą na temat produkcji kosmetyków, mogłaby czynić cuda. Może nie na przemysłową skalę, ale może to powinna być jej nowa droga? W kremy, maści i naturalne szampony zaopatrzyła już Jana, Laurę i Martę, którzy, zachwyceni efektami, przychodzili do niej po kolejne buteleczki, gdy zapas im się skończył. Podejrzewała, że inni mieszkańcy miasteczka spoglądają na nią mniej przychylnym okiem, ale za płotem, w swojej oazie spokoju, czuła się odcięta od reszty świata i zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że stała się tematem często poruszanym na różnorodnych spotkaniach, oficjalnych i mniej oficjalnych, społeczności Małej Przytulnej.

Teraz do szczęścia wystarczało jej kilka osób, które regularnie ją odwiedzały i którym sprawiało przyjemność, że ją widzą. Z nich wszystkich najbardziej zaskakujący był Ksawery. Poznała go w aptece i od tamtej pory chyba nie było dnia, by nie rozmawiali. Nie rozumiała zupełnie, dlaczego ten młody człowiek tak do niej lgnie. O coś musiało mu chodzić, ale kompletnie nie wiedziała o co. Jako kobieta tuż przed pięćdziesiątką powinna znać już świat i mechanizmy nim rządzące, jednak w pewnych kwestiach była zupełnie niedoświadczona, a co gorsza – nieco zakompleksiona. Była pewna, że w niektórych aspektach życie już się dla niej skończyło. I o ile uważała swojego

pięćdziesięcioletniego byłego męża za mężczyznę w sile wieku, o tyle była przekonana, że ona, babka mocno już dojrzała, z dwudziestokilogramową nadwagą i włosami, które od pół roku nie widziały fryzjera, skazana jest na żywot samotny, w pełnej ascezie. Dlatego częstych wizyt sąsiedzkich aptekarza w żadnym wypadku nie utożsamiała z zainteresowaniem jej osobą, a już zupełnie z jej tak bardzo niedoskonałym ciałem.

Tymczasem aptekarz był jak najbardziej nim zafascynowany i zbierał się na odwagę, by w jakiś sposób przejść od myśli do słowa, a później do czynu. Renata, nieświadoma tego, witała Ksawerego coraz czulej, wszak miło było mieć w miasteczku bratnią duszę, na którą można liczyć w każdej sytuacji. I kompletnie, ale to kompletnie nie zdawała sobie sprawy, jaki te czułości wywierają wpływ na mężczyznę w kwiecie wieku, którym był bez wątpienia aptekarz z Małej Przytulnej.

14. Jadwiga

Serdecznik pospolity (Leonurus cardiaca) działa uspokajająco, łagodzi kołatania serca i arytmie oraz wzmacnia mięsień sercowy. Ziele serdecznika i preparaty z niego stosowane są najczęściej w chorobach układu nerwowego, w nerwicach sercowo-naczyniowych, a także przy nadciśnieniu i w bezsenności oraz jako lek rozkurczowy w zaburzeniach przewodzenia pokarmowego i przy bolesnym miesiączkowaniu.

Serdecznik posiada również właściwości przeciwbakteryjne, przeciwgrzybiczne, przeciwzapalne, ściągające i przeciwbiegunkowe, dlatego też jego roztwór w postaci okładów i przemywań zaleca się przy trudno gojących się ranach i oparzeniach.

Legenda mówi, że siedmioletni chiński cesarz usłyszał przepowiednię, iż nie osiągnie sędziwego wieku. Chciał znaleźć lekarstwo, które pomogłoby mu żyć jak najdłużej. Pewnego dnia na jego dwór przybył mądry starzec i przyniósł lodygę ziola, które rosło w ogrodzie cesarza. Chłopiec zaczął codziennie zażywać napar z serdecznika, dzięki temu przepowiednia się nie spełniła i dożył on późnej starości.

Jak już wspomnieliśmy, kruczata Halinki odnosiła skutek odwrotny do zamierzonego – mieszkańcy Małej Przytulnej byli nader ciekawscy i bardzo, ale to bardzo chcieli zobaczyć, czym nowa mieszkanka zalaża tak za skórę bibliotekarce. Uciekali się do różnych metod, jednak – jak to zwykle bywa – najprostsze metody były najskuteczniejsze...

- A może coś w tym jest, że ona zawarła pakt z diabłem? - powiedziała Malwinka zaraz po tym, jak wraz z Balbiną przestały podglądać Renatę przez dziurę w płocie. - Niedługo będzie trudniej, bo wszystko bluszczem zarośnie - dodała, wskazując na liście. - A jak te drzewa i krzewy w ogrodzie się zazielenią, to już w ogóle nic nie będzie widać.

- Ty już gadasz jak Halinka - westchnęła przyjaciółka.

- To Halinka coś mówiła o liściach?

- No nie o bluszczu mówię, tylko o pakcie z diabłem czy innym czortem.

- Bo to niemożliwe, by ona tak wyglądała. - Malwinka pokręciła głową. - Przecież już jest stara.

- Ile ona ma lat?

- Nie wiem, z pięćdziesiąt.

- To stara? Mogłaby być naszą córką, Malwino - powiedziała z wyższością Balbina.

- To nie znaczy, że nie jest stara. My jesteśmy... bardziej stare, a ona trochę mniej. Ale wciąż.

- Każdy będzie kiedyś stary - stwierdziła filozoficznie Balbina. - Tak jest skonstruowany ten świat.

- Ja to rozumiem, ale zobacz, niektórzy tak jakby wcześniej są starzy. A przynajmniej tak wyglądają.

- Na przykład?

- Na przykład nasza Halinka. Ona to chyba była stara od urodzenia. I raczej jej już nic nie pomoże. - Zamyśliła się. - Chociaż tak patrzę sobie na tę Renatę i wydaje mi się, że coś jednak mogłoby pomóc...

- Ale co? - zainteresowała się Balbina.

- Nie mam pojęcia. Tylko wydaje mi się, że kiedy ona do nas przyjechała, to wyglądała dużo gorzej.

- Klimat Małej Przytulnej jej służy.

- No nam trochę mniej. - Malwina się skrzywiła.

- Przypominam, że jesteśmy jakieś trzydzieści lat starsze.
- To nie znaczy, że nie możemy tak wyglądać.
- Myślisz, że to te lodowate kąpiele?
- Nie wiem, ale zima mija, więc jeżeli to te kąpiele, to powinniśmy szybko próbować, bo potem będzie już ciepło.
- Mówisz na poważnie?
- Ja zawsze mówię na poważnie. – Malwina wzruszyła ramionami.
- Ale tak na golasa do zimnej wody? – upewniła się.
- Bardziej cię przeraża, że na golasa czy że do zimnej?
- Nie wiem. Chyba że na golasa... – westchnęła Balbina.
- Myślę sobie, że to akurat nie jest złe. Bo w sumie się wstydzisz i chcesz jak najszybciej się zamoczyć w tej wodzie, by cię nie było widać.
- Ona wcale tak szybko się nie zamacza.
- Bo już wygląda tak pięknie, że nie musi się wstydzić – stwierdziła Malwina. – Zresztą nie podejrzewa, że ktoś ją ogląda.
- Gdybyś ty tak wyglądała, nie wstydziłabyś się?
- Pewnie, że nie! Wcale!
- I co, jak to by zmieniło twoje życie?
- Jeszcze nie wiem.
- To ja ci powiem, Malwino. Wcale. Nadal nie biegałabyś na golasa po miasteczku i nie pokazywałabyś swoich wdzięków. Dokładnie tak jak teraz.
- No może i racja – westchnęła. – Ale tak dla siebie... – Złapała się za serce. – Czułabym się zdecydowanie lepiej.

Gdyby Halina zdawała sobie sprawę z myśli koleżanek, natychmiast potraktowałaby je wodą święconą albo okadziła białą szalwią. Wszak przed demonem należało się zabezpieczać różnymi, czasami zupełnie ze sobą sprzecznymi metodami. Na szczęście żyła w błogiej

nieświadomości i mogła dalej zatapiać się w lekturze na temat pacyfikowania czarownic w Szkocji w osiemnastym wieku.

Od tygodnia próbowała zwołać zebranie mieszkańców, którzy mogliby być zainteresowani tym tematem, ale jakby wszyscy, z wyjątkiem Jadwigi, ją lekceważyli.

- Ja też uważam, że jest coś na rzeczy - powiedziała właścicielka baru.

- Bo? - zapytała Halinka, wyjmując swój notatnik. Oczywiście była w pełnej gotowości, by zapisać kolejny dowód na to, że w Małej Przytulnej bardzo źle się dzieje.

- Już ta Marysia mi się nie podobała. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że to ona mi syna podmieniła.

- Podmieniła? - zainteresowała się Halina. - Przecież Tomek to taki miły chłopak.

- Na zewnątrz może i miły, ale same z nim kłopoty.

Halina uzbroiła się w cierpliwość. Nie przerywała, by Jadwiga nie straciła wątku.

- Zaczęło się, kiedy zmarła. Widać duch jej został na ziemi i nakłonił naszego księdza...

- Byłego księdza.

- Byłego księdza... - poprawiła się Jadwiga. - Nakłonił go do tego, by się upił z moim synem.

- Z Tomczkiem? - Halina była zszokowana. - Przecież to takie dobre dziecko.

- No właśnie. Dobre dziecko to było dużo wcześniej. Nie chcesz, Halinko, wiedzieć, jak oni śpiewali, gdy wrócili do domu. Tomek z księdzem.

- Byłym.

- Byłym, ale wciąż zawianym... Teraz Tomek często nie wraca na noc do domu, a gdy się już pojawia nad ranem, to... tak nieświeżo pachnie.

- Śmierdzi? - zapytała wprost Halina, trzymając długopis nad zapisaną do połowy kartką.

- Ty to taka drobiazgowa jesteś - burknęła Jadwiga. - No ale fakt, po prostu śmierdzi. Nazwijmy to po imieniu.

- Ale jaki to ma związek z Renatą?

- Tego to nie wiem, ale skoro ona jest czarownicą, to może by mi naprawiła syna.

- Oj tam, Jadziu, nie wierz w takie rzeczy. - Halina pokręciła głową.

- A kiedyś to było takie dobre dziecko. Robił ze mną pierogi, pomagał... Na jego osiemnaste urodziny zamówiłam nawet taki neon...

- Neon?

- Tak, pomarańczowy. Napis AND SON.

Halinka nic z tego nie rozumiała.

- To znaczy „i syn” - wyjaśniła Jadwiga.

- No to akurat wiem - obruszyła się staruszka. - Ale gdzie niby ten neon miał wisieć?

- No jak to gdzie? Nad naszą restauracją! Wyobraziłam sobie, że jak tylko będzie się wjeżdżać do naszego miasteczka, z daleka będzie widać ogromny napis: „Bar Mleczny Jadźka AND SON”.

- Aha... - mruknęła niepewnie Halina.

- I co? Powiedział tylko: „Dzięki, mamuś”, a potem powiesił sobie ten neon nad drzwiami swojego pokoju. I teraz w nocy świeci i nie daje spać.

- A co on chce w życiu robić? Przecież to taki mądry dzieciak... Dużo czyta...

- I co, z tego czytania będą niby pieniądze? - prychnęła Jadwiga. - No proszę cię, Halinko. Za czytanie jeszcze nikt kasy nie dostał. Tu ma fach w rękę, wszystkiego go sama nauczyłam. Na to liceum się zgodziłam, bo do gastronomika musiałby jeździć za daleko. A on taki niewdzięczny!

- Ale chodzi do szkoły?

- Czasem chodzi, a czasem nie chodzi. Podejrzałam, że do jakiejś baby tak naprawdę tam lata.

- Do baby?

- A coś ty taka zdziwiona?

- Nie, nie, tylko tak opowiadasz, jakbym miała się dziwić.

- Nie dokończyłam, miałaś się dziwić trochę później – powiedziała poważnie Jadwiga.

- Dobrze – burknęła potulnie Halina.

- Lata do baby, siedzi u niej do późna, a raz czy dwa widziałam, że podwiozła go do domu samochodem tuż przed północą. Stara była!

- Jak ja?

- No nie, aż tak bardzo to nie. Taką starą to nawet mój syn by się nie zainteresował.

Halina w pierwszej chwili się zastanawiała, czy się nie obrazić, ale jednak przekalkulowała sobie, że straciłaby chyba jedynego sprzymierzeńca w Małej Przytulnej w tej trudnej walce o zwycięstwo nad mocami przekłętymi.

Jadwiga Nowicka prowadziła proste życie. Starła się robić swoje, najlepiej jak umiała, wychować syna na porządnego człowieka i nikomu nie wadzić. Od lat prowadziła bar, który lubiła nazywać restauracją. Nawet szyld taki zamówiła i powiesiła, ale z sentymentu nie umiała zdjąć poprzedniego. Kupowała produkty dobrej jakości, serwowała klientom ogromne porcje, tak by każdy się najadł i był zadowolony, a ją za to odpowiednio wynagrodził i jeszcze wielokrotnie do niej powrócił. Bar przejęła po mężu, który przedwcześnie odszedł z tego świata. Pogodziła się z tym szybko, na śmierć przecież nie miała wpływu.

Nigdy wcześniej nie planowała, że stanie się restauratorką – jak lubiła o sobie mówić – ale los szykował dla niej taką właśnie przyszłość. Nie miała innego pomysłu na życie, natomiast miała syna, którego trzeba było nakarmić, ubrać i wykształcić. Przynajmniej do pewnego

poziomu wykształcić, bo co za dużo, to niezdrowo. Była tego pewna. Uważała, że w życiu liczy się wyłącznie ciężka praca, a w szkołach i na jakichś studiach uczniowie tylko siedzą i zbijają baki. W dodatku za pieniądze z ciężkiej roboty ich rodziców.

Zarówno ona, jak i jej mąż byli prostymi ludźmi, szkół nie ukończyli, a udało im się szczęśliwie przejść przez życie. Oczywiście do czasu... Potem Maciej zmarł, a Jadwiga wiodła równie szczęśliwe życie w pojedynkę. Z drepczącym za nią Tomkiem.

Miała plan na kolejny dzień, tydzień, miesiąc, rok i do emerytury. Plany te zapisywała w zeszytach, numerując je na okładkach. Lubiła prowadzić restaurację, wydawało jej się to jedynym słusznym zajęciem, i dla syna również zaplanowała taką przyszłość. Dziwiła się, że zdawał się tym zupełnie niezainteresowany. Po szkole podstawowej wybrał liceum ogólnokształcące. Uznawała to za dziwną fanaberię, przecież powinien mieć konkretny zawód. To aż nie wypada, by chłopak nie pracował. A po tym liceum... No cóż, sama będzie go musiała wszystkiego nauczyć. Wielokrotnie rozmawiała z nim na ten temat. Owszem, gotował świetnie, ale nie planował z tym wiązać swojej przyszłości!

- Mamo, ja chciałbym zostać lekarzem - powiedział jej któregoś dnia.

- Lekarzem? Ale u nas w rodzinie nigdy nie było żadnego doktora! - Jadwiga nie mogłaby być bardziej zaskoczona. Słowa syna wydawały się jej bardziej abstrakcyjne niż gruszki na wierzbie.

- Tak, ale po liceum pójdę na medycynę.

- A kto będzie pracował ze mną?

- No nie wiem... - Tomek pokręcił głową. - Może kogoś zatrudnisz?

- W życiu obcym ludziom nie dam mieszać w moich garnkach! - obruszyła się.

Wydawało jej się to niedorzeczne. Jaki lekarz? Jaka medycyna? I te obce łapy w jej kuchni!

- A skąd niby będziesz miał na to pieniądze?

- Może jakoś damy radę? - zapytał niepewnie.

- Niby jak? Przecież to z dziesięć lat nauki! I potem co? Zresztą to trzeba mieć łeb na karku, by zostać lekarzem. Albo wręcz przeciwnie, bo uczą się tyle lat i potem niewiele z tego mają. Jakies stare gołe baby muszą oglądać czy dziadów, co gorsza.

- Chciałbym być chirurgiem.

- Chirurgiem? Ja ci jutro dam kuraka albo świnię do oporządzenia, to pobędziesz sobie chirurgiem.

Spojrzała z wyrzutem na syna. Nie zdziwiłoby jej nawet bardziej, gdyby powiedział, że chce zostać kosmonautą i polecieć na Księżyc. Przeprowadzili tę rozmowę, gdy Tomek był w pierwszej czy drugiej klasie liceum. Później jakby mu trochę przeszło, więc myślała, że zmądrzał i o tym zapomniał. Pomagał jej w kuchni, faktycznie mięso sprawiał doskonale, i chodził Marysi pomagać, ale wydawało jej się to nieszkodliwe. Do czasu, gdy umarła. Potem upił się z Wiktorem i od tego zaczęły się same niepowodzenia. Wracał coraz później do domu i prowadzał się z tą starą babą, lafiryndą jedną!

Pamiętała tę noc, gdy zobaczyła ich razem po raz pierwszy. Ta franca przywiozła go do domu i wysadziła pod samymi drzwiami. Jadwiga podglądała przez okno, schowana za firanką. Tomek wyglądał na bardzo zadowolonego. Jeszcze pomachał jej radośnie na pożegnanie. Nie całowali się chyba, ale pewnie zachowali resztkę rozumu i nie chcieli się afiszować pod jej oknami. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że ona jest taka stara. Miała ze trzydzieści lat, choć zza firanki nie było dokładnie widać.

Innym razem zauważyła, że Tomek nalewał jej płyn do spryskiwaczy. Jakby sama nie mogła! Przyjrzała się wtedy tej kobiecie. Wyglądała zupełnie normalnie, dlatego też zdziwiło Jadwigę wielce, co jej syn w niej widział.

Potem, gdy Tomek skończył osiemnaście lat, uznał, że już o nic nie musi pytać matki. Jedynie informował.

- Dziś nie wrócę na noc - powiedział ktośgoś dnia.

– Będziesz u niej? – zapytała Jadwiga.

– U niej? – Wydawał się zdezorientowany. Powinien zostać aktorem, a nie lekarzem.

– No u tej kobiety.

– Której?

– Nieważne! Każdy jest kowalem własnego losu – westchnęła Jadwiga. – Ja ci się w życiu nie wtrącam – dodała dobitnie.

Tomek wzruszył wtedy ramionami i wyszedł z domu. I faktycznie nie wrócił na noc. Jadwiga długo nie potrafiła zasnąć. Gdzie się podział jej mały synek?

Próbowała się czegoś dowiedzieć od jego kolegów, ale oni twierdzili, że nic nie wiedzą. Mówili, że nie spotykają się z nim tak często, bo wciąż się uczy i nie ma dla nich czasu. Akurat! Jadwiga go z książką nie widziała. W zasadzie rzadko go widywała, bo wciąż go nie było w domu!

Maciej nie byłby zadowolony. Widać, że nie było męskiej ręki w domu. On na takie ekscesy nigdy by nie pozwolił. A ona? Cóż miała robić? Mogła albo się modlić, albo szukać wsparcia w innych mocach. Oczywiście wolałaby pierwszą opcję, ale odkąd ksiądz opuścił mury kościoła, to miała mieszane uczucia, czy coś z tej modlitwy wyjdzie i wolała się, jak już wspominaliśmy, zabezpieczyć również na innych frontach.

Jadwiga żyła według utartych schematów. Nie lubiła zmian. Codziennie, niezależnie od dnia tygodnia, wstawiała o tej samej porze, a każdy poranek wyglądał identycznie. Otwierała szeroko okno, w tym czasie szła do łazienki, gdzie szorowała zęby, myła twarz lodowatą wodą i mydłem, a potem ją smarowała kremem Nivea. Podobnie jak dłonie i to, co według niej akurat wymagało smarowania. Później robiła krótką gimnastykę, zamykała okno, ścieliła łóżko, ubierała się i była gotowa do wyzwania nadchodzącego dnia. I bardzo nie lubiła, gdy jej ktoś ten rytuał psuł. A zdarzało się, iż robił to jej syn, który zjawiał się nad ranem.

W tygodniu w ogóle nie wracał, bo szedł od razu do szkoły, ale w weekendy czasem ta baba przywoziła go przed dom.

Z jednej strony, Jadwiga była zła, że prowadzi się z jakąś lafiryndą, ale z drugiej – matczyna troska brała górę i zastanawiała się, co to musi być za kobieta bez serca, że jej jedynakowi nie daje się wyspać, tylko o szóstej czy siódmej rano każe mu się zbierać do domu. No przecież i tak nie da się ukryć, że spędzali ze sobą noc, niechby chłopak przynajmniej później wypoczął. A on wysypiał się w domu.

Jadwiga nie chciała już nawet myśleć, czym on się zajmował w nocy. Miała tylko nadzieję, że się wyszumi i mu przejdzie. Naprawdę nie wątpiła w to, że to dobry chłopak, tylko chwilowo zboczył ze ścieżki prawego życia, ale z pomocą matki na pewno na tę ścieżkę wróci. A ta kobieta? Już ona się kiedyś z nią rozmówi. Niech no ją tylko spotka! Nie będzie jej jakaś podstarzała latawica synka bałamucić!

15. Renata

W ziołolecznictwie wykorzystuje się zarówno korzenie pokrzywy (Urtica dioica), jak i liście, które zawierają barwniki roślinne, witaminy, flawonoidy, a także znaczne ilości mikro- i makroelementów. Ekstrakt z korzenia znajduje zastosowanie w terapii łagodnego przerostu prostaty, pomaga zwalczać stany zapalne, ale także łupież. Zarówno liść pokrzywy, jak i korzeń stanowią częsty składnik mieszanek o działaniu przeciwcukrzycowym. Po preparaty na bazie liści pokrzywy chętnie sięgają osoby z obrzękami, dodatkowo wykazują łagodne działanie obniżające ciśnienie tętnicze krwi. Pokrzywa przyspiesza usuwanie mocznika z organizmu, dlatego polecana jest dla osób cierpiących na kamicy nerkową, ale także tych z problemami z trądzikiem, ze względu na działanie antybakteryjne.

Legenda dotycząca pokrzyw jest związana z postacią św. Ke vina z Glendalough, pustelnika z Irlandii. Mieszkał on samotnie w jamie nad jeziorem, ukryty przed wszystkimi. Kiedyś pewna piękna kobieta postanowiła go zbalamucić. Ke vin rzucił się w kępę pokrzyw i tarzał tak długo, aż ogień w jego wnętrzu został zduszony... Potem wrzucił w pokrzywy niewiastę, której również przeszła ochota na amory.

Renata wszystkiego się mogła spodziewać, ale nie odwiedzin dwóch starszerek popołudniową porą. Kończyła właśnie czytać kolejny zeszyt z notatkami swojej babci, siedząc leniwie z kotką Brahmi w fotelu, gdy

usłyszała dzwonek do drzwi. Przed furtką stały dwie starsze panie w kolorowych szydełkowych beretach.

– Dzień dobry – przywitała je.

– Dzień dobry – odpowiedziały niemalże jednocześnie. Każda z nich trzymała dość sporą torbę.

Renata zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co obie panie do niej sprowadza, jednak zupełnie nie miała pomysłu, co mogłoby to być.

– Możemy zająć chwilę? – zapytała niepewnie Malwina.

– Absolutnie chwilę – potwierdziła Balbina. – Przynajmniej dzisiaj, bo innym razem to może dłużej.

– Ależ proszę. – Zaprosiła gości do środka. Prawdę mówiąc, była nieco zaintrygowana tą wizytą.

Malwina i Balbina z pewną ostrożnością weszły do domu pod starym dębem. Wszak jak się wchodzi do domu czarownicy, zdecydowanie należy zachować pewną ostrożność, a nawet więcej – należy zachować ostrożność daleko posuniętą. Tak też zrobiły.

Usiadły na sofie, tuż obok siebie, każda trzymając wypchaną torbę na kolanach. Zdjęły wcześniej płaszcze i niemalże synchronicznie powiesiły je na wieszaku, jednak zostały w beretach. Wpatrywały się wnikliwie w gospodynię, aczkolwiek żadna z nich nic nie powiedziała.

– Herbatki? – zapytała Renata.

Przez dłuższą chwilę milczały, wciąż bacznie obserwując kobietę, jakby na tej podstawie chciały określić, z jakimi mocami podpisała ona pakt. Najwyraźniej nic nie wywnioskowały, bo obie jednocześnie poprosiły o coś do picia.

– Zaparzę paniom ziółka, które zmieszała jeszcze babcia Marysia. – Renata uśmiechnęła się życzliwie.

Po chwili postawiła dwie filiżanki na stoliku.

– A co panie do mnie sprowadza?

Kobiety spojrzały na siebie niepewnie. Żadna z nich nie chciała zacząć. W końcu Malwina się odważyła:

– Bo my chcemy wyglądać tak jak pani.

Renata zamarła.

– Jak ja?

– No tak nie do końca, bo włosy mamy inne i trochę jesteśmy starsze – dodała Balbina.

– Tak, trochę inaczej – zgodziła się Malwina.

– Bo ja czytałam o kąpielach w zimnej wodzie. I to podobno dobrze na stawy robi. – Balbina pogłaskała swoją nogę.

– Nie mówiłaś, że czytałaś! – oburzyła się jej przyjaciółka.

– A co ja muszę ci mówić o wszystkim, co czytam?

– No ja ci mówię.

– I chciałybyście spróbować? – Renata zdecydowała się przerwać ich sprzeczkę.

Obie starszki gwałtownie pokiwały głowami.

– Ja nie wiem, czy taki zimne kąpiele w tym wieku to są bezpieczne...

– W tym wieku? – Malwina od razu się zdenerwowała.

– My jesteśmy wyprodukowane w tych latach, gdy stawiało się na jakość! – dodała Balbina. – Więc nie psujemy się tak łatwo!

– Ale chyba musiałybyście iść wcześniej do lekarza, bo ja nie wiem, czy tak można. Czy na przykład nie macie problemów z sercem...

– Nie mamy – powiedziały jednocześnie.

Renata nie wiedziała, co ma zrobić. Oczywiście spotykała się raz na jakiś czas z Martą i Laurą i wspólnie korzystały z dobrodziejstw lodowatego strumyka, potem dołączył do nich Jan, ale nie sądziła, że kiedykolwiek będzie ich więcej.

– Możemy spróbować w sobotę – zaproponowała w końcu. – Chociaż to już są bardziej wiosenne kąpiele niż zimowe. No i muszą być panie gotowe na to, że spotykamy się w nieco większym gronie.

Malwina i Balbina w pierwszej chwili popatrzyły na siebie przerażone, jednak zaraz udały, że nie zrobiła na nich wrażenia

informacja o dodatkowym towarzystwie.

- Woda w strumyku nawet latem lodowata – skwitowała Malwina.

- To prawda – zgodziła się Balbina. – Na stawy wystarczy.

- Bo my cię obserwujemy... I jesteśmy zachwycone tym, jak wyglądasz.

- Obserwujecie? – zdziwiła się Renata. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała, jak te panie się jej przypatrują.

- Powiemy jej? – zapytała Balbina konspiracyjnym szeptem.

Malwina wzruszyła ramionami.

- Możemy powiedzieć – potwierdziła cicho.

- My sobie czasem, gdy przechodzimy...

- Zaglądamy przez szparę w płocie...

- Jeszcze do niedawna było widać całkiem dobrze...

- Ale wszystko się zazieleniło i teraz widać dużo mniej.

- Ale że wy mnie podglądałyście, jak ja się kąpałam? – Renata była zdumiona. – W strumyku?

Staruszki spuściły oczy. Wpatrywały się w podłogę, jakby tam był jakiś interesujący obiekt do obserwacji.

- I stąd wiemy, że pani nie wygląda na swoje lata – odważyła się powiedzieć Malwina.

- I my byśmy też tak chciały – dodała Balbina.

- Bo bardzo nam się pani podoba.

Tamtego dnia Malwina i Balbina wyszły od Renaty ze słoiczkami kremów na twarz i do ciała oraz buteleczkami wcierki do włosów i zaproszeniem na wspólną sobotnią kąpiel.

Nie mogły się doczekać weekendu. Dni w bibliotece dłużyły im się okropnie. Halina jakby coś zaczęła podejrzewać, bo jeszcze bardziej zaszyła się w swoim bibliotecznym fotelu z książkami na temat pomorskich wieszczek i pokutnic i nie wyściubiła stamtąd nosa.

Malwina natomiast zaczęła czytać o oddychaniu metodą Wima Hoffa, a Balbina o zbawiennym wpływie zimna na organizm. Oczywiście zarówno Malwina, jak i Balbina wcześniej książki owinęły w szary papier, by ich przyjaciółka kompletnie niczego nie podejrzewała.

Zdecydowanie miały ciche dni, bo nie poszły we trójkę na ciasteczko do Jadwigi, jak co środę w czasie przerwy obiadowej, tylko Halina wyszła z biblioteki sama, nawet nie mówiąc im „do zobaczenia”.

- Myślisz, że ona coś podejrzewa? - zapytała Malwina.

- Tak może być.

- Może też by chciała, ale nie ma śmiałości?

- Co ty? Halinka? - obruszyła się Balbina. - Ona w życiu jej nie odpuści.

- A same wiemy, jak to było - westchnęła.

- No wiemy. Biedny Alfred zakochał się w Janku, a potem ożenił się z Halinką, ale wciąż cierpiał.

- A jak myślisz, co się z nim stało? Poszedł do lasu i nie wrócił.

- Nie wiem. Zaginął chyba.

- Ludzie tak po prostu nie giną.

- Może miał wszystkiego dość? Może nie umiał wybrać?

- Ale dlaczego go nie odnaleźli?

- Nie mam pojęcia, Malwinko. I chyba się już nie dowiemy. - Pokręciła głową.

- I zdziaczała nam przez to wszystko Halinka.

- Ano zdziaczała.

- Też by jej się przydały zimne kąpiele, by zmyć z siebie te traumy życiowe.

- Myślisz, że one mają taką moc?

- Niedługo będziemy miały okazję się o tym przekonać. Jak nie kąpiele, to chyba jej by tylko jakiś facet pomógł.

- Facet? Malwinko! Ty nie myśl sobie, że kobiecie do szczęścia facet jest niezbędnym. Zobacz, Renata faceta nie ma, a jak kwitnie!

Podczas, gdy „dziewczęta” – jak to ślicznie kiedyś nazywała swoje przyjaciółki Halinka – zastanawiały się, czy zimna woda zmywa z człowieka życiowe traumy, Ksawery doił kozę. Robił to co rano od lat, a w zasadzie od czasu, gdy jedna z narzeczonych mu to stworzenie pozostawiła. Mleko wypijał po części sam, a resztę oddawał pani Jadwidze, by zrobiła z niego kozi ser. W zamian za to mógł się u niej stołować. Od pewnego czasu Jadwiga była zaniepokojona, gdyż Ksawery pojawiał się na obiadach, ale bez mleka.

– A Ksawery to co z tym mlekiem robi? – zapytała w końcu. –
Podałabym sałatki z kozim serem, a tu już nic nie mam. Nie ma już kozy?

Aptekarz nie bardzo miał ochotę zwierzać się Jadwidze, co on robi z kozim mlekiem. Nie rozumiałaby. A miało to, oczywiście, bezpośredni związek z Renatą, sąsiadką zza płotu. Nie dalej jak tydzień temu ją odwiedził i od tamtej pory doił kozę bardzo dokładnie, a całe zapasy mroził. Miał bowiem pewien plan. Bo, jakby to powiedzieć, tamtego dnia, gdy odwiedził Renatę tuż przed pracą, przepadł z kretesem.

– Przyniosłem kozi ser – powiedział tuż po tym, jak otworzyła furtkę.

– Uwielbiam go! – wykrzyknęła, biorąc od niego pakunek. –
Przepraszam, jestem nieubrana, dopiero co wyszłam ze strumyka. –
Zawinęła się szczelniej miękkim kremowym szlafrokiem.

Nie musiała tego mówić, bo przecież doskonale to wiedział. Codziennie obserwował jej poranne rytuały. W saunie dziś nie rozpalala, zwykle robiła to wieczorem. O poranku tylko, stojąc nad brzegiem strumyka, zdejmowała koszulę nocną i zanurzała się po szyję w strumyku. Po chwili wychodziła, trochę biegła, nieco ćwiczyła. Najbardziej lubił, gdy krążyła biodrami. Potem ponownie wskakiwała do wody i powoli wychodziła. Czasem od razu się otulała ręcznikiem czy

szlafrokiem, czasem przytulała się do drzew. Dzisiaj oplatała ramionami pień brzozy dłużej niż zazwyczaj i Ksawery naprawdę w myślach już wyciągał z poszczególnych aptecznych szafek specyfiki na przeziębienie, bo to nie mogło się dobrze skończyć. Był wyraźnie zaniepokojony. Dlatego też nie musiała mu mówić, że wyszła dopiero ze strumyka i była zmarznięta, gdyż doskonale to wiedział.

- Powinnaś się ubrać. Założyć skarpetki - dodał z troską.

- Bardzo przepraszam. - Zarumieniła się, najwyraźniej zawstydzona. - Nie wiedziałam, że przyjdiesz. Ubrałabym się.

- Nie, nie. Ja nie mówię o tym dlatego, że mi to przeszkadza - zaprotestował od razu. - Tylko zmarzniesz. Bo tak naprawdę wygładasz... urzekająco - odważył się powiedzieć.

- U... urzekająco? - Zdumiała się. Od dawna, o ile w ogóle kiedykolwiek, nie słyszała takich słów na swój temat.

- Dokładnie tak. Pięknie, promiennie. - Aptekarz wpatrywał się w nią z zachwytem. - Tylko boję się, że się zaziębisz.

- Piję herbatę, nie jest mi zimno - powiedziała Renata i nie wiadomo dlaczego zadrżała.

A potem wszystko się potoczyło z prędkością światła. Nie wiedział, kto zrobił pierwszy krok, to było zupełnie nieistotne. Szybko zrzucił z niej ten szlafrok i zaczął ją szaleńczo całować i pieścić, a ona odwzajemniała jego gesty. Nie zaniósł jej na rękach, jak w romantycznych filmach, na samą górę, nie chciał się skompromitować brakiem siły, ale szybko podążył za nią do jej sypialni, gdzie po chwili w namiętym uścisku kotłowali się na łóżku.

Nie pamiętał, by kiedyś się tak czuł. Nie myślał o miłości, bo to chyba nie o nią chodziło. Jednak miał okazję dać upust swojej seksualnej fascynacji kobietą, którą podziwiał od kilku miesięcy. Tak jakby każdy dzień, gdy ją podglądał, wzmagał jego pragnienie, a teraz mógł je wreszcie zaspokoić. Mógł wreszcie dotknąć jej miękkiego, jedwabście gładkiego ciała i pocałować każdy jego centymetr.

W najśmielszych snach się nie spodziewał, że to się tak skończy. Że ona, obiekt jego westchnień, znajdzie się w jego ramionach. Będzie leżała tuż obok niego, naga i rozpalona, i będzie ją mógł oglądać z bliska.

- Jesteś piękna. Od dawna o tym marzyłem.

- Marzyłeś? O mnie? - zdziwiła się.

- A to takie zaskakujące?

- Bardzo.

Wtedy znowu zaczął ją gładzić, a ona mówiła mu, że to chyba dzięki lodowatej wodzie ze strumyka i olejкови z czarnuszki. I zażartowała, że do doskonałości brakuje jej tylko kąpieli w kozim mleku. Uznał zatem, że nie może jej brakować niczego. I że o co jak o co, ale akurat o kąpiel w kozim mleku mógł się zatroszczyć. Niech z tego szkodnika, który wyżarł mu wszystko w ogródku, w końcu będzie jakiś pożytek.

Renata nie poznawała siebie. Prawdę mówiąc, nie poznawała siebie od kilku dobrych miesięcy. Jak się okazało, umiała żyć bez pracy, bez cywilizacji, bez codziennego widoku wieżowców i pędzących samochodów. Nauczyła się być bliżej natury, czerpać korzyści z ogrodu, drzew i strumienia. Więcej spacerowała, praktykowała jogę, wsłuchiwała się w śpiew ptaków, które wiosną zaczynały swoje koncerty, a także medytowała.

Nie brała pod uwagę, że może w Małej Przytulnej nawiązać jakieś relacje damsko-męskie. Po pierwsze, wydawało jej się, że jest na to stanowczo za stara, a po drugie, jej niedoskonałe ciało zdecydowanie nie nadawało się do tego, by pokazywać je jakimkolwiek mężczyźnie. I to, w jej mniemaniu, skutecznie powstrzymywało ją przed jakimkolwiek ekscesami seksualnymi. Przecież mężczyźni wolą szczupłe, a nawet chorobliwie chude kobiety. Dlatego według Renaty każda kobieta, która była szczupłą, była piękną.

Ale z pewnością nie ona. Dwadzieścia kilogramów nadwagi – spory tyłek, miękki brzuch i ogromny biust, który wraz z upływem każdego dnia zdawał się coraz bardziej udowodniać prawo powszechnego ciężenia Newtona. A tu nagle, ni stąd, ni zowąd, wyłądownała w łóżku z piętnaście lat młodszym mężczyzną, który był w nią wpatrzony niczym w obrazek albo co najmniej dzieło sztuki. Zupełnie nie umiała tego pojąć. Niechybnie wielbiciel Rubensa.

Kompletnie też nie potrafiła zrozumieć, że w objęciach tego młodego mężczyzny poczuła się jak rozbrykana nastolatka w ramionach swojego pierwszego chłopaka. No, może nie nastolatka, bo wtedy prowadziła się całkiem dobrze, ale gdy poznała Łukasza, było całkiem sporo tej namiętności. Chociaż wtedy było inaczej – poznawali siebie wzajemnie i smakowali powoli. Nie miała przed nim innych mężczyzn. Zresztą po nim również... Myślała, że nie potrafi już się otworzyć, odsłonić. Jednak, ku swojemu zaskoczeniu, odkryła, że było inaczej.

Uśmiechnęła się do siebie. Chciała to powtórzyć. Natychmiast. Ledwo od niej wyszedł, chciała go zawołać, by wracał. Nie znała siebie od tej strony. Spoglądała na odbicie w lustrze i próbowała dojrzeć, cóż on w niej takiego widział. Niczego nie dostrzegła.

A potem zadzwonił Łukasz. Po raz pierwszy nie odebrała od niego telefonu. Nie umiałaby z nim teraz rozmawiać. Nie wiedziała dlaczego. Przecież nie był już jej mężem. Byli po rozwodzie, mieli iść zupełnie osobnymi drogami.

Wyłączyła telefon, ale chwilowo czar prysł.

16. Balbina

Gotu kola, czyli wąkrota azjatycka (Centella asiatica), stosowana jest w indyjskiej ajurwedzie od tysięcy lat. Wspiera prawidłowe funkcjonowanie układu nerwowego i przywraca jego równowagę, wywiera korzystny wpływ na pamięć i zdolność koncentracji. Napary z gotu koli łagodzą negatywne skutki stresu i wspomagają organizm w jego codziennych wyzwaniach. Stosowane regularnie wpływają korzystnie na układ krążenia i doskonale nadają się do pielęgnacji skóry, skutecznie łagodzą podrażnienia, niwelują zaczerwienienia oraz przyspieszają procesy regeneracji. Substancje aktywne zawarte w gotu koli stymulują komórki tkanki łącznej do syntezy kolagenu i elastyny, a także powodują zwiększenie poziomu kwasu hialuronowego, co sprawia, że jest to roślina niezwykle cenna w kosmologii. Dzięki niej skóra wygląda zdrowiej i młodziej, staje się jędrniejsza, pozbawiona wyprysków i zmarszczek.

Istnieje legenda o chińskim ziołarzu i mędrцу Li Chung Yunie, który dożył dwustu pięćdziesięciu sześciu lat dzięki temu, że pił herbatę z gotu koli. Przeżył swoje dwadzieścia cztery żony (i wytrzymał!). Inna opowieść mówi o tygrysie, który codziennie tarzał się w liściach rośliny i uleczył swoje rany.

Halina czuła, że jej życie się rozsypuje. Już nikt w miasteczku jej nie poważał, a raczej wszyscy mieli ją w głębokim poważaniu. Malwina i Balbina nie chciały jej słuchać, Ksawery nie patrzył jej w oczy, gdy przychodziła do apteki, i nawet Jan skrzętnie omijał temat.

Niechybnie świat się jej walił i nie umiała sobie z tym poradzić. Tylko w Jadwidze wyczuwała jeszcze bratnią duszę, aczkolwiek nie nadawały na tych samych falach. Tak czy inaczej, siedziały w barze, jedząc sernik, i zastanawiały się nad dalszymi krokami. Każdej chodziło o co innego – Halina chciała wygnać Renatę z miasteczka, gdyż była przekonana, że wszelkie zło tego świata jest jej winą, a Jadwiga nie miałaby nic przeciwko, by się z nią zaprzyjaźnić w celu uzyskania jakiejś magicznej metody, która umożliwi przemianę jej krnąbrnego syna w syna idealnego, bo sama nie miała pomysłu, jak to zrobić.

– Coś ty, Jadźka? Ty nie wierz w te mikstury! – fuknęła Halina.

– To najpierw mnie przekonujesz, że ona jest czarownicą, a potem że nie mam wierzyć w mikstury.

– Czarownicą jest, to fakt. – Wzięła do ust kawałek ciasta. – Niezaprzeczalny – dodała z pełną buzią. – Ale nie w taki sposób.

– A w jaki?

– W inny – powiedziała z przekonaniem Halina, nadal nic nie wyjaśniając.

Jadwiga rozumiała jeszcze mniej, ale nie dopytywała, by Halina nie uznała jej za mało inteligentną. Nie miała pojęcia, że staruszka i tak już ma o niej nie najlepsze zdanie, ale cóż, nie miała innego towarzysza do rozmów o Renacie, a jak się nie ma, co się lubi...

– Ja myślę, że jak ona się wyprowadzi z miasteczka, to wszystko powróci do normy – westchnęła Halina.

– Tylko jak ją do tego skłonić?

– Nie wiem, Jadwigo, nie wiem. Ale cały czas o tym myślę. I jak wymyślę, będziesz pierwszą, której to powiem.

Halinie najlepiej się myślało, kiedy chodziła. Niestety miała już swoje lata, dlatego też z każdym rokiem spacerowała coraz rzadziej, zatem uznała, że ten rozum pogorszył się jej zdecydowanie przez to, że ma coraz mniej ruchu. Nawet rozmawiała o tym z Ksawerym, który do tej

pory był jej autorytetem w sprawach zdrowotnych, bo do doktora w sąsiednim mieście nie zamierzała jeździć. Tym bardziej że zdenerwowany Anatol nazwał go kiedyś lekarzem od siedmiu boleści.

Aptekarz zalecił spacer, więc Halina wędrowała drózkami Małej Przytulnej. Oczywiście za każdym razem dziwnym trafem na jej trasie znajdował się dom pod starym dębem, gdzie mieszkała kobieta, która jej tyle krwi napsuła...

W sobotę zawsze chodziła najdłużej i kiedy tego dnia wieczorem od strony domu Renaty dobiegły do niej piski i wrzaski, była przerażona. Niechybnie jakaś orgia! Halinka stanęła przy płocie, starając się zajrzeć przez dziurę, jednak nic tym razem nie było widać. Wspięła się na palce, próbując coś zobaczyć, jednak wciąż była za niska. Nagle rozległy się chichoty. Oczywiście bardzo ją kusilo, by naocznie się przekonać o tym, co się tam działo, ale, prawdę mówiąc, zabrakło jej odwagi. Poza tym zapomniała okularów i obawiała się, że nic nie zobaczy.

Westchnęła głęboko. Zza płotu usłyszała przekleństwo. Potem ktoś głośno zawołał: „Kocham cię, życie!”. Głos wydawał jej się znajomy, ale musiała się przesłyszeć. Zmarszczyła brwi. Była ewidentnie przekonana, że zabawia się tam wielce nieodpowiednie towarzystwo, z którym nie chciała mieć nic do czynienia.

Wtedy zobaczyła wyrwę w podmurówce, na której osadzony był płot, i stanęła na nią. Zawsze to będzie wyżej i będzie mogła coś podejrzeć. Niestety, bez okularów wszystko zdawało się jak za mgłą. Widziała ledwo zarysowane sylwetki, najwyraźniej nagie. Pewnie skakały przez ognisko, bo dostrzegła jakieś białe opary. No nic, jeszcze trochę i cała ta chałupa pójdzie z dymem. Halina była tego pewna i ta wizja niesłychanie jej się podobała.

Opary unosiły się nad sauną, w której właśnie skończył rozpalać Jan. Po wielu dniach namawiania Renaty wreszcie się zgodziła, by mimo

wątlęgo zdrowia – uściślijmy, według niego bardzo wątlęgo – skorzystał z seansu w saunie, a potem zanurzył się w lodowatym strumyku.

– On kłamie – powiedziała jej Malwina, kiedy rozmawiały z Renatą kilka dni wcześniej.

– W jakiej sprawie? – zdziwiła się.

– Pewnie w wielu, ale mamy na myśli to, że jest chory – dodała Balbina. – Bo ciągle gada, że go noga, głowa i inne części ciała bołą.

– Ale... – próbowała im przerwać Renata.

– On nas wszystkich jeszcze przeżyje – potwierdziła Malwina. – Ciebie też.

– A te jego wysypki, kołatania serca i inne łąkotki, pochewki oraz szyszynki czy tęczyczki?

– To bzdura! – podsumowała Balbina.

– Ksawery robi mu od lat takie specjalne pigułki. Tylko do tych kapsułek nasypuje cukru pudru.

– Ostatnio nie miał i nasypał zielonej herbaty – sprostowała.

– I co? – zainteresowała się Renata.

– I przeżył – powiedziała beztrosko Malwina.

– A zielona herbata mu nie zaszkodziła?

– Nie zaszkodziła. – Balbina pokręciła głową. – Ksawery kupuje tę droższą.

– Jan miał po niej sraczkę. – Malwina machnęła ręką.

– A skąd wiesz, że miał sraczkę?

– No bo opowiadał o tym Jadwidze. – Staruszka się skrzywiła. – Ze szczegółami.

– Oj tam, on opowiada o różnych rzeczach. Ta jego sraczka też była pewnie wyimaginowana.

– Nie miałyśmy, na szczęście, okazji sprawdzić tego osobiście.

– Nawet nie chcę o tym myśleć.

– No dobrze, ale ja nadal nie wiem, czy powinnam się zgodzić, by skorzystał ze strumyka. – Renata wyglądała na zmartwioną.

- Pewnie! – wykrzyknęły obie kobiety.
- No dobrze, to go zaproszę w sobotę – westchnęła.
- Ale jak to w sobotę? – zdenerwowała się Malwina.
- Że niby z nami on ma być w tej saunie? – dopytywała Balbina. – Na golasa?

Sobota nadeszła szybciej, niż wszyscy się spodziewali. Siedzieli więc w kuchni Renaty i popijali herbatkę.

- Ja przed Janem na golasa nie będę paradowała – powiedziała wyniośle Balbina.

- Balbinko, ale ja nie jestem w żadnym razie tobą zainteresowany – odparł Jan. – Mogę cię zobaczyć taką, jak cię Pan Bóg stworzył, i w ogóle mnie to nie ruszy. Możesz paradować z cyckami na wierzchu przed moją twarzą, a ja nic. Zupełnie nic.

- Nic? Zupełnie nic? – zapytała cicho Balbina, trochę rozczarowana. Janek bezradnie rozłożył ręce i pokręcił głową.

- Czy ja powinnam się obrazić? – Spojrzała na niego pytająco. Wzruszył ramionami.

- Tobą, Malwinko, również nie – dodał. – Może gdybyś była barczystym mężczyzną w kwiecie wieku, tobym zawiesił oko, ale tak nie ma szans.

Malwina przez chwilę się zastanawiała nad tym, co powiedział jej przyjaciel, i doszła do wniosku, że też z przyjemnością zawiesiłaby oko na barczystym mężczyźnie kąpiącym się w potoku, aczkolwiek najchętniej robiłaby to z ukrycia. Obawiała się, że on raczej z przyjemnością na niej oka by nie zawiesił, a nie chciałaby mu sprawiać zawodu, nawet jeżeli był czysto hipotetyczny.

- Ale istnieje prawdopodobieństwo, Janie – zaczęła mówić Malwina – że jak zobaczysz nas nago, to ci się wszystko odmieni.

Jan spojrzał na nią wnikliwie, po czym pokręcił głową.

- Malwinko, ja naprawdę nie chcę ci robić przykrości, ale nie. Nie ma szans.

- Ty, durna, musiałabyś wyglądać jak Kleopatra, by mu się odmieniło - powiedziała cicho Balbina.

- Ja wyglądam trochę jak Kleopatra. - Potrząsnęła bujnymi lokami. - Tylko nie mam czarnych włosów, a kasztanowe.

- Nie chcę cię urazić, Malwinko, ale od Kleopatry różnisz się jeszcze kilkoma innymi detalami. Na przykład wiekiem.

- Kobiecie się wieku nie wypomina. Zresztą masz tyle samo lat, co ja.

- Jestem młodsza.

- O cztery dni - prychnęła Malwina.

- Co do wieku, znamy się już tyle lat, że możemy sobie go wypominać. Inni są już po tamtej stronie, a my wciąż w formie.

- W zdrowym ciele zdrowy duch! - Jan naprężył nieco sflaczały już biceps.

- O właśnie - zgodziła się Balbina.

- No dobra, ale ja w kwestii formalnej... - zaczął Jan, uchylając drzwi do sauny. - Czy ja mogę z wami wejść do tej sauny, bo już zaraz będzie gorąca?

- Nie - powiedziała Balbina.

- Tak - stwierdziła w tym samym czasie Malwina.

Janek westchnął.

- Całe życie człowiek ma pod górkę.

- No i co? Gotowi? - Do kuchni przyszła owinięta ręcznikiem Renata.

- Ja z nim goła do sauny nie wchodzę - oświadczyła Balbina.

- To kożuch załóż - burknęła Malwina. - Będzie ci jeszcze cieplej. Chodź, Janie. Znamy się tyle lat, że nic cię już nie zaskoczy. Nawet goła baba.

Balbina nie chciała się rozbierać do rosołu. Nie chciała, by ją oglądali. Ani Malwina, ani Renata, ani, oczywiście, Jan. Nikt nigdy nie powinien jej nago oglądać. Miała ku temu swoje powody.

– A nie można w tej saunie być w ubraniu? – zapytała, gdy poszły do domu, żeby przebrać się w szlafroki.

– Mówiłam ci już, kozuch weź.

– Strój kąpielowy albo bluzeczka...

– Ko-żuch! – drwiła Malwina, zdejmując rajstopy. – I czapkę oraz szalik. Jeszcze możesz barchany włożyć – dodała i wyszła z domu, podnosząc wysoko głowę.

Renata i Janek już siedzieli w saunie. On wstydliwie okrył się ręcznikiem, ona nieco mniej wstydliwie się nie okryła. Malwina weszła do sauny i usiadła obok Janka.

– Gorąco tutaj – stwierdziła.

– Tak ma być – odparła Renata. – Odprężcie się i oddychajcie. Potem pójdziemy się zanurzyć w strumyku.

– A gdzie Balbina? – zapytał Janek.

– Barchany zakłada – powiedziała obruszona Malwina. – Czego tu się wstydzić, a co Janek cycków nie widział? No może tak podstarzałych nie, ale co ja mu będę żałować. – Wzruszyła ramionami. – Po raz pierwszy w życiu poczułam wolność. I poczułam się taka... bezwstydna! – Uśmiechnęła się promiennie.

– Może ja po nią powinienem pójść? – Janek nie dawał za wygraną.

– I co? Podasz jej palto? – drwiła Malwina. – Albo ktoś ma dystans i luz, albo go nie ma. Nie zmienisz człowieka, szczególnie jak ma lat niemalże osiemdziesiąt.

Siedzieli przez dłuższą chwilę w milczeniu. Janek był wyraźnie zaniepokojony.

– Źle się czujesz? – zapytała go Renata.

– Może byśmy poszli się trochę ochłodzić?

– Dobrze, a potem wrócimy jeszcze raz.

Janek i Malwina pokiwali głową. Po chwili wszyscy wyszli z sauny i weszli do zimnego strumienia.

– Cudownie! – krzyknęła Malwina. – Muszę Anatolowi wszystko opowiedzieć.

– Anatol ma problemy z sercem, to nie może – zauważył Jan.

– Muszę mu opowiedzieć, co traci. – Uśmiechnęła się.

– A dokąd ty się wybierasz? – Renata zauważyła, że mężczyzna idzie w stronę domu. – Nie chcesz już?

– Bardzo chcę. Zaraz przyjdę. Przyprawdę tylko Balbinę. Może ją jakoś namówię. Szkoda, by nie skorzystała z takiego czegoś. Będzie żałować.

Malwina wzruszyła ramionami i razem z Renatą poszła do sauny. Janek zastał Balbinę w fotelu, otuloną szlafrokiem, ze spuszczoną głowę. W kuchni panował półmrok.

– Co jest? – zapytał.

Nic nie odpowiedziała.

– Weź kostium kąpielowy, przecież nikt ci nie każe na golasa biegać – powiedział, siadając obok niej. – Malwina się uparła, bo chciała poczuć bezwstydną wolność. Ty nie musisz.

Staruszka znowu się nie odzywała.

– Balbinka, ty płaczesz? – Przynął się do niej i ujął jej dłoń. – Kochana, przecież to nie jest powód do łez! Każdy z nas ma prawo do wstydu. Niektórzy go przełamują, inni nie. Nie muszą. Nasze ciała są stare, wiadomo. Ja swoje mimo wszystko kocham. Niosło mnie przez te wszystkie lata i dawało mi sporo radości życia.

– To nie o to chodzi – powiedziała cicho Balbina.

– A co się dzieje? – Janek przytulił ją mocno i otarł jej łzy.

Chwilę siedziała skulona. Jej przyjaciel gładził ją po zapłakanej twarzy. Najwyraźniej tego potrzebowała. Nagle wstała i stanęła naprzeciwko niego. Zamknęła oczy i rozwiązała szlafrok. Oczom Janka

ukazała się lewa pierś i miejsce, w którym kiedyś była prawa, a teraz przez klatkę piersiową przebiegała dawno już wygojona blizna. Wstał i przytulił mocno przyjaciółkę.

– Nic nie wiedziałem...

– Nikt nie wiedział. – Balbina odsunęła się od niego.

– Kiedy to się stało?

– Siedemnaście lat temu.

– Wtedy pracowałeś w Niemczech? Wyjechałeś chyba na pół roku.

Balbina pokręciła głową.

– Nie pracowałam. Byłam u siostry i chorowałam. Nie chciałam nikomu mówić, by się nikt nade mną nie użalał.

Jan spojrzał na nią uważnie.

– Nie potrzebujesz troski? Współczucia? By ktoś się tobą po prostu zaopiekował?

– Było, minęło. – Uśmiechnęła się smutno. – Zawsze byłam silna. Nie potrzebowałam troski ani współczucia.

– Ja potrzebuję – przyznał Jan. – Nawet czasem udaję, że coś mnie boli, żeby mnie ktoś zauważył.

– Wszyscy to wiemy. – Uśmiechnęła się ciepło.

– Wiecie? – zdziwił się Jan.

– Pewnie.

– I akceptujecie mnie, choć zdajecie sobie sprawę, że naginam rzeczywistość?

– Oczywiście. Przecież to jesteś ty, nasz Janek. Znamy cię od urodzenia i kochamy takim, jakim jesteś.

– Balbinko, to, co powiedziałaś do mnie, możesz odnieść też do siebie. Znamy się całe życie. Kochamy cię taką, jaka jesteś. Nieważne, czy masz jedną czy dwie piersi, czy twoje ciało jest naznaczone bliznami. Twoje blizny też kochamy, bo to jesteś ty. Jak chcesz, możesz nam je pokazać, będziemy razem z tobą, jak nie chcesz, nie pokazuj. To nic nie zmieni. Jesteś, jaka jesteś. Dla nas najlepsza i najpiękniejsza.

Balbina spoglądała na przyjaciela z uwagą.

– Naprawdę?

– Tak.

– Myślisz, że oni też tak myślą?

– A co ty byś pomyślała w takiej sytuacji o Malwinie? Gdybyś nagle się dowiedziała?

– Byłabym zła na siebie, że się nie domyśliłam. Że nie byłam przy niej, kiedy mnie potrzebowała.

– Nie wiedziała, że jej potrzebujesz.

– Ja sama tego nie wiedziałam.

– Przecież tu jesteśmy. I skoczylibyśmy za tobą w ogień.

– Albo do sauny.

– Albo do sauny. – Uśmiechnął się. – I do lodowatego strumienia również.

– A można najpierw do lodowatego strumienia?

– Można. Renata zawsze tak robi, ale ja stchórzyłem.

– To chodź.

Balbina wzięła Janka za rękę i poszli razem w stronę rzeki. Renata i Malwina właśnie z niej wyszły i stały na brzegu, owinięte ręcznikami.

– Mogę wejść tak od razu? – zapytała Balbina.

– Możesz, jeżeli jesteś gotowa.

Balbina zsunęła szlafrok. Malwina zakryła usta dłonią.

– Przepraszam – powiedziała bezgłośnie.

Janek złapał przyjaciółkę za rękę i razem zanurzyli się w strumieniu. W zupełnym milczeniu chwilę stali w lodowatej wodzie. Balbina oddychała powoli i z każdą chwilą coraz bardziej wyciszała emocje. Liczył się tylko ten oddech, który wreszcie, po tylu latach, pozwolił jej pogodzić się z tym, co przyniósł dla niej los. Przypominała sobie łyzy, gdy znalazła niewielki guzek, liczne badania lekarskie, daleką podróż, by nikt się nie dowiedział. Nie chciała widzieć litości w oczach przyjaciół. Był ktokolwiek pomyślał, że jest słaba. Przez całe życie dawała radę. Ale

czy musiała? Przecież mogła sobie pozwolić na słabość, płacz i zwątpienie. I zrozumiała to chyba dopiero teraz, stojąc w tym zimnym strumieniu.

Spojrzała na Janka i uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech. Złapała go za rękę i po chwili wyszli. Malwina czekała na brzegu z ręcznikiem i szybko otuliła przyjaciółkę. Mocno ją do siebie przytuliła. Przez dłuższą chwilę nie chciała jej puścić.

– Przepraszam, nie wiedziałam... – powiedziała cicho. – Niby wydaje się nam, że znamy kogoś na wylot, wiemy o nim wszystko, a jednak każdy człowiek może być zagadką.

– Teraz nie mam już przed tobą żadnych tajemnic. – Pokręciła głową.

– Kocham cię, Balbinko, taką jaką jesteś. Z twoimi zagadkami i bez.

Weszli do sauny. Wszyscy razem. Dwie przyjaciółki, którym się zdawało, że wiedzą o sobie wszystko, ich przyjaciel i Renata – kobieta, której korzenie sięgały Małej Przytulnej. Ona wciąż jeszcze nie widziała życiowej prawdy, która była tuż obok.

– Teraz na szybko... Wychodzimy z sauny i wbiegamy do strumyka.

Wszyscy złapali się za ręce. Kiedy Balbina zanurzyła się w strumieniu, głośno zaklęła. Malwina zaczęła się śmiać.

– Kocham cię, życie! – zawołała Balbina, zupełnie nieświadoma tego, że za płotem stała Halina, wielce zdegustowana jej entuzjastycznym okrzykiem.

17. Malwina

Kocanka piaskowa (Helichrysum arenarium) jest wskazana do stosowania w przypadku występowania problemów w pracy jelit, pęcherzyka żółciowego oraz dróg żółciowych. Doskonale się sprawdza jako suplement diety poprawiający perystaltykę jelit i wzmacniający oraz regenerujący wątrobę. Ponadto kocanka piaskowa może być stosowana przy problemach z zakresu przemiany materii oraz przy występowaniu nieżyłtów układu pokarmowego. Oprócz tego wspomaga walkę z problemami skórnymi i ma działanie moczopędne (jest więc stosowana przy schorzeniach układu moczowego). Wyciąg z kocanki działa także pobudzająco na wydzielanie soku żółdkowego i może zmniejszać stan zapalny błony śluzowej żołądka.

Rosyjskie legendy mówią, że ten, kto odnajdzie kocankę z niebieskimi kwiatami, będzie żył wiecznie.

Ksawery zajrzał do zamrażalnika, po czym westchnął. Jeszcze trochę mu brakowało. Z Internetu wyczytał, że wanna średniej wielkości mieści jakieś sto pięćdziesiąt litrów. Przy dobrych wiatrach (aczkolwiek w przypadku dojenia kozy to sformułowanie mogłoby być źle zrozumiane) powinno mu to zająć jeszcze dobrych kilka tygodni. Czy wtedy wciąż będzie sens trzymać to kozie mleko w zamrażalniku?

Westchnął. Renata kręciła go fizycznie. Bardzo! Była starsza, bardziej doświadczona i według niego atrakcyjna (mimo iż, jak wiemy, jego ideał kobiety był zupełnie inny) – to wystarczyło. Całkiem nieźle się trzymała. Absolutnie nie wiązał z nią żadnych planów na przyszłość i ku

swojemu zaskoczeniu doszedł do wniosku, że w tym wypadku liczył się tylko seks. Nawet za bardzo nie miał ochoty na rozmowy, wszak wiemy, że rozmowy na inne tematy niż farmaceutyczne i okołomedyczne w ogóle nie leżały w obrębie jego zainteresowania.

Czasem się zastanawiał, jak się z tego wykręcić. Oczywiście fajnie było dawać upust swoim seksualnym żądom z sąsiadką zza płotu, ale czy to nie blokowało go na nowe znajomości? Pewnie blokowało. Bo gdyby nagle szedł ulicą i spotkał kogoś, kim by się zachwycił, to co powinien zrobić? Powiedzieć: „Cześć, jestem Ksawery, ale spotykam się z sąsiadką zza płotu”? Nie. Tak nie mógłby przecież mówić, bo on nawet się z nią nie widywał w takim rozumieniu związku. On tylko uprawiał seks.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że w Małej Przytulnej ma naprawdę niewielkie szanse spotkania kogokolwiek, kogo nie znał przez całe życie, a już prawdopodobieństwo, że ta osoba okaże się szczupłą blondynką z niewielkim biustem, która go zachwyci, graniczyło z cudem. Zastanawiał się więc, czy na wszelki wypadek jednak tego mleka nie doić i nie mrozić, i tak robił od dobrych kilkunastu dni, bo przecież lepiej mieć furtkę, a w zasadzie dziurę w płocie, niż jej nie mieć.

Chociaż ich relacja nie miała przyszłości. Przecież tutaj nie było pokrewieństwa dusz, a to było najważniejsze. Chciał się zakochać, zasypiać przy kimś i się budzić. No i rozmawiać. Dyskutować i wymieniać się informacjami o wynikach najnowszych badań klinicznych, o których przeczytali w magazynie „The Lancet”. Z Renatą nie rozmawiał. Od razu zabierali się do rzeczy i potem leżeli obok siebie w ciszy. Ta cisza zdawała mu się ogromnie krępująca. Raz chciał nawet zostać na noc, ale wierzili się oboje przez godzinę i ostatecznie stwierdzili jednomyślnie, że każde powinno się wypaść się we własnym łóżku, więc wrócił do domu.

Chyba coraz mniej mu się to podobało. Może powinni się rozstać? Ale czy oni właściwie byli razem? To było zdecydowanie bardziej

skomplikowane niż jego przelotne miłości. Bo jego dotychczasowe przelotne miłości nie mieszkaly za plotem z obluzowaną deską, tylko byly na tyle daleko, że zadna ze stron nie czula się zobowiązana do kontynuowania krępującej znajomości.

Może to mleko powinien jednak zanieść pani Jadwidze do baru? Tylko co ona powie, jak nagle dostanie trzydzieści litrów mleka? Nie przerobi tego naraz. Może ją uprzedzi?

Renata czula presję. Presję mlodości. Siedziala w wannie i golila sobie nogi, bo przeciez musiala być gotowa, gdy przyjdzie jej adorator. A przychodzil często. Juz po trzecim razie uznala, że seks jako taki jest przereklamowany. Owszem, można, a nawet trzeba, ale nie aż tyle!

Ona byla panią po czterdziestce (absolutnie nie przed pięćdziesiątką) i nie byla gotowa na tak intensywną eksploatację. A juz te wszystkie ablucje, które musiala wykonywac, by nie zrobic sobie wstydu, byly nie do zniesienia. Odwykla od codziennego golenia nog czy innych częsci ciala. Mężowi zdawalo się to nie przeszkadzac, a tutaj nie znala dnia ani godziny. Prędezej godziny, bo napalona mlodość w postaci trzydziestopięcioletniego sąsiada wpadala zupełnie zmienacka. A ona chciala mieć spokój.

To zdecydowanie był bład, że tak uległa. Chociaz doskonale się z tym poczula – mlody sąsiad był nią tak zafascynowany, że nie mogła ani słowa powiedziec, bo rzucil się na nią niczym wyglodniaty wilk. Renata usmiechnęła się do siebie. Mimo uciekających lat, zwisających cycków i dwudziestu kilogramów nadwagi wciaż byla atrakcyjną kobieta. Gdyby nie Ksawery, w zyciu by tak o sobie nie pomyslala.

Tylko jak to odkrecić? Nie chciala łamac serca chłopakowi. A przeciez to wszystko nie mialo przyszłości. Owszem, spróbowala, jak to jest z innym mężczyzną niż były mąż i moglaby tak próbowac raz na jakis czas, ale nie co chwile!

Przecież ona nie mogła nawet poczuć się sobą, bo gdy tylko coś zaczynała robić, ten przychodził i domagał się uwagi. Albo obdarzał ją uwagą, ale właściwie na jedno wychodziło – na obie te aktywności nie miała zbyt wiele siły.

Malwina miała dylemat... Nie wiedziała, jak powiedzieć o tym Anatolowi, by sobie nie pomyślał, że ona jest nieprzyzwoita. Jednak po dłuższym zastanowieniu doszła do wniosku, że gdyby Anatol chciał tak pomyśleć, to były ku temu już okazje. Ze dwa razy. Albo i trzy... I wtedy była zdecydowanie bardziej nieprzyzwoita, niż teraz zamierzała.

– Anatol, ja muszę z tobą porozmawiać – stwierdziła któregoś ranka.

– Malwinko, przecież często rozmawiamy. A w zasadzie prawie przez cały czas.

Anatol właśnie parzył im kawę zbożową. Zalał mlekiem i podał Malwinie do łóżka. Wyrażnie ją coś trapiło, czuł to już od wczoraj. Nauczony jednak doświadczeniem, nie pytał, tylko czekał, aż sama powie.

– Ja nie chcę brać ślubu – wyznała w końcu na jednym wydechu.

Anatol zamarł.

– Ale ze mną nie chcesz czy jak? Coś źle zrobiłem?

Zaniepokoił się, wszak myślał, że uwiją sobie wspólne gniazdko i będą w spokoju żyć aż do śmierci, która – miał taką nadzieję – jeszcze przez jakiś czas nie będzie chciała ich odwiedzać.

– Nie, nie... – Malwina pokręciła głową. – Ja po prostu chcę, by wszystko zostało jak jest. Tak mi jest dobrze, a ślub, ceremonia, goście i uśmiechanie się do wszystkich mnie przerażają.

– Ale chcesz ze mną być do końca? – upewnił się Anatol.

– Oczywiście! A miałeś jakiegokolwiek wątpliwości?

– Powiem ci, że dzisiaj miałem – przyznał. – Bo tak poważnie zaczęłaś, że myślałem... No myślałem, że chcesz ze mną zerwać.

- Chyba żartujesz?

- Poważnie. Aż się zląkłem!

- Anatolu, ty się nie lękaj, bo taki złękniiony to ty mi się na nic nie przydasz!

Usiadł na łóżku i pogłaskał ukochaną po policzku.

- Tak sobie pomyślałam, że nasz ślub byłby na pokaz. Taki teatrzyk, żeby wszystkich innych uszczęśliwić. My przecież jesteśmy szczęśliwi i bez ślubu. Po prostu sobie żyjemy własnym rytmem, tak jak chcemy.

- Czy do tych przemyśleń skłoniła cię sytuacja z Balbiną?

- Tak. Dużo o tym myślałam... Zobacz, Jan potrzebuje uwagi, dlatego ciągle mówi o swoich wymyślonych chorobach. Balbina wielokrotnie mu nawet pomagała, a tak naprawdę sama potrzebowała pomocy. I wtedy nas przy niej nie było.

- Byliśmy, Malwinko, cały czas.

- Ale nie zwróciła się do nas o pomoc. Czuję, że zawiodłam jako przyjaciółka.

- A może ona po prostu nie chciała nas martwić? Może tak bardzo nas kocha, że nie chciała, byśmy byli smutni?

- Pewnie tak było - zgodziła się Malwina. - Powiem ci, że od tego wieczoru w saunie wciąż rozmyślam na różne tematy.

- *Homo sapiens* jesteś, to rozmyślasz.

- I doszłam do wniosku, że gdy jesteśmy młodzi, robimy dużo rzeczy dla kogoś. Dla rodziców, dla bliskich. Ci, którzy mają dzieci, robią wszystko dla nich, a zapominają o sobie. Ludzie rzadko się zastanawiają nad tym, o czym właściwie marzą, tylko nad tym, co ktoś inny powie na ich marzenia, jak zareaguje.

- A to *à propos* czego? Naszego ślubu?

- Tak, bo ludzie gadają, że się nieprzyzwoicie prowadzamy.

Anatol głośno się zaśmiał.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- To, że kogoś jeszcze obchodzi, jak my się prowadzamy. I że ktoś o tym mówi. Chyba nawet wiem kto.

- No, wiadomo... - Malwina wzruszyła ramionami. - Halina.

- Ona przejmuję się wszystkim, żeby nie myśleć o swoich sprawach - stwierdził Anatol.

- Ona tego Alfreda naprawdę kochała.

- Kochała, ale nie mogła go mieć.

- Janek też nie.

- On akurat mógł, tylko nie umiał o to walczyć. Chyba się bał. - Anatol się zamyślił.

- To były inne czasy - zauważyła Malwina.

- Pewnie, że inne. Teraz wszyscy są bardziej tolerancyjni. Czasem rozmawiam z Gabrysią i ona naprawdę ma ogromną mądrość życiową. My takiej nie mieliśmy, a już na pewno nie w jej wieku. A jak było z Jankiem? Bał się nam o tym powiedzieć, a przecież wszyscy i tak o tym wiedzieli. A ci, którzy nie wiedzieli, pewnie na początku by o tym gadali, ale by im przeszło.

- Jak o naszym księdzu. On też się bał.

- Tak, chciał nawet od nas wyjechać.

- Ogromna by to była strata dla Małej Przytulnej.

- Strach ma wielkie oczy - zauważył Anatol. - Za dużo energii poświęcamy na to, co może się wydarzyć, i to nas spala. Zamiast po prostu powiedzieć i niech się dzieje wola nieba.

Do podobnego wniosku co Anatol doszedł również Ksawery. Stwierdził, że pewne sprawy trzeba stawiać jasno i jeżeli Renata ma wobec niego jakieś plany, to on musi jej powiedzieć, że nie jest tym zainteresowany. Niezależnie od tego, czy na jego drodze pojawi się smukła blondynka. Oczywiście musiałyby pewnie zacząć chodzić inną drogą, bo do tej pory

w Małej Przytulnej takowa się nie pojawiła, a żył już tutaj dobrych trzydzieści lat.

Rozmyślając o tym wszystkim, szedł na obiad do Baru U Jadzki, zwanego czasem szumnie restauracją.

– Ile chce pani tego mleka? – zapytał, gdy właścicielka podawała mu schabowego.

– A co? Nagle je masz? Już myślałam, że ci koza zaniemogła.

– Ech... – Machnął ręką. – Zmiana planów.

– No, ale ty to mleko masz?

– Mam.

– A dużo?

– No. Kilkadziesiąt litrów.

– O matko jedyna, to co się z tą kozą stało?

Ksawery wzruszył ramionami.

– Miałem inne plany wobec tego mleka.

– Chciałeś się w nim kąpać? – Zarechotała, najwyraźniej ubawiona swoim pomysłem.

Ksawery spuścił oczy i nic nie powiedział. Jadwiga śmiała się jeszcze przez chwilę, po czym zauważyła, że aptekarzowi nawet nie drgnął mięsień na twarzy.

– Ksawery! Ty naprawdę chciałeś się w nim kąpać!

– Nieważne. To jak przyniosę to mrożone mleko, coś pani z nim zrobi?

– Pewnie. – Jadwiga nie umiała powstrzymać chichotu.

– Ja doprawdy nie wiem, co panią tak śmieszy – obruszył się.

– Życie, Ksawery, życie.

Życie nie śmieszyło za to Jadwigi poprzedniego dnia, gdy zauważyła, że ta baba znowu przywiozła jej jedynaka do domu. Dochodziła dwudziesta trzecia, a ten dopiero wracał.

- Gdzie byłeś? - zapytała, tarasując mu drogę i wyciągając oskarżycielsko palec.

- Oj, mamuś... - Próbował się przecisnąć obok niej.

- Mów mi szybko, co robiłeś.

- Uczyłem się.

- Jasne. - Z niedowierzaniem pokręciła głową. - Pewnie biologii - dodała z sarkazmem.

- Tak - przyznał Tomek i zniknął za drzwiami swojego pokoju.

Jadwiga westchnęła. Nie miała już siły do tego chłopaka. Zastanawiała się, czy nie wejść do środka i nie zgłębić tematu. Kochała go, miała tylko jego i naprawdę chciała dla niego jak najlepiej. Kiedyś to był taki fajny dzieciak. Piekli razem ciasteczka, wcześniej wykrawając różne śmieszne kształty, dekorowali torty, lepili pierogi. A teraz? Żadnego z niego pożytku. Już nawet się przyzwyczała, że Tomek skończy to liceum. Tylko jak on tak się prowadził, to marne na to szanse. Nie dość, że obudzi się bez zawodu, to jeszcze bez matury. Ale za to biologię będzie znał... Tylko czy nie mógł się jej uczyć na jakiejś równolatce, a nie na jakiejś starej babie? Samochód miała, pewnie mieszanie też. Przecież jej syn nie był taki durny, że na majątek by poleciał. Chociaż, kto to wie? No nic... Jadwiga po raz pierwszy poczuła się bezradna.

Kiedy Ksawery zjadł dwudaniowy obiad z deserem, od razu poczuł się lepiej. Mimo że pani Jadzia robiła sobie z niego jakieś dziwne „heheszki”. Przecież on nie będzie jej się tłumaczył, że sam w tym kozim mleku nie miał zamiaru się taplać, tylko w początkowym stadium zauroczenia pragnął wykapać w nim Renatę. Nie wiedział, jaki Jadwiga miała stosunek do jego sąsiadki. W tym miasteczku ostatnio nie wiadomo już było, kto był przyjacielem, a kto wrogiem. Bo niby wszyscy tak gadali na Renatę, a jak podejrzwał, to ją odwiedzała i Marta, i Laura, ale także bibliotekarki i Jan. I wszyscy zdawali się dobrze bawić.

Ksawery sauny nie lubił, przed morsowaniem bardzo się wzbraniał, więc nawet w tym aspekcie nie miał ze swoją – nazwijmy to po imieniu – kochanką żadnych wspólnych tematów.

Nie, dzisiaj jej tego nie powie. Nie będzie w stanie. Po prostu do niej nie pójdzie. Przecież zawsze może go boleć głowa albo cokolwiek. Wszystko może go boleć.

Postanowił się przewietrzyć i wrócić do domu okrężną drogą. Przed kamienicą, w której mieszkała Malwina, zauważył jakiś samochód. Wsiadała do niego kobieta. Szczupła, niewysoka blondynka. Wmurowało go. Zamknął oczy i policzył do dziesięciu. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Kiedy uniósł powieki, nieznajoma gdzieś już odjechała.

To znak. Zdecydowanie znak!

– Mamy to! – ekscytowała się Malwina, zerkając przez okno, jak czerwony samochód odjeżdżał sprzed kamienicy, w której miała mieszkanie.

– Miła kobieta – przyznał Anatol.

– I naszego Tomka zna. Zawsze to mniej obca.

– Tak, przecież on nie utrzymywałby znajomości z jakąś obcą.

– Anatolu, co ty gadasz za głupoty? Przecież jak już utrzymuje znajomość, to nie jest obca.

– Co racja, to racja. I lekarzem jest. Same atuty.

– Tak, to też jej trzeba policzyć na plus – zgodziła się Malwina. – Nie trzeba będzie jeździć do miasteczka po recepty.

– Do tego lekarza od siedmiu boleści.

– No nie przesadzaj, nie był taki zły.

– Jankowi nie pomógł.

– A na co niby Jankowi miał pomóc? Przecież Janek tylko po to tam jeździł, by się trochę poużalać nad sobą.

- Może i racja. Ale teraz będzie się użalał u nas.
- Tylko gabinetu nie ma - westchnęła Malwina.
- Jak się u nas zaaklimatyzuje, to i miejsce na gabinet się znajdzie.
- Myślisz, że będzie jej u nas dobrze?

- Jestem o tym przekonany. - Uśmiechnął się. - Ale wiesz co? Ty znowu zamiast o sobie myślisz o innych. Zobacz, jak nam będzie dobrze. Zamieszkamy razem, nie musimy brać ślubu, bo mamy to gdzieś, wynajęliśmy twoje mieszkanie, i to na dodatek lekarce... Wszystko pod nosem. Nie mogliśmy się lepiej urządzać, Malwinko!

18. Dominika

Melisa lekarska (Melissa officinalis) odpręża i uspokaja, leczy bezsenność i nerwice, ale nie wpędza w melancholię i ospałość. Polecana jest przy wzdęciach, rozstrojach żołądka, kolce, stanach napięcia jelita grubego i chorobie wrzodowej żołądka. Melisa obniża również gorączkę, zwiększa apetyt, leczy nieżyty układu pokarmowego i dróg oddechowych, opryszczkę, ukąszenia owadów, wrzody i urazy skórne, ale także wzmacnia serce i zapobiega jego kołatanii. Działa przeciwbólowo, przeciwbakteryjnie i przeciwwirusowo.

Jak głosi legenda, starożytni pszczelarze zwykli rozgniatać w dłoniach świeże listki melisy i smarować nimi wloty do barci, by delikatnym cytrusowym zapachem zachęcać owady do powrotu do ula. W mitologii greckiej Melissa pojawia się jako nimfa, która darzyła gorącym uczuciem Zeusa, niestety bez wzajemności. Zniecierpliwiony bóg zamienił ją w pszczołę. Gdy zmarła, z jej pszczelego ciała wyrosła roślina o pięknym zapachu.

- Dzień dobry. - W drzwiach Renaty stał Tomek, chłopak, który ją przywitał w Małej Przytulnej, gdy przyjechała.

- Dzień dobry. Jak miło cię widzieć! Nie widuję cię tutaj wcale.

- A bo sporo zajęć mam. - Uśmiechnął się. - Poza tym nie chciałem przeszkadzać, ale w końcu musiałem przyjść, bo jakoś mnie tu ciągnie...

- Jesteś tu zawsze mile widziany.

- Kiedyś bywałem tu bardzo często. Pewnie pani Marysia pisała pani o tym?

- Pisała? Przecież wiesz, że nie miałyśmy ze sobą kontaktu. - Zdezorientowana Renata pokręciła głową. - Nie mogła mi więc o tobie mówić.

- O tym, że nie miałyście kontaktu wiem. Dużo mi o wszystkim opowiadała. - Zamyślił się. - Przede wszystkim o życiu. Myślałem, że coś o mnie napisała w liście. - Najwyraźniej tego oczekiwał, bo wyglądał na lekko zawiedzionego.

- W liście? - zdziwiła się.

Tomek zmarszczył czoło.

- No tak, przecież Maria zostawiła list. Nie czytała go pani?

- Nie, żadnego listu tutaj nie było. Zrobiłam porządek w szafkach, ale znalazłam tylko zielone zeszyty z informacją o ziołach.

- Kiedy pani tu przyjechała, wtedy gdy się widzieliśmy po raz pierwszy, miałem dla pani list. Chciałem go pani dać, ale potem rozmawiała pani przez telefon i stwierdziłem, że nie będę pani przeszkadzać. Kiedy wychodziłem, włożyłem list do skrzynki, która wisi na płocie.

- Ale ja do niej nie zaglądałam!

- Ani razu, przez ten cały czas? Przez prawie pół roku nie zaglądała pani do skrzynki?

- Ani razu. Listonosz zwykle dzwoni i daje mi korespondencję do ręki, poza tym nikt w zasadzie nie wie, że tu jestem, rachunki przychodzą mailem, a jak robię zakupy internetowe, to odbieram w mieście obok...

- To proszę tam zaraz zajrzeć, bo czeka na panią list z zaświatów... - Spojrzał na niebo i się lekko uśmiechnął. - Fajnie, że ma go pani jeszcze przed sobą.

- Babcia była dla ciebie ważna? - zapytała nagle Renata.

– Bardzo. Tak naprawdę przyszedłem tutaj, bo tu wciąż czuję jej obecność. Tak jakbym, będąc tutaj, mógł jej opowiedzieć, że dzięki niej spełniam swoje marzenia. A przynajmniej bardzo się staram.

Renata z jednej strony nie mogła się doczekać listu, a z drugiej – była ciekawa, jak jej babcia, która kompletnie nie zabiegała o kontakty z wnuczką, mogła spełniać marzenia tego chłopaka.

– Chodź, zobaczymy, czy ten list tam jeszcze jest, a potem napijemy się herbaty. A może wolisz lemoniadę?

Tomek się uśmiechnął.

– Przy naszym pierwszym spotkaniu z panią Marysią też piliśmy lemoniadę. Taką ze stewią.

– No widzisz, to dobrze wróży. Nie wiem tylko, gdzie są klucze do skrzynki...

– Za drzwiami jest taka mała szafka. Powinny tam być.

– Chodź ze mną. Pokażesz mi. Tego też jeszcze nie odkryłam.

Tomek wszedł jak do swojego domu. Od razu zajrzał za drzwi i wyjął kluczyk powieszony na różowej smyczy z napisem „Olimpiada chemiczna”.

– Olimpiada chemiczna? – zdziwiła się Renata.

– Tak, kiedyś przyniosłem pani Marii tę smycz. Nie lubię różowego, a jej się podobał.

Ten chłopak ją coraz bardziej intrygował. Dziwne, że za pierwszym razem w ogóle nie zwróciła na niego uwagi.

Wrócili do furtki. Tomek sprawnym ruchem otworzył zardzewiały zamek skrzynki, która wisiała na płocie. Wysypało się z niej kilka ulotek, korespondencja z banku i biała duża koperta z napisanym grubym czarnym flamastrem jej imieniem.

– To jest to. Dobrze, że przyszedłem, bo pewnie pani długo by tu jeszcze nie zajrzała. A myślę, że warto.

– Czytałeś ten list? – zapytała Renata.

– Nie. Jest przecież do pani. Ale dużo rozmawiałem z panią Marią i domyślałam się, co tam napisała.

– Wiesz więcej o mojej babci niż ja sama... – Zamyśliła się. – W ogóle jej nie znałam.

– Pani Maria na początku myślała, że zdąży dać pani ten list osobiście. Ale nie zdążyła. Zmarła tuż po tym, jak go skończyła pisać. Jakby chciała przelać na papier wszystko, co ważne...

Usiedli przy stole i pili lemoniadę. Renata trzymała białą kopertę i oglądała ją z każdej strony. Prawdę mówiąc, nie mogła się doczekać, kiedy do niej zajrzy.

– Pójdę już. Chyba chce pani zostać sama z przeszłością. – Tomek wstał, zasuwając za sobą krzesło. – Jestem na siebie zły, że nie powiedziałem pani o tym liście. Ale gdy pani przyjechała, o tylu rzeczach musiałem pamiętać, że w końcu zapomniałem, a potem ten telefon...

– Nie szkodzi. Ważne, że już go mam. – Uśmiechnęła się. – Czeka mnie sentymentalny wieczór.

– Pewnie tak – zgodził się Tomek, patrząc na nią wnikliwie. – Gdyby pani czegoś potrzebowała, zostawię swój numer telefonu, chyba że pani już zapisała.

– Zaraz zapiszę – powiedziała Renata, wstając z krzesła. – A mówileś coś, że przyszedłeś, by się pochwalić, że spełniasz marzenia?

Tomek pokiwał głową.

– Tak. – Wskazała na różową smycz. – Mam trzecie miejsce. I indeks na dowolną uczelnię medyczną w Polsce.

– No to gratulacje – powiedziała z podziwem Renata. – Pewnie twoja mama jest z ciebie bardzo dumna.

Tomek wyraźnie się zasmucił.

– Wie pani, jak jest... Czasem rodzice oczekują od nas zupełnie czegoś innego niż to, czego my dla siebie chcemy. I trzeba wybierać.

Albo się jest w zgodzie ze sobą i spełnia się swoje marzenia, albo się spełnia marzenia rodziców...

Kto jak kto, ale Renata doskonale to wiedziała, choć nigdy w ten sposób na to nie patrzyła.

- A nie można tego pogodzić?

- Nie wiem jak - westchnął chłopak. - Moja mama chciałaby, żebym pracował z nią w restauracji, a ja chcę być lekarzem. Mam zostać tutaj, by ją uszczęśliwić, a sam cierpieć? Ten bar to było jej marzenie, nie moje. Ten czas, gdy mi mówiła, jak mam żyć, już się skończył. Bezwrotnie.

Renata słuchała chłopaka i wydawało jej się to bardzo znajome.

- Twoja mama pewnie chce, byś był szczęśliwy... - próbowała tłumaczyć Jadwigę, ale w głębi serca tłumaczyła siebie.

- Ja też bardzo chciałbym być szczęśliwy. Chciałbym też, żeby mama mi na to pozwoliła. I zaakceptowała moje wybory. Bo to moje życie, nie jej.

Renata pokiwała głową.

- Rozumiem.

- Chciałbym, by moja mama też to zrozumiała - mruknął Tomek, zamykając furtkę z drugiej strony.

Renata nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ona też nie pozwalała córce samej decydować o jej własnym życiu.

Siadając przy kominku, z kotką na kolanach, czuła, że ten wieczór wiele zmieni w jej postrzeganiu świata. I że ten list i słowa tego młodego chłopaka będą dla niej jedną z najważniejszych życiowych lekcji.

Tomek jeszcze nie wiedział, jak będzie spełniał swoje marzenia. Pamiętał o słowach pani Marysi, że wszystko się uda i że gdy nadejdzie pora, rozwiązanie się znajdzie. Ciężko pracował na ten sukces i nie chciał go zmarnować. Uczelnia medyczna stała przed nim otworem, ale potrzebne były pieniądze. Niby studia były bezpłatne, ale kosztowało

wszystko wokół – trzeba gdzieś mieszkać, wypadaloby coś jeść. Oczywiście chciał pracować, ale tyle się naczytał o tym, że nauki jest tak dużo, że udaje się pracować nielicznym...

Wracał od Renaty z jednej strony szczęśliwy, a z drugiej – bardzo przygnębiony. Powiedziała, że go rozumie. Jak on by chciał, żeby jego matka zaakceptowała to, że on chce iść w swoją stronę. I to jeszcze gdyby zamierzał zejść na złą drogę, ale on chciał iść tą dobrą! By pomagać wszystkim! Tak jak robiła to Dominika.

Halina wywiesiła na drzwiach biblioteki kartkę, że zaraz wraca, i udała się na chwilę do Jadwigi. Tylko ona ją rozumiała, ale Halinie się wydawało, że niestety coraz mniej. „Restauratorka” siedziała naburmuszona.

- Jdziuchna, daj mi no jakieś ciasteczko.
- Zakalec ma, nie wyszło.
- A widzisz! - zatryumfowała. - Odkąd ta Renata...
- Oj, przestań, Halinko, mam inne rzeczy na głowie.

Staruszka przez chwilę się zastanawiała, czy nie powinna się obrazić, jednak uzmysłowiła sobie, że gdy Jadwiga się od niej odsunie, to w miasteczku nie będzie miała już nikogo.

- A co się dzieje?

Jadwiga wzruszyła ramionami.

- Daj mi to ciasto - powiedziała Halina. - Wyrzucać grzech.
- Kozie dam.
- Jak to kozie?
- Kozie Ksawerego. Ona wszystko zeżre, nawet mój zakalec.
- Twój zakalec to nawet ja bym zjadła - próbowała przekonać Jadwigę staruszka.

- Dajżeż spokój. - Machnęła ręką. - Tomka znowu ta baba odwiozła do domu przed północą. Może i masz rację, że to wszystko się zaczęło,

kiedy on się zaprzyjaźnił z Marysią.

- No widzisz!

- Ty wiesz w ogóle, jak to się stało, że on tam poszedł?

Halina pokręciła głową.

- Podobno w tamtym ogrodzie jakieś narkotyki rosną – wyszeptwała Jadwiga, rozglądając się, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Tomek nie chciał mi powiedzieć, ale wydebiłam od niego. Chłopaki ze starszych klas go podpuścili, by urwał liście konopi i im przyniósł.

- I urwał?

- Nie, bo go Marysia przydybała.

- A rosną tam te konopie?

- Tego nie wiem. Ale Tomek mówił, że tam rośnie wszystko, więc bym się nie zdziwiła, jakby i konopie były.

- To już nie tylko czarownica, ale i dilerka! Muszę iść – dodała szybko.

- A ciasto?

- Przecież mówiłaś, że zakalec i kozie dasz. Nie będę biednemu zwierzęciu zakalca od ust odejmować!

W Małej Przytulnej nie było posterunku policji. Do tej pory nikomu do głowy nie przyszło, by cokolwiek zgłaszać na policję. Ludzie byli prości, ale uczciwi, wszelakie spory rozwiązywali we własnym gronie, a jeżeli nie dawali rady, arbitrem był Wiktor. Z racji dawnej profesji cieszył się nieustająco wielkim poszanowaniem.

Dlatego też w celu złożenia zawiadomienia Halinka musiała się udać do miasta obok. Stała na przystanku autobusowym, gdy nagle tuż obok niej zatrzymał się czerwony samochód. Za kierownicą siedziała drobna blondynka. Miała może trzydzieści lat i się uśmiechała.

- Dzień dobry. Jadę do miasta, może panią podwieźć? – zapytała.

Halina odwróciła się za siebie, będąc pewną, że pytanie nie dotyczy jej, a kogoś zupełnie innego.

– Tomek mi mówił, że pani jest bibliotekarką. A ja jestem Dominika.

– Koleżanka Tomka? – zapytała Halina, chociaż, oczywiście, miała na końcu języka zwroty „ta stara baba” czy „lafirynda”, którymi raczyła ją Jadwiga.

– Można tak powiedzieć. – Roześmiała się. – Jedzie pani ze mną?

Halina niepewnie wsiadła do samochodu.

– Tomek dużo mi o pani opowiadał – trajkotała kobieta. – Mówił, że zawsze mu pani doradzała w kwestii odpowiednich lektur. Bardzo jest pani za to wdzięczny. Też muszę się zapisać do biblioteki, tym bardziej że teraz z pewnością będziemy się częściej spotykać.

– Częściej spotykać? – podchwyciła staruszka.

– Tak. Właśnie wynajęłam mieszkanie od pani Malwiny – powiedziała, wyraźnie zadowolona. – Będziemy niemalże sąsiadkami.

– Aha – zdołała wydukać Halina.

Myślami była przy biednej Jadwidze, która gdy się dowie, że „lafirynda” zamieszka w Małej Przytulnej, z pewnością nie będzie zadowolona. Musi jej szybko przekazać tę informację! Ale najpierw zgłosi przestępstwo. Bo przecież uprawa marihuany była przestępstwem! Nie mogło to tej babie ująć płazem!

W czasie, gdy Halina przekonywała znużonego policjanta, że powinien natychmiast przyjechać do Małej Przytulnej i sprawdzić, czy Renata ma plantację konopi, Jadwiga siedziała w fotelu na zapleczu restauracji, gdyż nie mogła sobie poradzić z migreną. Nie pomagały jej już żadne lekarstwa, które to Ksawery jej dostarczył do rąk własnych. Musiała po prostu przeczekać najgorsze. Nie spodziewała się jednak, że najgorsze miało dopiero nastąpić...

Na migrenę nie pomógł również fakt, że Halinka z policji wróciła prosto do jej baru i opowiedziała jej wszystko na temat Dominiki, która

wynajęła mieszkanie Malwiny, by być bliżej jej jedynaka i jeszcze bardziej nieprzyzwoicie się obnosić z ich dziwną relacją.

- Nie jest taka stara, jak mówiłaś. Może ma ze trzydzieści, góra trzydzieści pięć lat.

- Halinko! Przecież to przepaść, bo Tomek ma zaledwie osiemnaście!

- Jadziu, ale ona bardzo młodo wygląda... - próbowała pocieszyć koleżankę Halina, jednak zupełnie jej to nie wychodziło.

Jadwiga jęknęła. Już nie tylko bolała ją głowa, ale i serce waliło jej jak oszalałe, by po krótkiej chwili zacząć bić rytmem bardzo spowolnionym. Halinka na nią zdecydowanie źle działała.

- To ja już może pójdę - powiedziała bibliotekarka, zdając sobie sprawę, że Jadwiga za bardzo nie nadaje się do rozmowy.

Mimo niesprzyjających warunków zdążyła się pochwalić swoimi sukcesami związanymi z działalnością donosicielską. Sympatyczny pan policjant w końcu zgodził się przyjechać zobaczyć na własne oczy to, czym się zajmuje Renata. Nieważne, że Halina trochę minęła się z prawdą i zeznała, że chodzi o ogromne pole, które wodzi na pokuszenie młodzież z pobliskich szkół. Najważniejsze, że obiecał się pojawić w Małej Przytulnej.

- Jadwigo, a może Ksawerego zawołam? Jakies inne proszki ci przyniesie?

- Nie. - Pokręciła głową. - Zadzwońię po syna.

- No to ja zmykam - powiedziała Halinka i wróciła do biblioteki.

Jadwiga czuła się naprawdę źle. Ostatnie problemy z synem wyprowadziły ją z równowagi, a wiadomość o tym, że lafirynda sprowadza się do miasteczka, jeszcze pogorszyła sprawę. Ale cóż, miała przecież tylko jego, więc kogo miała poprosić o pomoc?

„Tomek, źle się czuję, czy mógłbyś przyjść do restauracji?” - napisała w SMS-ie.

Po chwili zadzwonił. Nie miała jednak siły rozmawiać i odrzuciła połączenie. Nie minęło dziesięć minut, jak jej syn przybiegł.

– Mamuś, co jest? – zapytał zasapany.

– A tak mi dziwnie serce telepie. Nie mogę złapać tchu.

Tomek złapał ją za nadgarstek i coś nasłuchiwał.

– Masz arytmie. Musimy jechać do szpitala.

– Nigdzie nie jadę – zaprotestowała Jadwiga. – Nie mam czasu na szpitala.

Tomek wiedział, że z matką nie ma co dyskutować, więc wziął telefon i wybrał połączenie.

– Dzień dobry. Pani Dominiko, ja wiem, że ma pani wolne i pewnie się pani teraz urządza, ale mam kłopot. Mama ma arytmie, czy mogłaby może pani jej pomóc i przyjść do baru?

Jadwiga słuchała tej rozmowy i kompletnie nic nie rozumiała. Jej syn dzwonił do lafiryndy (wiedziała od Haliny, że ma na imię Dominika) i prosił ją, by przyszła do niej? Jak nic chcą ją załatwić na amen.

– A po co tu ona?

– Pani Dominika jest lekarzem. Właśnie się tutaj wprowadza. Pani Malwina wynajęła jej mieszkanie.

– A ty do niej mówisz „pani”?

– Tak, a jak mam mówić? – zdziwił się.

– No przecież przywoziła cię nieraz o północy do domu!

– Mamo, mówiłem, że się uczyłem. Pani Dominika przygotowywała mnie do... olimpiady...

– Jakiej olimpiady? To wy się nie spotykacie... w tym sensie...?

– Mamuś, ty myślałaś, że ona jest moją dziewczyną? – Chłopak był zszokowany. – Przecież ona jest chyba ze dwa razy ode mnie starsza. I ze trzy razy mądrzejsza!

Jadwiga odetchnęła z ulgą. Miała wrażenie, że cały stres związany z synem odszedł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. I jakby serce też zaczęło się uspokajać... Miała jednak najmądrzejszego syna na

świecie. I mijał się z prawdą – nikt nie mógł być trzy razy mądrzejszy od niego!

Kilka godzin później Jadwiga leżała na sofie w salonie w swoim domu, a Dominika mierzyła jej ciśnienie.

– Nie ma arytmii. – Uśmiechnęła się. – Powinno być dobrze. Ja bym panią jeszcze przebadala dokładniej, ale to trzeba by badania krwi zrobić. Proszę przez kilka dni pić elektrolity i obserwować samopoczucie.

– A od czego tak mogło się stać?

– Trudno mi powiedzieć... Miała pani ostatnio jakieś stresy?

Jadwiga nie odpowiedziała na to pytanie.

– Myślałam, że kobiety, które mają takich synów, nie mają się czym denerwować. – Roześmiała się. – Musi być pani z niego bardzo dumna.

– Dumna? – zdziwiła się Jadwiga. Nie rozumiała, dlaczego niby miała być dumna z syna.

– Pani Dominiko, bo mama... – zaczął mówić Tomek, patrząc na lekarkę. – Mama jeszcze o niczym nie wie... W zasadzie chciałem jej powiedzieć, jak już wszystko będzie wiadomo.

Jadwiga niepewnie zerkała to na Dominikę, to na syna.

– Czy ja powinnam się denerwować?

– W żadnym wypadku – powiedziała lekarka. – Tomek cały rok ciężko pracował, by się dostać na medycynę. Dzisiaj się dowiedział, że może sobie wybrać dowolną uczelnię w kraju i tam studiować.

– Ale... ale jak to? Przecież on się w ogóle nie uczył, tylko się po nocach włóczył.

– Jak to się nie uczył? Cały czas się uczył – zaprotestowała Dominika.

– Dawałam mu korepetycje z chemii i biologii. Przecież sama pani widziała, jak późno zjawiał się w domu. O tej porze nie było już

autobusu i wracałby albo na piechotę, albo stopem. Nie miałam serca mu tego robić.

- Ja... Ja widziałam... Ale zupełnie inaczej to zinterpretowałam. Ja... ja mu grosza nie dałam na te lekcje.

- Tomek mówił, że musi sam na nie zarobić. Tak się czasem dzieje, więc postanowiłam mu pomóc. Załatwiłam mu pracę w hospicjum i w takim prywatnym domu seniora. Sama tam kiedyś pracowałam. Jednak gdy poznałam bliżej jego zdolności i możliwości, nie chciałam już pieniędzy. Gdyby nie dostał swojej szansy, świat mógłby stracić świetnego lekarza.

- Lekarza... - powtórzyła głucho Jadwiga.

- Tomek jednak nie chciał rezygnować z pracy, uważał, że tam się nauczy więcej niż z niejednej medycznej książki.

- Dlatego też wiedziałem, mam, że masz arytmieję. Rozpoznawałem ją już wielokrotnie...

- Ma pani bardzo zdolnego i piekielnie pracowitego syna - powiedziała Dominika. - Będzie świetnym lekarzem.

Jadwiga patrzyła na oboje z niedowierzaniem. W jej oczach pojawiły się łzy.

- To jak ty wracałeś nad ranem, to nie dlatego, że byłeś na jakichś imprezach?

Tomek pokręcił głową.

- Tylko się uczyłeś? - dopytywała Jadwiga. - Całą noc? Albo pracowałeś?

- Tak, mam. Ale bardzo mi zależało.

- I teraz możesz studiować wszędzie?

- Muszę najpierw zdać maturę, ale mam już indeks na medycynie.

- Dzisiaj przyszły wyniki olimpiady chemicznej - dodała Dominika.

- Ze wszystkich moich uczniów Tomek zajął najwyższą lokatę.

- Mój Tomuś? Synek mój? - Jadwiga złapała go za rękę. - On będzie dobrym chirurgiem, wie pani? Ja już to dawno wiedziałam,

rozpoznałam to po tym, w jaki sposób trybował kuraka!

19. Halina

Kozie ziele (Epimedium sagittatum), zwane również zielem napalonej kozy, podnosi męskie libido, gwarantuje też ogólną poprawę w sferze seksualnej. Jednym ze składników rośliny jest ikaryna. To właśnie tej substancji Epimedium sagittatum zawdzięcza swoje właściwości. Substancja ta wykazuje działanie naśladujące męskie hormony płciowe – androgeny. Kozie ziele obniża ciśnienie krwi poprzez rozszerzenie naczyń krwionośnych. Ponadto zwiększa stężenie testosteronu we krwi, a także produkcję tlenku azotu, polepsza krążenie krwi w centralnym i obwodowym układzie nerwowym, rozszerza naczynia wieńcowe.

Na tym działanie koziego ziele się jednak nie kończy. Ekstrakty z tej rośliny opóźniają procesy starzenia organizmu, działają przeciwzapalnie i przeciwbakteryjnie, a nawet zapobiegają rozprzestrzenianiu się komórek rakowych, jednocześnie je niszcząc. Mówi się, że pomaga ono też w spalaniu tkanki tłuszczowej.

Legenda głosi, iż roślina ta została odkryta przez pasterza kóz. Zaobserwował on, że po jej zjedzeniu zwierzęta są znacznie bardziej aktywne seksualnie.

– Halinko, same nudy – skwitowała Gabrysia, przeglądając książki, które leżały na stole w bibliotece. – Oczywiście można poczytać, ale w charakterze bajek – dodała tonem osoby, która już zdążyła poznać życie. – Ty naprawdę w to wierzysz? – Wskazała na gruby tom o wiedźmach na Suwalszczyźnie.

- Ja już sama nie wiem, w co wierzyć, Gabrysiu - westchnęła. - Mam wrażenie, że wszyscy się ode mnie odsuwają.

- Na własne życzenie.

- Co ty powiedziałaś, Gabrysiu?

- Mama tak stwierdziła wczoraj. - Gabi wzruszyła ramionami. - Że taka fajna jesteś i jakbyś zmądrzała, byłabyś jeszcze fajniejsza. No to zapytałam, czy jeszcze jest dla ciebie cień szansy, żebyś zmądrzała, bo przecież już jesteś bardzo stara, a oni się zaczęli ze mnie śmiać.

Halinka była tak zdumiona, że nie była w stanie nic odpowiedzieć. Dziewczynka potraktowała jej milczenie jako zachętę do kontynuowania tematu.

- Adrian powiedział, że dla wszystkich jest jeszcze szansa na mądrość, nawet dla ciebie, bo przecież nie jesteś tak stara jak arka Noego. Właśnie! - Ucieszyła się. - Miałam poczytać o arce Noego, po to tu przyszłam.

- I co jeszcze powiedzieli? - nieśmiało zapytała Halinka, aczkolwiek wszystko w niej buzowało.

- No już nic - ucięła krótko Gabrysia, bibliotekarka słusznie jednak sądziła, że może coś więcej wyciągnąć z tego gadatliwego dziecka.

- Ale mówili, że jestem głupia?

- Wręcz przeciwnie. Mama mówiła, że rozmawiali o tobie w sobotę.

- Kto? - dociekała Halinka.

- Nie wiem, ale chyba mama, Marta, Balbina i Malwina. I Jan jeszcze, i Renata.

- Renata? A co oni mają wspólnego z tą... nową sąsiadką? - W ostatniej chwili ugryzła się w język. - Spotykają się i mnie obgadują?

- Mama mówi, że mają odnowę biologiczną.

- Odnowę? - Zdecydowanie kojarzyło jej się to z jakąś sektą.

- Tak, odnowę. Siedzą najpierw w saunie, potem idą do strumyka. A później to jak im się chce. Czasem się smarują jakimiś dziwnymi rzeczami.

– Smarują dziwnymi rzeczami? – powtórzyła Halina.

– Tak, bo Renata znalazła u siebie pełno zeszytów z przepisami na różne kremy i mazidła. I tam są „na starość”, „na bolące kości” i inne takie. I w zależności od tego, co komu dolega, to się tym smarują.

– Rozumiem... – Bała się powiedzieć cokolwiek więcej, bo czuła, że jeśli będzie przerywać dziewczynce, to już niczego się nie dowie.

– No i do czego zmierzam... – powiedziała poważnie Gabrysia. – Adrian wtedy zapytał mamę, czy Renata nie ma czegoś na głupotę dla Halinki. – Spojrzała wymownie na starsuskę. – W sensie dla ciebie.

Halina pokiwała głową na znak, że zrozumiała doskonale. Gabrysia przez chwilę nic nie mówiła, więc zaintrygowana bibliotekarka w końcu odważyła się zapytać:

– I co? Co powiedziała mama?

– No właśnie wtedy mama powiedziała, że ty nie jesteś głupia, tylko pogubiona... Czy ty myślisz, że się odnajdziesz? – zapytała po chwili.

– Ja... Ja... Nie wiem...

– Bo dobrze by było – westchnęła. – Bardzo dużo się dzieje w miasteczku i wydaje mi się, że jak się nie odnajdziesz sama, to przez dłuższą chwilę nikt nie będzie miał czasu ciebie szukać. A wiesz, jak to jest...

– Z czym, Gabrysiu?

– No z rzeczami zgubionymi. Jak się ich nie odnajdzie od razu, to potem jest coraz trudniej. Mama tak mówi. I później zupełnie znieacka znajduje się je zakurzone w kącie. Tak było jakiś czas temu z moimi kapciami. Zgubiłam je i znalazłam zupełnie przypadkowo jakiś czas później. Nie pasowały już na moje stopy, zresztą ja o nich zupełnie zapomniałam. Leżały gdzieś bardzo zakurzone w kącie i nikomu nie były do niczego potrzebne.

Kiedy Gabrysia wyszła z biblioteki, Halinka wciąż nie mogła się pogodzić ze swoimi myślami. A miała czas i spokój, by myśleć. Malwiny

dziś nie było w pracy, Balbina również zrobiła sobie wolne. Bibliotekarka otworzyła szafkę i znalazła tam słoiczek z ziołami. Skrzywiła się. I tu też macki tej czarownicy sięgnęły! Założyła okulary i przeczytała starannie wykaligrafowaną etykietę: „Herbatka na dobry humor”. Chwilę się zawahała, ale w końcu nasypała trochę suszu do kubka. „Zobaczymy, czy to coś da” – pomyślała i pierwszy raz na poważnie zaczęła się zastanawiać nad tym, czy to, co się stało kilkadziesiąt lat temu, to była wina Marysi czy jej babki.

A może po prostu tak się życie ułożyło? Że ulokowała swoje uczucia w niewłaściwym mężczyźnie? Oczywiście było to pięćdziesiąt lat temu, ale wciąż bolało. Może już by przestało, jednak ona wciąż pielęgnowała ten ból, więc rany, zamiast się zabliznić, nieustannie były przez nią rozdrapywane.

Gabrysia zupełnie nieświadomie zadała jej najważniejsze pytanie. Wciąż brzęczało jej ono w uszach. Czy umie się sama w tym wszystkim odnaleźć? Chyba nie miała wyjścia, bo w przeciwnym wypadku może ją spotkać dokładnie taki sam los jak zagubione kaptcie Gabrysi – znajdzie ją ktoś gdzieś przypadkowo, zapomnianą i niepasującą do świata. Pokrytą kurzem niedomówień i pretensji, nikomu już niepotrzebną.

Po wyjściu Tomka Renata usiadła przy stole. Przed sobą miała dużą kopertę. Z jednej strony chciała ją otworzyć natychmiast, a z drugiej – bała się, co tam przeczyta. Babcia akurat trafiła na odpowiedni moment, bo Renata miała za kilkanaście dni urodziny. Może powinna poczekać i otworzyć ten list dopiero w urodziny? Przecież babci i tak nic nie wróci.

Rozcięła nożem kopertę. W środku były dwie mniejsze, a na wierzchu mała karteczka w kratkę wyrwana z zeszytu. Uśmiechnęła się, gdy ją przeczytała:

Testament

*Moją wolą jest, aby konia na biegunach po mojej śmierci dostała
Gabriela Ratajczyk.*

Maria Górska

PS Chodzi o konia, który stoi w mojej sypialni i ma rudą grzywę.

To był cały testament babci Marysi? Konia już nie było w sypialni, Renata miała nadzieję, że Gabrysia go zabrała.

Na grubszej kopercie było napisane jej imię: RENIA. Na mniejszej – TESTAMENT. To był ten prawdziwy. Pewnie babcia Marysia później dopisała to o koniu. Może Gabrysia ją o to poprosiła?

Ręce jej drżały. Nie wiedziała, czy najpierw przeczytać list czy testament. Renata się spodziewała, że dostanie ten dom. Zdążyła go już pokochać, ale czy chciała tu zostać na stałe? Chyba niekoniecznie. Mała Przytulna była świetną odskocznią na chwilę, na weekend albo wakacje, ale nie na całe życie. Zdecydowanie wołała wielkomiejski zgiełk. Łukasz pytał wielokrotnie o to, czy uregulowała sprawy spadkowe, ale ona nie miała czasu, a może ochoty, się tym zająć. Teraz nadszedł ten moment. Może któryś z mieszkańców będzie chciał to kupić? Szkoda by było, gdyby zielarnia dostała się w niepowołane ręce.

Renata poszła do kuchni. Wyjęła kieliszek z szafki i naląła sobie wermutu. W pierwszej chwili miała ochotę zadzwonić do Łukasza, przecież zawsze dzieliła się z nim tym, co było dla niej ważne. Teraz nie miała nikogo, bo przecież nie będzie dzwonić do Ksawerego. Zresztą wkopła się w ten dziwny układ. Dlatego też powinna stąd wyjechać...

Usiadła przy stole, powoli sącząc wino. Nożykiem otworzyła kopertę z napisem TESTAMENT. Opatrzony był datą i nazwą miejscowości, a pod spodem odręcznie babcia Marysia napisała:

Testament

Ja, Maria Górska, powołuję do całości spadku w równych częściach moją wnuczkę Renatę Żbik-Górską oraz Tomasza Nowickiego.

Tomasza Nowickiego? Renata była zdumiona. Takiego obrotu sprawy zupełnie się nie spodziewała. Poczula się oszukana, rozżalona i wyprowadzona w pole. W pierwszym odruchu pomyślała, że babcia nie miała prawa tak zrobić! To przecież wszystko da się podważyć! Jakiś młody chłopak ma dostać ich rodzinny majątek? To wszystko, co należało się jej? Cały dom, ogród, pieniądze, które były na koncie, mają teraz podzielić na pół? I co, niby ma go spłacić?

Jak ona nie lubiła takiego zamieszania! Oczywiście niezaprzeczalnym faktem było to, że jeszcze do niedawna wcale nie wiedziała, że jej babcia wciąż żyła, ale gdy się już dowiedziała, była pewna, że więzy krwi coś znaczą.

Wybrała numer Łukasza.

– Cześć. Możesz gadać czy przeszkadzam?

– Mogę.

– Słuchaj, czy możesz się zorientować, w jaki sposób można podważyć testament?

– Jaki testament? – zdziwił się jej były mąż. – Ruszyłaś sprawy spadkowe?

– One mnie ruszyły – burknęła Renata, pijąc wino prosto z butelki.

Nawet nie zauważyła, że opróżniła już więcej niż połowę. Była tak podminowana, że wcale nie poczuła działania wina, a było dość mocne.

– Jak to cię ruszyły?

– Znalazłam testament.

– Gratulować? Jesteś właścicielką ziemską?

– Sytuacja się pokomplikowała, bo nie tylko ja.

– Zrobiła zapis na kogoś jeszcze?

– Poczekaj, sam posłuchaj. – Renata wzięła kartkę i przeczytała jeszcze raz, na głos, treść testamentu. – Można to jakoś podważyć? Czemu mam dawać jakiemuś obcemu chłopakowi część majątku naszej rodziny?

Łukasz nic nie powiedział. Znał swoją byłą żonę i wiedział, że żadne słowa teraz do niej nie trafią. Pomyślał jednak, że ten „obcy chłopak” był bliższy Marysi niż własna wnuczka. I to było przykre, bo zaraz też pomyślał o swojej córce, która z każdym dniem również się oddalała od matki.

– Co tak zamilkłeś? – zapytała Renata.

– Zamyśliłem się. Rena, ty pijesz?

– Wyciągnęłam jakieś wino. To wszystko spadło na mnie tak nagle...

– Pociesz się, że jeszcze niedawno wcale nie wiedziałaś, że masz babcię, która ma domek, a teraz przynajmniej będziesz miała połowę.

– No bardzo śmieszne – westchnęła Renata.

– Maria nie zostawiła żadnego wyjaśnienia?

– Zostawiła list.

– To po prostu go przeczytaj.

– Powiem ci, że nie bardzo mam teraz na to ochotę.

– To może pogadaj z tym chłopakiem? Dowiesz się, co nią kierowało.

– Wiesz, Łukasz, zdaję sobie sprawę, że nie byliśmy sobie bliskie, ale, do cholery, ile w tym mojej winy?

– W tym wypadku nie ma żadnej twojej winy.

– A niby w jakim jest?

– Sama sobie odpowiedz na to pytanie.

Renata była jeszcze bardziej wściekła, niż gdy zaczynała tę rozmowę. Niby w jakim wypadku ona powinna czuć się winna? Przecież sytuacja z córką była zupełnie inna!

Nie chciała czytać żadnych cikliwych listów od swojej babki. Może i wytłumaczyła w nim, dlaczego podjęła tak absurdalną decyzję, ale Renata naprawdę nie miała teraz ochoty na lekturę. A może babcia nie była do końca zdrowa na umyśle?

Usiadła do komputera i wpisała w Google hasło „Jak podważyć testament”. Przeczytała kilka informacji na ten temat i uznała, że bez prawnika się jednak nie obędzie. Najbliższy notariusz przyjmował

pięćdziesiąt kilometrów od Małej Przytulnej. Postanowiła się do niego umówić, gdy tylko rano się obudzi.

Poranek zastał ją w jeszcze gorszym humorze. Obudziło ją głośne stukanie do drzwi.

– Policja! – Usłyszała.

Jeszcze tego brakowało. Nie była nigdy na bakier z prawem, ale słowo „policja” powodowało, iż zawsze stawiała na baczność. Tak też było i tym razem.

Czuła się paskudnie. Bolała ją głowa, gdyż poprzedniego dnia nie skończyło się na jednym winie, a na skutek rewelacji, które były w testamencie, również nie tryskała dobrym humorem.

– Dzień dobry. – Owinęła się szlafrokiem.

– Dzień dobry. Otrzymaliśmy donos.

Renata ziewnęła, ale gdy usłyszała o donosie, natychmiast się przebudziła.

– Donos? – Zdziwiła się. – Na mnie?

– Tak. – Policjant pokiwał głową. – Możemy wejść?

– Proszę bardzo – burknęła. Jeszcze tego jej brakowało. – A mogę wiedzieć, o co chodzi? Za głośno się zachowuję czy co? – zapytała, prowadząc mundurowych do kuchni.

Nic nie odpowiedzieli.

Renata nie chciała im proponować herbaty czy kawy, ale oni chyba tego oczekiwali, bo wpatrywali się w nią wyczekująco. Zaparzyła zatem kawę i postawiła przed policjantami.

– Czy ja się czegoś w końcu dowiem? – mruknęła.

– Gdzie pani uprawia marihuanę?

– Co uprawiam? – Zakrztusiła się.

– Marihuanę. Konopie indyjskie. Cannabis...

- Wiem, co to marihuana - przerwała mu potencjalna przestępczyni. - Tylko zaskoczona jestem takimi bzdurnymi insynuacjami!

- Ogród ma pani piękny - stwierdził ten wyższy, który stał przy drzwiach na taras i spokojnie sączył kawę.

- Piękny, pamięta czasy mojej babci, ale chyba zdaje pan sobie sprawę, że do uprawy marihuany potrzebne są specjalne warunki?

- A niby jakie? - zapytał ten siedzący przy stole, patrząc jej prosto w oczy.

- Nie mam zielonego pojęcia! Ale pewnie musi być ciepło, koło trzydziestu stopni, więc musi być cała infrastruktura. Jakies lampy, wentylatory czy inne fajerwerki.

- A skąd pani tak dobrze się na tym zna?

- Ja się w ogóle na tym nie znam! Do czasu, kiedy tutaj przyjechałam, to każdy doniczkowy kwiatek mi umierał po miesiącu!

- Czy możemy się rozejrzeć? - Policjant dopił kawę i wstał z krzesła.

- Ma pani jakiś strych czy piwnicę?

- Proszę - westchnęła Renata. - Czujcie się jak u siebie w domu - dodała sarkastycznie.

Weszli najpierw na strych, gdzie nic nie znaleźli, a następnie zeszli do piwnicy, gdzie też, oczywiście, Renata nie uprawiała marihuany.

- Niektórzy mają nielegalne uprawy na zewnątrz.

- Proszę bardzo. - Zamaszyście otworzyła drzwi na ganek.

Wszyscy wyszli na zewnątrz. Policjanci powoli się rozglądali, krok po kroku przyglądając się każdej roślinie, która rosła wokół domu. Jeden z nich nawet używał specjalnej aplikacji do rozpoznawania gatunków. Renata była coraz bardziej zdenerwowana. Nie miała jednak pojęcia, co ją czeka, gdy zajrzą na tyły domu.

- Jezus Maria! - zawołała, gdy zobaczyła to, co tam zastali.

- Co się stało? - zapytał policjant, podążając za wzrokiem Renaty.

Tuż pod płotem, gdzie kiedyś cieszyła oko całkiem gęsta łąka, stała zadowolona koza. Najwyraźniej była wygłodniała, bo aktualnie łąka była dosyć mizerna.

– Jak ona to zrobiła?! Zabiję to bydlę! – krzyczała Renata. – Groszek tam miałam i bób! Wszystko zjedzone!

– Dziura jest w płocie – zauważył jeden z policjantów.

– Tamtędy przelazła – dodał drugi.

– Zżarła materiał dowodowy – westchnął ten niższy.

– Materiał dowodowy?! Zżarła moje plony!

– Czy chce pani złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa?

– Dajcie mi już spokój. – Renata machnęła ręką.

Zdecydowanie świat jej nie sprzyjał. Najpierw ten nedorzeczny testament, potem ktoś napuścił na nią policję, a później koza jej zżarła bób i groszek, na które tak bardzo czekała.

Notatka policyjna

Opis zdarzenia: Renata Żbik-Górska została posądzona o uprawę marihuany na terenie swojej posesji. Policjanci przeprowadzili dokładną kontrolę. Anonimowy informator doniósł, że w ogrodzie Renaty Żbik-Górskiej są rośliny przypominające konopie. Niestety, gdy funkcjonariusze chcieli dokładniej zbadać te rośliny, okazało się, że zżarła je koza. To uniemożliwiło zweryfikowanie, czy faktycznie były to konopie indyjskie.

Podjęte działania: Policjanci nie mieli podstaw do zatrzymania Renaty Żbik-Górskiej, ponieważ nie udało się zweryfikować, czy w jej ogrodzie faktycznie rosły konopie. Jednocześnie przeprowadzili rozmowę z właścicielem kozy, Ksawerym Rosochackim, aby upewnić się, że zwierzę nie zostało celowo wprowadzone na pole w celu zniszczenia materiału dowodowego. Właściciel kozy zapewnił, że zwierzę samo dostało się na sąsiednią posesję i nie może być mowy o działaniach mających na celu ukrywania działalności przestępczej jego sąsiadki.

Wnioski: Policjanci nie mieli podstaw do dalszego ścigania Renaty Żbik-Górskiej w związku z podejrzeniem uprawy marihuany. Zostawili ją z ostrzeżeniem, że w przypadku kolejnych podejrzeń będą musieli ponownie przeprowadzić kontrolę. Jednocześnie pouczyli właściciela kozy, aby zabezpieczył swoje zwierzęta i uniemożliwił im wchodzenie na cudzą posesję.

– Oszalałeś! – krzyczała Renata na Ksawerego, gdy tylko policjanci wyszli, wręczając jej notatkę służbową. – Nie możesz upilnować swojej kozy? Będziesz mi sadził ten groszek własnymi rękami.

– Ale to naprawdę nie ja – próbował się tłumaczyć biedny Ksawery.

– A jak niby przelazła? Masz dziurę w ogrodzeniu! Dwie deski obluźowane! – Z całej siły kopnęła w płot. Faktycznie dwie deski odskoczyły. W tym samym momencie po drugiej stronie usłyszeli meczenie kozy. – Rozszarpie ją, a zaraz potem ciebie!

– A co ja niby zawiniłem? To tak samo twój płot, jak i mój!

– Ale twoja koza!

– Ale ogród twój! I właśnie się zastanawiam, co tam u ciebie rośło, że ona tak ochoczo to zjadała! Może faktycznie jakieś narkotyki! I co teraz? Jak zachoruje, to kto ją będzie leczył?

– Koza może najgorsze świństwo zjeść i nic jej nie będzie.

– Po konopiach to nigdy nic nie wiadomo!

– Skąd ty niby wiesz, że tam były konopie?

– Różne rzeczy się mówiło...

– Ha! To ty byłeś tym donosicielem? Ty zgłosiłeś na policję, że ja niby konopie uprawiam?

– No chyba żartujesz?! Nie jestem kolaborantem!

– Pewności nie mam. Właściwie nic o tobie nie wiem. Przychodzisz, zaspokajasz swoje żądze i nawet słowem się nie odezwiesz!

– A o czym ja mam niby z tobą rozmawiać?

– Jak to o czym? O wszystkim! O wszystkim się rozmawia! Ale teraz to już za późno... To koniec. Koza postawiła kropkę nad i – powiedziała i spojrzała na swoją nogę. Niestety, właśnie wdepnęła w tę postawioną przez kozę „kropkę”. – Posprzątaj w moim ogrodzie po tej cholernej kozie!

Ksawery nie miał pojęcia, jak to się stało. Przecież nie musiał już podglądać Renaty przez oblużowaną deskę, zatem naprawił płot kilka dni temu. Zawsze był skrupulatny i nie lubił się otaczać popsutymi przedmiotami. Tymczasem deski w płocie oblużowały się dokładnie w tym samym miejscu. I na dodatek szpara była tak duża, że koza spokojnie mogła się przecisnąć. Kiedy to się stało? Nie miał pojęcia.

– Chodź tutaj – burknął do kozy, która ochoczo do niego podeszła. Poglaskał ją po głowie. – Może i dobrze, że tak się stało? Przynajmniej się obyło bez łzawego rozstania. Można uznać, że właśnie zerwaliśmy ze sobą.

Koza wydała odgłos, który Ksawery zinterpretował jako objaw zadowolenia.

– Mam nadzieję, że po tej maryśce, kochana, nie będziesz śpiewać ani tańczyć. Jeszcze się tylko musimy zastanowić, co zrobić z tym cholernym mlekiem.

Koza spojrzała na niego – tego był pewien – z wyrzutem.

20. Renata

Przytulia czepna (Galium aparine) może być stosowana w leczeniu różnych chorób skóry, drobnych ran i oparzeń, a także dolegliwości pęcherza i nerek – poprzez swoje działanie moczopędne. Ze względu na działanie przeciwzapalne i antyoksydacyjne przytulia może pomóc w zmniejszeniu nawrotów łuszczycy. Może też łagodzić skutki ukąszenia i użądlenia, zmniejszając ból i obrzęk. Ponadto jest doceniana za działanie zwiększające apetyt, ściągające, oczyszczające, napotne, przeciwgorączkowe i tonizujące. Badania na ludzkich komórkach nowotworowych wykazały, że ekstrakt z przytuli ma zdolność hamowania ich wzrostu. Dawniej stosowano świeży sok z tej rośliny, żeby wyleczyć szkorbut.

Przytulia jako talizman może posłużyć w rytuałach na przyciąganie miłości, ziele włożone do walizki chroni ją w trakcie podróży przed zgubieniem i kradzieżą, a wsunięte do butów – pomaga zachować energię. Noszenie go przy sobie ułatwia przystosowanie się do nowych warunków.

Życie Renaty zmieniało się tak szybko, jak w kalejdoskopie. Miała kochankę i zaraz już go nie było. Była podejrzana o uprawę konopi, ale one też zniknęły z jej życia, bo zżarła je goza. Miała spadek, a teraz została jej tylko połowa. Za każdym razem, gdy sobie o tym przypominała, kolokwialnie mówiąc, szlag ją trafiał. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że pewnie babcia w swoim liście wytłumaczyła

się ze swoich decyzji, jednak na razie Renata była tak wściekła na życie, że nawet nie miała ochoty tego czytać.

- I podjęłaś jakieś decyzje? - zapytał Łukasz, gdy rozmawiali kolejnego dnia.

- Same dramaty u mnie.

- Jakie dramaty?

- Koza zżarła mi pół ogrodu, a ja nawet nie wiem, czy tam była maryśka.

- Nie znalazłem cię od tej strony. - Roześmiał się.

- Nie widzę w tym nic zabawnego - burknęła Renata.

- No dobra, to jakie podjęłaś decyzje?

- Za tydzień jestem umówiona u notariusza.

- A gadałaś z nim?

- Z kim?

- No z tym chłopakiem.

- Powiem ci, że najchętniej udawałabym, że tego testamentu nie było - westchnęła Renata. - Zniszczyłabym go i byłoby po sprawie.

- No to już by było grubo.

- Wiem. I dlatego tego nie zrobię. Nie nadaję się do działalności przestępczej.

- Zdecydowanie - przyznał Łukasz. - A słuchaj...

- Tak?

- Może mógłbym cię odwiedzić? Gdybym się uwinął z kilkoma tematami, zebrałbym się choćby dzisiaj.

- Jeśli masz ochotę, to pewnie, zapraszam.

- Stęskniłem się... za Brahmi.

- Za Brahmi?

- Tak, ale... za tobą chyba też.

Kiedyś wszystko było łatwiejsze. Nie było całego tego zamieszania. Miała męża, rodzinę, pracę. Życie płynęło szybciej, była bardziej zmęczona, musiała podejmować trudne decyzje, ale myślała, że w Małej Przytulnej będzie biegła z górki. Niestety, jak się okazało, nie było tak lekko. Powinna się cieszyć, że dostała spadek, ale we wszystkim jak zawsze musiała być łyżką dziegiu.

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Nie miała ochoty na gości. Chciała pobyć sama i zastanowić się, co ma zrobić ze swoim życiem. Może na początek powinna coś ugotować i upiec na przyjazd męża? Właściwie byłego męża... Po raz pierwszy od rozvodu pomyślała, że może to była zbyt pochopnie podjęta decyzja.

Ktoś zadzwonił drugi raz. Westchnęła, ale wstała z fotela i poszła otworzyć. Po drugiej stronie płotu stał Tomek. Jeszcze jego tu brakowało! Chociaż może i dobrze, że się zjawił, bo będzie miała to za sobą. Powie mu o spadku i o swojej decyzji.

– Dzień dobry. Przyszedłem się wytłumaczyć... To ja wpuściłem kozę pana Ksawerego na pani posesję – wyznał na jednym wydechu.

– Co ci odbiło?! – Zdenerwowała się.

– Bo my mieliśmy z panią Marysią taką niepisaną umowę...

– Jaką znowu umowę?

– No musiałbym opowiedzieć od początku... Ona miała te konopie w ogródku. Nawet nie wiedziała skąd. Kiedyś mi pokazywała. Miała też wiele roślin podobnych do cannabis, ale nawet ja już nauczyłem się je rozpoznawać, więc konopie bezsprzecznie tam były. Nie wiem, jak się uchowały w tym klimacie, ale w tym ogrodzie zawsze działały się cuda...

– Ale jaki to ma związek z kozą?

– Powiedziałem pani Marysi, że gdyby policja wparowała do ogrodu, toby miała kłopoty. Ona za bardzo w to nie wierzyła, lekceważyła to, ale ostatecznie się umówiliśmy, że jeżeli będzie takie ryzyko, to do ogrodu wpuszczę kozę pana Ksawerego, by wszystko zżarła. I tak zrobiłem. Nie chciałem, by pani miała kłopoty.

– No... Bardzo dziękuję... – powiedziała Renata, zbytnio nie wierząc, że jej babcia mogła uprawiać konopie. Choćby kilka krzaczków.

– Dowiedziałem się, że ktoś o tym powiedział policji. I bałem się, że przyjdą. Już wczoraj ją wpuściłem.

– Kto?

– Nieważne. Po co ma sobie pani wrogów robić? To małe miasteczko i fajnie, jak wszyscy ze sobą zgodnie żyją.

– Pewnie. – Uśmiechnęła się.

Nie umiała mu teraz powiedzieć o tym, że babcia Marysia uwzględniła go w testamencie. A już w ogóle nie potrafiła wyznać, że z tego testamentu miała go zamiar usunąć.

Łukasz przyjechał późnym wieczorem.

– Jak dobrze cię widzieć! – Mocno ją przytulił.

Renata poczuła się pewnie i bezpiecznie. Jak kiedyś.

– Pięknie tu masz. Zupełnie inaczej niż wcześniej. I zupełnie inaczej niż lubisz.

– Wiesz, teraz tak chyba też lubię.

Siedzieli na ławeczce w ogrodzie i słuchali szumu strumyka. Brahmi, stęskniona za Łukaszem, siedziała mu na kolanach.

– Cicho tak... Nie jestem do tego przyzwyczajony.

– Ja już się przyzwyczaiałam. Ale czasem tęsknię za miastem. Za tym, by włożyć szpilki, elegancką sukienkę i iść do teatru.

– Zapraszam – powiedział Łukasz.

– A będę mogła się u ciebie zatrzymać? – Chciała zapytać, czy jej miejsce już zostało zajęte, ale bała się usłyszeć odpowiedzi.

– Pewnie. Zawsze jesteś mile widziana.

– Dzięki.

– Powiedziałaś mu?

– Tomkowi? O spadku?

- Tak.

- Nie miałam sumienia tego zrobić... Uratował mnie przed więzieniem. - Roześmiała się. - Kozę do ogrodu wpuścił.

- To on?

- Tak, podobno mieli z babcią niepisaną umowę, że jak ktoś za bardzo się zacznie interesować jej ziołami, to uruchomią swoją tajną broń.

- Zorganizowana grupa przestępcza?

- Tak, prawdziwa szajka z Małej Przytulnej. - Zachichotała.

- A list od babci przeczytałaś?

Renata pokręciła głową.

- Kilka razy się zabierałam. Zaczęłam, ale w takim wypadku to „kochanie” na początku listu wydaje mi się takie sztuczne... Chcesz przeczytać? Ja chyba się długo za to nie zabiore.

- Nie wiem, czy nie powinnaś tego zrobić pierwsza.

Siedzieli tak, gawędząc i leniwie spędzając czas. Renata opowiadała o ogrodzie, o ziołach, o ludziach, którzy ją polubili, i o tych, którzy lubili ją trochę mniej.

- A mężczyźni? - zapytał nagle Łukasz.

- Chyba jestem za stara na mężczyzn.

- Był ktoś?

Renata przez chwilę milczała.

- Był. Nie spodziewałam się, że to kiedykolwiek powiem... ale... to nie miało przyszłości. Chyba po prostu... chciałam się poczuć atrakcyjna.

- Przecież jesteś atrakcyjna.

- Tak? Nigdy mi tego nie mówiłeś.

- Myślałem, że to wiesz. - Uśmiechnął się do niej.

- W ogóle nie zdawałam sobie z tego sprawy. Potrzebowałam potwierdzenia. A jak u ciebie?

– Przelotne znajomości. Chyba spóźniony kryzys wieku średniego. Skończyły się, nim się naprawdę zaczęły.

Wyczuwało się pomiędzy nimi napięcie. Renata chciała powiedzieć więcej, ale bała się, jak zareaguje jej były mąż. Łukasz również gryził się w język, bo brakowało mu odwagi, by wyznaczyć to, co chodziło mu po głowie już od jakiegoś czasu. Siedzieli zatem w milczeniu. Letni wieczór nie należał do najcieplejszych, jednak każde z nich bało się poruszyć, by nie zniszczyć magii chwili. Żaby dawały koncert, świerszeczki cykały, a Brahmi bezpiecznie spała na kolanach Łukasza. Nagle oboje poczuli, że byli dokładnie tam, gdzie powinni być...

– Pościeliłam ci w drugiej sypialni – powiedziała Renata.

– OK, dzięki. – Łukasz skierował swoje kroki do wskazanego pokoju. Stał w drzwiach i się obrócił. – A nie możemy tak jak kiedyś? – zapytał, patrząc z nadzieją na byłą żonę. – Razem?

Zawahalała się. Ale tylko na moment, bo potem podeszła do niego i się przytuliła. Objął ją i stali dłuższą chwilę bez ruchu, wsłuchani w swoje oddechy. Renata wzięła go za rękę i zaprowadziła do swojej sypialni.

I wszystko było tak jak kiedyś. Doskonale dopasowani, znający siebie od stóp do głów.

Następnego dnia Ksawery zauważył przed domem swojej sąsiadki samochód. Zza płotu rozlegał się męski śmiech. No popatrz, szybko się uwinęła. Jednego dnia on, drugiego dnia zupełnie ktoś inny. Ale to dobrze, przynajmniej nie musiał się tłumaczyć i tym samym zostawiał sobie wolną drogę do tej przypadkowo spotkanej kobiety, w której się zakocha od pierwszego wejrzenia.

Szedł w stronę apteki, wpatrzony w telefon komórkowy, kiedy nagle wyrosła przed nim Gabrysia. Ta dziewczynka miała zdolność pojawiania się w najmniej oczekiwanych momentach.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Ty sobie życie popsujesz – powiedziała pewnym głosem.

- A niby czemu? – zdziwił się.

- Bo cały czas patrzysz w telefon i normalne życie ci ucieka. Tak mówi mama.

- Coś w tym jest – zgodził się.

- Gdyby na ulicy leżał tysiąc dolarów, tobyś nawet nie zauważył.

- A skąd miałby niby na ulicy leżeć tysiąc dolarów?

- Nie mam pojęcia. Ale przeszedłeś obok nowej mieszkanek naszego miasta i też jej nie zauważyłeś.

- Obok kogo? – Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł.

- Zobacz, tam poszła. – Dziewczynka wskazała punkt za jego plecami. Szybko się obrócił i zauważył niedużą damską sylwetkę znikającą za rogiem. – To lekarka. Wprowadziła się do mieszkania Malwiny – powiedziała szeptem. – Pani Halinka nie jest zadowolona, bo Malwina i Anatol nie chcą brać ślubu.

- Nie? – z grzeczności zapytał Ksawery, choć jego myśli błądziły zupełnie gdzie indziej.

- Nie. I Halinka jest zgorziona. Nie wiedziałam, co to znaczy, ale mama mi powiedziała. Czy ty też jesteś zgorzony tym faktem, Ksawery?

- Nie, zupełnie nie. A powiedz mi, co to za lekarka? Ta, do której Anatol chodził?

- W życiu! – obruszyła się. – Anatol chodził do lekarza od siedmiu boleści. Ta podobno zna się na dziewięciu albo nawet więcej. Pomogła Jadzi na serce. Komuś tam na coś jeszcze. Naliczyłam dziewięć, ale Tomek mówi, że ona jest strasznie mądra. A ja Tomkowi wierzę.

- A ona sama się wprowadziła?

- Sama. Nawet ją zapytałam, czy ma męża, ale ona powiedziała, że żaden chłop by z nią nie wytrzymał.

- A to dlaczego?

- O to też zapytałam.

- I co powiedziała? - Ksawery był coraz bardziej zaintrygowany.

- Że żaden by nie dał rady pół nocy rozmawiać z nią o zastosowaniu jakichś lekarstw. I że jak próbowała kiedyś zrobić antybiotyk z pleśni, to jeden jej chłopak powiedział, że jest fleja. A ona tylko robiła medyczne eksperymenty. Wiedziałaś, Ksawery, że antybiotyki robi się z pleśni?

Ksawery wpatrywał się to w Gabrysię, to w miejsce, gdzie przed chwilą zniknęła nowa mieszkanka Małej Przytulnej. I obiecał sobie, że naprawdę nigdy nie będzie się już wpatrywał w telefon, bo chyba wszystko wskazywało na to, że spełni się kiedyś jego marzenie. Ot, będzie szedł sobie ulicą w miasteczku i spotka niewysoką, szczupłą blondynkę, i się w niej od razu zakocha. Po raz pierwszy w życiu ujrzał światelko w tunelu.

- Mamuś, ty się nie martw - uspokajał Tomek.

- Najpierw się martwiłam, że chcesz się uczyć, a teraz się martwię, że nie będziemy mieli za co cię wykształcić - westchnęła Jadwiga.

- Spokojnie, damy radę. Pierwsze pół roku będzie najtrudniejsze. Potem może dostanę stypendium i będę dawał korepetycje.

Jadwiga popatrzyła na syna z miłością.

- Nie mogę sobie darować, że tak mało ci ufałam. Przecież starałam się wychować cię na mądrego człowieka. I dlaczego zwątpiłam, że mi się udało?

- Najważniejsze, że wszystko się wyjaśniło. - Uśmiechnął się pokrępijając.

- No wyjaśniło, wyjaśniło... A gdyby tak ceny podnieść? - zastanawiała się głośno.

- Mamo, naprawdę się tym nie przejmuj. Wiesz, co mi kiedyś powiedziała pani Marysia?

- No? - zapytała niepewnie Jadwiga.

- Że jak co do czego przyjdzie, znajdę rozwiązanie i pieniądze się znajdą.

- No nie wiem skąd - westchnęła.

Spojrzała z troską na syna. Chciałaby podzielać jego optymizm, ale była, niestety, od tego daleka. No nic, podwyższy ceny albo będzie szukała jakiejś dodatkowej roboty. Jakoś dadzą radę.

Renata obudziła się po dziesiątej. Zanim otworzyła oczy, poczuła obok siebie znajomy zapach. Bliski jej od wielu lat. Uśmiechnęła się. Dopiero po chwili dotarło do niej to, co się stało poprzedniego wieczoru. Przytuliła się do Łukasza i otworzyła oczy. Mąż, a w zasadzie były mąż, miał na nosie okulary i coś czytał. List od babci Marysi! Pozwoliła mu na to poprzedniego dnia, bo ona była zbyt zła na cały świat, by do niego zaglądać.

- Skończyłem - westchnął zamyślony. - Powinnaś to sama przeczytać. Tam jest to wszystko, czego nie przekazano ci... bo twoja mama urwała kontakt z babcią...

Renata chciała zaprotestować, powiedzieć, że to nie tak, że w przypadku jej i Zosi to zupełnie inna sprawa, ale zmieniła zdanie.

- Dobrze, przeczytam.

- Zrobisz to dzisiaj?

- Zrobię.

Pocałował ją w policzek i wstał z łóżka. Jak jej dobrze było z tym widokiem, do którego była przyzwyczajona od lat. Jakże czuła się bezpiecznie...

- Chcesz kawy?

- Ale do łóżka?

- Może być. - Skrzywił się. - Nigdy nie przynosiłem ci kawy do łóżka.

– Ale dawniej byłeś moim mężem. – Spojrzał na nią pytająco, więc dodała: – Teraz jesteś kochankiem, a to zobowiązuje.

– No chyba że tak. – Roześmiał się. – Coś za coś. To ja pójde po kawę, a ty czytaj.

Czytała więc... Wypiła w łóżku kawę i zjadła śniadanie. Potem wypila drugą. Przeniosła się w świat babci Marysi, rodzinnych waśni, niepotrzebnych spięć. Zakradła się do tajemniczego ogrodu praprababci Zuzanny. Trochę poznała swojego ojca i powód, dla którego babcia Marysia znikła z jej życia. I poznała też Tomka. Chłopaka, który był dla jej babci bardzo ważny, dlatego chciała dać mu to, czego nigdy nie dała swojej córce.

– Skończyłam.

– I co?

– I muszę to wszystko przemyśleć.

– Mówiłem.

– Tak. To jest jeszcze bardziej skomplikowane niż myślałam.

– To jakie masz teraz plany?

– Najpierw zadzwonię do Zosi... I zapytam, czy przyjedzie na moje urodziny. Łukasz, a gdybyśmy zrobili tutaj duże garden party? Takie dla całego miasteczka?

– A jak ty chcesz to zorganizować?

– Catering ogarnie Jadwiga, grać będzie Janek. Zaproszę wszystkich, których tu poznałam... Przecież się zmieścimy w ogrodzie. Ma być ciepło.

– A co z Tomkiem?

– Muszę mu powiedzieć... Ale jeszcze nie podjęłam decyzji.

– A kiedy podejmiesz?

– Jak przyjdzie czas. Notariusza mam za tydzień.

Łukasz wiedział, że nie może naciskać na Renatę, sama musiała być przekonana o słuszności swoich racji. Był pewny, że kiedyś, te

dwadzieścia pięć lat temu, wziął sobie za żonę mądrą kobietę i ona tym razem też nie zrobi nic głupiego.

Chociaż raz zrobiła... Oboje zrobili. Ale życie się nie kończy i przecież można je zacząć od nowa...

Epilog

Głóg (Crataegus) to roślina ozdobna o kwiatach białych i bladoróżowych, która posiada cenne właściwości lecznicze. Zastosowanie znalazł już w medycynie ludowej, a obecnie wykorzystuje się jego owoce, kwiaty i liście. To bogate źródło wielu mikroelementów, szczególnie potasu, wapnia, magnezu, fosforu i sodu. Jest to roślina, która dostarcza znaczne dawki witaminy C. Kwiat głogu zawiera związki flawonoidowe, które działają rozkurczowo na mięśnie gładkie jelit, macicy, dróg moczowych i naczyń krwionośnych. Oprócz tego zawiera procyanidyny, które wpływają na obniżenie ciśnienia tętniczego i siłę skurczów mięśnia sercowego (poprzez zwolnienie ich częstotliwości powoduje wydajniejszą pracę serca). Kwiat głogu posiada także pozytywne działanie na naczynia krwionośne mózgu.

Z baśni wynika, że to właśnie głóg oplótł wieżę Śpiącej Królowej, pozwalając się jej wyspać. To głóg zebrał również krew z przebitego boku Jezusa do Świętego Graala. Poszukiwania kielicha, który właścicielowi zapewni życie wieczne, trwają do dziś. Głóg symbolizuje miłość silniejszą od śmierci – rosnąca na grobie Tristana zielona gałąź głogu oplótła mogiłę Izoldy i połączyła kochanków na wieki.

Tydzień później, dzień urodzin Renaty

– Jeżeli jest pani pewna, proszę podpisać tutaj... – Notariusz wskazał palcem puste miejsce. – I jeszcze tutaj.

– Jestem pewna – powiedziała Renata, składając podpisy.

Długo się zastanawiała, czy jej decyzja była słuszna. Rozważała wszystkie za i przeciw. Dawno nie była na takiej huśtawce emocjonalnej, jak w ostatnim tygodniu, po przeczytaniu listu od swojej babci. Cóż, życie składa się z wyborów, tych dobrych i tych złych. Tych trudnych i tych łatwiejszych. Wybór, którego dokonała przed chwilą, siedząc w ogromnym gabinecie, był z rodzaju tych bardziej wymagających. Jej decyzja będzie miała wpływ na życie wielu ludzi. Czy była dobra? Renata była przekonana, że wybrała właściwie.

– W razie jakichkolwiek pytań proszę dzwonić. – Z zamyślenia wyrwał ją głos notariusza.

– Dobrze. Dziękuję. – Uśmiechnęła się, mając poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Kiedy wracała do Małej Przytulnej, przepęłniała ją ulga. Oczywiście z pewnością czekały ją jeszcze ważne rozmowy i trudne dyskusje, ale najważniejsze było to, że wreszcie podjęła decyzję. Tak jak było w liście babci:

I pamiętaj – gdy przeczytasz ten list, kiedy zobaczysz testament, pamiętaj, że masz wybór. Cokolwiek postanowisz, będzie dobrze. I uwierz mi, mimo iż mnie już nie będzie, zaakceptuję to. Jestem przekonana, że wybierzesz dobrze.

Wiedziała, że babcia by zrozumiała, ale czy pochwaliłaby ten wybór? Co do tego Renata miała pewne wątpliwości, ale... to było jej życie. Mogła iść obroną przez siebie ścieżką. Dokładnie tak, jak to babcia wspominała.

Dziwnym trafem notariusz przesunął spotkanie akurat na dzień jej urodzin. Może to był znak? Może właśnie w taki sposób dostała prezent od losu?

Zostawiła w domu Łukasza dyrygującego Jadwigą i Tomkiem, którzy szaleli w kuchni (choć w pewnym momencie zaczęła się zastanawiać, kto kim dyrygował, i stawiała raczej na Jadzię), oraz Malwinę, Balbinę i Halinę robiące dekoracje i ogromny bałagan, którego miała nadzieję już nie zastać po powrocie. Tak, Halina też się włączyła w przygotowania. Po tym, jak Renata przeczytała list z zaświatów, poszła do biblioteki. Chciała zapytać o babcię i Halina wszystko jej opowiedziała. O złamanym sercu, straconych nadziejach i grobie, który razem z Jankiem odwiedzała na cmentarzu. Płakały razem do północy. A nic tak nie jednoczy, jak wspólne łzy.

W zaproszeniu na urodzinową imprezę w zielarni pod starym dębem nie został pominięty żaden mieszkaniec miasteczka. Renata chciała ze wszystkimi świętować swoją radość. Świętować nowe życie. Bo było co...

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał Łukasz poprzedniego dnia wieczorem.

- Ty mnie prosisz o rękę? - zdziwiła się.

- Raz już nie odmówiłaś, więc się łudzę, że teraz będzie podobnie. Poprzednio wytrzymałyśmy ze sobą ponad dwadzieścia pięć lat, więc jak teraz wytrzymamy tyle samo, to naprawdę dobrze wróży.

- Ale...

- Dobrze, będę ci przynosił kawę do łóżka - przerwał jej.

- Zgoda - powiedziała po prostu.

- I już?

- Nie, jest jeszcze jedno... Nie cierpię, jak na mnie mówisz „Rena”.

- Nigdy nie protestowałaś!

- Teraz to robię.

- Dobrze, kochanie.

To były chyba najdziwniejsze oświadczenia na świecie, ale Renata była przekonana, że kocha Łukasza. Spróbowali przecież być osobno i nie wyszło. Może chodziło o to, by na chwilę uciec od codziennej rutyny i oddać się szaleństwu? Nie miała pojęcia. Czy żałowała chwil uniesień z Ksawerym? Absolutnie nie, dzięki temu dowartościowała się jako kobieta i zrozumiała, co tak naprawdę jest dla niej ważne.

Może jednak wróci na tę terapię? Przecież nie powinna mierzyć swojej wartości zainteresowaniem mężczyzn. Powinna ją czuć całą sobą... I z każdym dniem coraz lepiej jej to wychodziło.

Kiedy dojechała do domu, większość gości już była na miejscu. Nie ma to jak spóźnić się na swoje urodziny. Odśpiewali jej gromkie Sto lat, Janek, podpuszczany przez Gabrysię i Tomka, grał coraz to nowsze kawałki, a Anatol okazał się najlepszym tancerzem.

Nadszedł już zmierzch, gdy Renata zadzwoniła łyżeczką o kieliszek.

- Chciałabym coś powiedzieć... Kiedy tu przyjechałam, potrzebowałam wyciszenia. Nie znałam małych miasteczek, nie znałam wsi. Byłam z tych, którzy prasują nawet majtki i skarpetki i w domu chodzą w szpilkach. Perfekcjonistka. Tutaj to się zmieniło. Poznałam was. - Rozległy się oklaski. - Pokochałam tę ziemię, dom i ogród, ale przede wszystkim ludzi. Dużo się o was dowiedziałam, znam wasze marzenia i troski. I nawet wiem, kto mnie chciał spalić na stosie. - Uśmiechnęła się, patrząc w stronę Halinki.

- Ale ja... - Staruszka poczerwieniała.

- Halinko, wszyscy czasem działamy pod wpływem emocji. - Renata uśmiechnęła się do niej. - Ja nie chciałam działać pod wpływem emocji i dlatego ostatni tydzień był dla mnie bardzo ciężki. Ale... chyba uczucia jednak zwyciężyły. Należy ufać rozumowi, ale także intuicji. - Wyciągnęła z torebki kopertę. - Moja babcia, Maria Górską, zostawiła testament. Tomek, mogę cię na chwilę prosić?

Chłopak, do tej pory krzątający się przy grillu, wytarł ręce w fartuch i podszedł do solenizantki.

- Możesz to przeczytać? - Podała mu kartkę. - Jest krótki.

– Testament. Ja, Maria Górską, powołuję do całości spadku w równych częściach moją wnuczkę Renatę Żbik-Górską oraz Tomasza Nowickiego. Maria Górską.

Rozległ się gwar wśród zaproszonych gości.

– To znaczy? – Tomek spojrzał pytająco na Renatę.

– To znaczy, że jesteś właścicielem połowy tego domu – powiedział cicho Wiktor.

– Ale... ale dlaczego?

– Poczekajcie chwilę, jeszcze nie skończyłam. Kiedy się dowiedziałam, że babcia zapisała połowę majątku obcemu chłopakowi... Przepraszam cię, Tomek, ale tak na początku sobie pomyślałam i byłam wściekła. Umówiłam się do notariusza, by podważyć ten testament.

Zauważyła na sobie pytający wzrok Łukasza. Uśmiechnęła się do niego.

– Potem jednak przeczytałam list. Miałam okazję posłuchać, co ma do powiedzenia kobieta, której nigdy nie poznałam. Odkryć jej spojrzenie na życie i ludzi, których pokochała. W tym jej najbliższego przyjaciela, Tomka. I wszystko zrozumiałam. Tomek, przeczytasz potem ten list. Z pewnością ona by tego chciała.

Stał naprzeciw Renaty i patrzył na nią ze łzami w oczach.

– Byłam dzisiaj u notariusza. Nie odmówiłam umówionego spotkania... – Zawiesiła głos. – Ale nie pojechałam tam, by podważyć testament, ale po to, by się zrzec swojej części spadku na rzecz Tomka. Tu są dokumenty. – Wręczyła teczkę chłopakowi.

– Zrzec się spadku? – wydukał.

– Tak. To wszystko jest teraz twoje. Ja mam pieniądze, nie potrzebuję do szczęścia więcej, a ty z pewnością lepiej to wykorzystasz.

Tomek rozglądał się po wszystkich zdziwionym wzrokiem. Najwyraźniej nie docierało do niego to, co się właśnie wydarzyło.

- Pani Marysia mi mówiła, że czasem życie się tak układa, że rozwiązanie samo przychodzi. I miała rację.

- Będziesz musiał ogarnąć trochę papierologii i... zapłacić podatek. Na szczęście na koncie babci są pieniądze, więc nie będziesz miał z tym problemu. Myślę, że nie tylko na to ci wystarczy.

Łukasz patrzył uśmiechnięty na byłą, a zarazem przyszłą żonę. Gdy jechała rano do notariusza, przez chwilę zwątpił w to, jaką decyzję podejmie. Powinien się przecież już przez te wszystkie lata nauczyć, że w Renatę nigdy nie można wątpić.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze jedną niespodziankę dla Reni (bardzo się pilnował, by nie mówić na nią „Rena”). Jednak niespodzianka się opóźniła... Wreszcie rozległ się dzwonek do furtki.

- Kogoś jeszcze się spodziewamy? - Solenizantka rozejrzała się po przyjaciółach.

- Ja otworzę - powiedział.

Po chwili wrócił w towarzystwie dwóch osób. Jedna skrywała się za ogromnym tortem, a druga za wielkim bukietem kwiatów.

- Zosia! - zawołała zaskoczona Renata.

- Mamuś! - Rzuciła kwiaty na trawę i wpadła w ramiona mamy.

- Ty... - Renata spojrzała na córkę i łzy wypełniły jej oczy.

- Tak, będziesz babcią. - Roześmiała się.

- Moja kochana córeczka... - Renata pogłaskała ją po policzku. Po chwili spojrzała na Piotra ukrywającego się za tortem. - Nie będę strzelać. Wreszcie zrozumiałam pewne sprawy.

Piotr oddał ogromny tort Łukaszowi i podał rękę Renacie. Ta go serdecznie objęła.

- Witaj w rodzinie, Piotrze... Tylko proszę, mów mi po imieniu, bo inaczej będę czuła się bardzo stara.

W tym całym zamieszaniu nikt nawet nie zwrócił uwagi na Balbinę, która jednym palcem wystukiwała wiadomość na nowym telefonie. Gabrysia kilka dni temu pokazała jej Facebook i pomogła odnaleźć znajomego sprzed wielu, wielu lat. Staruszka rozmawiała z nim już od wczoraj.

Nikt również nie zwrócił uwagi na Ksawerego, który wraz z Dominiką, nową mieszkanką Małej Przytulnej, zastanawiał się nad wyższością penicylin nad cefalosporynami oraz roztrząsał kwestię nieudanej hodowli pleśni w celu wyizolowania antybiotyku. Im bardziej roztrząsał, tym bardziej czuł się zakochany. Od pierwszego wejrzenia. Ale to już jest zupełnie inna opowieść...

KONIEC

Gdańsk, hotel na Zielonym Wzgórzu, 7 kwietnia 2023 roku, godz. 18:01

Podziękowania

Kochani!

Z tą książką to były przeboje. Naprawdę! Miała wyglądać zupełnie inaczej, w trakcie pisania zmieniałam koncepcje wiele razy, ale w końcu się udało! Bywały chwile, gdy o godzinie trzeciej w nocy ratowałam moją książkę przed tym, by nie stała się powieścią, na której kanwie mógłby powstać serial wenezuelsko-brazylijsko-argentyński, tudzież nowa wersja Mody na sukces. Bo powiem Wam, że trochę się na początku zapędziłam z fabułą. I jak doszłam w swoich planach do wrednego pasierba i skarbu ukrytego w dziupli starego dębu, niczym w *Szatanie z siódmej klasy* Kornela Makuszyńskiego, to miałam ochotę wzorem Jagody z Happy Endu wykrzyknąć to, co ona zwyczajowo mówiła...

Zatem zakrzyknęłam. I wszystko zmieniłam. I nawet w połowie książki zmieniłam diametralnie charakter głównej bohaterki. To, że z miłośniczki rustykalnych mebli stała się wielbicielką szkła i metalu, to była naprawdę najmniej poważna metamorfoza. Może wam kiedyś o tym opowiem.

Szczerze wierzę, że książka przypadnie Wam do gustu i zachwycicie się nią, podobnie jak *Perfumerią na rozstaju dróg*. Nie byłoby jej, oczywiście, gdyby nie sztab pomocnych mi osób!

Dziękuję mojej kuzynce, Adriannie Molewskiej, za pomoc w kwestiach testamentu. Moje zapędy literackie okazały się być na granicy, a może nawet poza granicami prawa, więc musiałam się trochę powstrzymywać. Dzięki Adzie testament nie zostanie podważony.

Inny dzień przyniósł mi rozmowę o legalnej uprawie marihuany z zaprzyjaźnioną panią onkolog, która na przemian ze swoim mężem

czasem mnie wspiera w leczeniu moich bohaterów. Dzięki Magdzie Korożan babcia Marysia nie uprawia legalnie marihuany, gdyż temat wydawał się nie do przeskoczenia. A tę, która u niej rosła, przypadkiem, jak wiemy, zżarła koza...

Dobrze, że zarówno Ada, jak i Magda czuwały nad tym, bym moich bohaterów nie skłoniła do popełniania czynów zabronionych, bo to skutkowałoby wprowadzeniem kolejnych bohaterów, takich jak policja, prokurator itp., i zrobiłby się z tego co najmniej kryminał, a nie do końca wiem, czy ludzkość jest na to gotowa. I czy w Małej Przytulnej jest posterunek policji?

A z kozą też jest niezła historia! Bo gdy pisałam tę część, ktoś powiedział mi o Chacie GPT, czyli sztucznej inteligencji. Poprosiłam na tym czacie, by napisał mi notatkę policyjną z takiego zdarzenia. I powiem Wam, że zrobił to całkiem niezłe! Skorzystałam nieco...

Dziękuję również Kasi Enerlich, podglądałam jej social media, czytając o ziołach. Kasia to prawdziwa mistrzyni naturalnych kremów, wcierek i innych cudów, które pomagają na wszystko.

W tej powieści jest szczególna dedykacja. Dedykacja dla Dobrego Człowieka. Katarzyna Gierusz, wygrywając licytację na dedykację w mojej powieści, wsparła 31 Finał WOŚP 2023. Kasiu, dziękuję! A Orkiestra niech gra do końca świata i o jeden dzień dłużej!

Jak zawsze dziękuję też Czytelniczkom, które poznawały tę powieść w odcinkach i głośkały mnie po głowie w chwilach zwątpienia. Tym razem grono się przerzedziło, pozostałe „beta-czytaczki” się ociągają! Dziękuję więc Jolancie Walusiak-Skorupie i Oli Nowok-Dziekońskiej. Fajnie, że mogę zawsze na Was liczyć.

Dziękuję też Karolinie Tuszyńskiej. Wiesz, Karolka, tamten jeden rozdział to z dedykacją dla Ciebie. Zdrowia!

Dziękuję Wam wszystkim. Czytelniczkom i Czytelnikom. Bez Was nie byłoby mnie.

I blogerom, instagramerom, którzy udostępniają informacje o książce. Jest Was zbyt wielu, by Was wymienić! Chociaż wtedy książka

byłaby bardzo gruba! ♥

Standardowo – dziękuję mojej rodzinie. Mateuszowi za nalewanie wody, robienie kawy i polewanie coli zero...

I moja współpracowniczko kochana, Aniu Seweryn droga! Dziękuję Ci! Za to, że te książki dzięki Tobie są najpiękniejsze, najlepsze i najbardziej wygłaskane!

[instagram.com/witkiewicz](https://www.instagram.com/witkiewicz)

[facebook.com/magdalenawitkiewicz](https://www.facebook.com/magdalenawitkiewicz)

Magdalena Witkiewicz

Od wydawcy

Kochana Czytelniczko, Kochany Czytelniku!

To już czwarta książka Magdy wydana w naszym wydawnictwie, a ogólnie szesnasta, która ukazała się pod szyldem FLOW! Kiedy tak patrzymy na te nasze powieści, jesteśmy przekonane, że marzenia się spełniają! Wszystkie wyglądają dokładnie tak, jak chcemy, by wyglądały. Dbamy o każdy szczegół! Bardzo cieszymy się, że to doceniacie. Świadczą o tym liczne maile i wiadomości na Facebooku czy Instagramie. Ogromnie lubimy je otrzymywać!

Od wydania naszej pierwszej powieści minęło już trochę czasu. Ponad rok! Ten rok był dla nas pewnego rodzaju poligonem doświadczalnym. Docierałyśmy się – zupełnie jak w małżeństwie! Czasem leciały iskry, ale zawsze dawało się ugasić ogień. I pokazałyśmy wszystkim, a przede wszystkim sobie, że biznes da się prowadzić w duecie, który mieszka na dwóch krańcach Polski. A także da się go prowadzić z fotela albo z kanapy. I nie trzeba do tego zakładać szpilek i wyprasowanej garsonki, a można się otulić ciepłym, puszystym kocem. Aczkolwiek można by się zastanowić, czy w przypadku ważnych rozmów telefonicznych nie warto stóp wsunąć w wysokie szpilki, by poczuć się pewniej. Psychologia biznesu mówi, że to działa! Jak na razie nie było takiej potrzeby.

Setki minut przegadanych przez telefon i miliony znaków napisanych w Messengerze. To o nas! Głowy mamy pełne planów,

trzeba tylko jeszcze znaleźć czas i energię, by to zrealizować! Chcemy się rozwijać dla Was. By każda nasza nowa książka cieszyła Wasze oczy, wywoływała w Was różnorakie emocje. I tego Wam dzisiaj życzymy – niezapomnianych czytelniczych chwil.

Jak zawsze dziękujemy też naszej turkusowej ekipie. Ani Slotorsz za cudowną okładkę. Grzegorzowi Boćkowi za skład i cierpliwość do wyszukiwania nasięźrzału oraz przytulii (jesteśmy pewne, że choć trochę nas jeszcze lubi, mimo że wystawiamy na próbę jego cierpliwość) oraz Ani Jeziorskiej i Ani Żochowskiej za korektę. Jesteście wspaniali!

Dziękujemy też Wam, Czytelnikom. Każde dobre słowo zamieszczone w sieci na temat naszych książek jest dla nas na wagę złota. Dziękujemy! Wszystko obserwujemy z ogromną radością i wdzięcznością. Dajecie nam siłę! Oby tak dalej!

Magdalena Witkiewicz i Anna Seweryn

wydawnictwoflow.pl

facebook.com/wydawnictwoflow

instagram.com/wydawnictwoflow

PS Mam tę przewagę, że to ja ostatnia oglądam nasze książki przed ich wysłaniem do drukarni. Mogę więc sobie pozwolić na zamieszczenie w tekście informacji, która dotrze do Magdy dopiero „na papierze”. Zamierzam skrzętnie wykorzystać tę możliwość i pochwalić moją współniczkę, znaną Wam i kochaną przez Was Magdalene Witkiewicz, za stworzenie miejscowości z moich marzeń. Kameralnej, urokliwej, z mieszkańcami, których łatwo jest pokochać i z którymi chciałoby się spędzić jak najwięcej czasu. Jest w Małej Przytulnej pewna magia – magia ciepłych opowieści, szczerych emocji i zabawnych historii. Tak pisać umie tylko Magda! Łapie czytelnika za serce

i sprawia, że albo chichoczymy nad książką, albo ocieramy łezki wzruszenia (ja przy ostatnich stronach spłakałam się jak bóbr).

Madziaczku, pisz dalej, bo talentem trzeba się dzielić. Dopytujesz mnie zawsze, czy mi się podobało – teraz będziesz miała tę deklarację w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy! Bardzo mi się podobało! Wszystkim Wam gorąco polecam tę powieść, bo wzruszyła nawet taką

„Królową Lodu” jak ja. 😊

Ania